

MAREK HŁASKO

PIERWSZY KROK
W CHMURACH

ZBIÓR OPOWIADAŃ

SPIS TREŚCI

DOM MOJEJ MATKI	3
ROBOTNICY	7
OKNO	11
LIST	14
FINIS PERFECTUS	19
DWAJ MĘŻCZYŹNI NA DRODZE	23
BAZA SOKOŁOWSKA	35
ŻOŁNIERZ	74
KANCIK, CZYLI WSZYSTKO SIĘ ZMIENIŁO	78
PIJANY O DWUNASTEJ W POŁUDNIE	85
ODLATUJEMY W NIEBO	93
PIERWSZY KROK W CHMURACH.....	103
ŚLICZNĄ DZIEWCZYŃĄ	110
NAJŚWIĘTSZE SŁOWA NASZEGO ŻYCIA	115
LOMBARD ZŁUDZEŃ	122
PĘTLA	129

DOM MOJEJ MATKI

Moja matka była starą i brzydką kobietą. Nie mógłbym nawet silić się na opisanie jej twarzy; zdaję sobie sprawę, że twarz ta nie zachowała nic ze swojej prawdy: tak dzieje się często z ludźmi bardzo schorowanymi i zniszczonymi przez przeżycia ponad skromne ich siły.

Patrzyłem jak gasła moja matka. Były to jedyne chwile mojego życia, kiedy czułem się zupełnie bezsilny, jak tylko może się czuć człowiek, który uprzytomni sobie, że zawsze może iść z czasem naprzód, lecz nigdy go powstrzymać. Trwało to jednak krótko; potem zrozumiałem, że człowiek, który chciałby powstrzymać czas, jest w takiej sytuacji, jakby wsadził dłoń w górski strumień i czując jej drzenie, myślał, że tamą jest jego dłoń.

Mówiłem wtedy:

- Nie martw się, mammo! Wszystko będzie dobrze i będziesz mieć swój dom. Przecież wiesz, że nikogo na świecie nie kocham bardziej od ciebie...

Wiem, że matka moja nie była nigdy kochana przez żadnego mężczyznę: małżeństwo jej z moim ojcem nie należało do szczęśliwych. Prawie już nie pamiętam ojca, lecz z opowieści wiem, że przez całe życie paliło mu się pod czaszką. Był to jednak zimny ogień, który nie daje nic prócz blasku. W pewnym momencie swego życia ojciec mój wypalił się; potem już jego serce i myśli przypominały patyczek choinkowy, na którym zwęgliła się owa minimalna ilość substancji chemicznych, dająca silny i piękny blask. Resztę życia spędził na szukaniu usprawiedliwień dla samego siebie; stał się gorzki i niesprawiedliwy wobec każdego.

Moja matka rzekła mi kiedyś:

- Nie jesteś dzieckiem urodzonym z wielkiej miłości. Z twoim ojcem pobraliśmy się dlatego, że myśleliśmy, iż będziemy sobie potrzebni. Pamiętaj, abyś nigdy nie wierzył w takie rzeczy; nie wolno ci! Ludzie, którzy myślą, że z czasem dopiero staną się sobie potrzebni, powinni odejść od siebie i zapomnieć kroków, które ich wiodły ku sobie.

Bardzo mnie to wtedy zabolalo. Gdy się dowiedziałem, że moi rodzice nie byli złączeni wielką miłością, bez której w wyobraźni mojej nie mogło być nic stałego, uczułem momen-

talnie ssącą pustkę i przez długie miesiące nie opuszczała mnie myśl, że właściwie nie jestem nikomu potrzebny. Zdawało mi się, że ludzie tacy jak ja – nie powinni żyć.

- Po co mi to mówisz, mamó? – rzekłem wtedy. – Mam osiemnaście lat i gotów byłbym zabić za każdy listek oderwany z drzewa moich marzeń...

- Uschnie szybko twoje drzewo, jeśli nie będziesz wiedział, że zdarzają się burze i grady...

Dziś nie mam już osiemnastu lat; bardziej nad burze i grady pragnąłbym drętwej ciszy południa. Wtedy jednak ciężko mi było dzień po dniu przeżywać z człowiekiem, który nie był kochany; tym ciężiej, że człowiekiem tym była przecież moja matka. Goryczy dodawała mi myśl, że matka moja nie pragnie już cierpień, miłości ani walki; wielkiej goryczy dodawała mi myśl, że jedynym pragnieniem jej życia jest mały, własny, kolorowy domek na przedmieściu.

- Mamó! – mówiłem. – Przecież to straszne dla mnie, że ty marzysz tylko o własnym domku i o niczym więcej. Jakże mam cię kochać? I dlaczego tylko tyle? Jesteś przecież dobrym człowiekiem i wiem, że potrafisz kochać; ja to wiem najlepiej! Nie mogę cię jednak wcale zrozumieć... Są kraje, w których miliony ludzi znajdują się bez dachu nad głową i bez kawałka chleba, miliony głodnych i nieszczęśliwych ludzi. Mało... Nie wiadomo, czy ci ludzie, którzy mają dziś dach nad głową, jutro nie zostaną bez niego. Jakich wymiarów wobec tych spraw nabiera twoje marzenie? To żalosne, mamó... Czy naprawdę widzisz teraz uczciwe miejsce na twoje marzenie?

- Każde marzenie – odpowiadała mi matka – jest uczciwe. Słowo m a r z e n i e jest uczciwe. Nieuczciwe mogą być myśli, pragnienia, dążenia, lecz marzenie pozostanie czyste nawet wtedy, kiedy inni wdepczą ci je w błoto... Pomyśl: będziemy mieć własny dom. Będzie ci źle, będą cię zdradzać i wyszydzać ludzie, wtedy wrócisz do naszego domu i powiesz tylko: „To jest nasz dom.” Świat wyda ci się inny, jeżeli spojrzysz nań przez okno naszego domu.

- Nie chcę mieć takiego domu – mówiłem, łykając gniew – w którym musiałbym kryć się przed światem i przed ludźmi. To nie dom, to skorupa. Brzydzę się skorupą.

O, nie było doprawdy argumentu, którego bym nie użył. Mówiłem o trudzie tych, którzy budują od podstaw nowe życie, o tysiącach nowych domów; przynosiłem dziesiątki gazet, moje radio znieawidzili sąsiedzi, staruszka mieszkająca przez ścianę nie odpowiadała na moje ukłony; przestałem mówić zwykłym, ludzkim głosem, tylko ryczałem, przybierałem teatralne pozy: to wszystko było przecież moją prawdą i robiłem wszystko, co mogłem, aby zrozumiała ją także moja matka. Lecz wszystko na próżno – ten przeklęty, kolorowy domek na przedmieściu był wbity jak dziesięciocalowy gwóźdź w drzewo marzeń mojej matki. Swo-

je słowa czułem niby odbijające się piłeczki i w sercu moim coraz bardziej rozlewała się gorzycz. Bywałem niedobry i niesprawiedliwy dla matki; potem, oczywiście, czyniłem wszystko, by to odrobić, dzięki czemu nasze ciche dotąd życie we dwójkę stało się łodzią żeglującą po niespokojnej wodzie. Lecz aby płynąć, musieliśmy wiosłować we dwójkę.

Chodziłem czasem na przedmieście i wałęsałem się godzinami po piaszczystych i krzywych uliczkach, gdzie przycupnęły małe domki. Doszedłem do tego, że patrzyłem na nie z nienawiścią i z nienawiścią także myślałem o sobie, że mały ten domek w jakimś sensie przesłania mi widok na mój ogromny świat. Lecz nie mogłem go zburzyć. Ohydne były dla mnie słoneczniki i zielone sztachetki, klomby i spacerujące po nich kury, radośnie umorusane dzieci i koty leżące w słońcu. Pogardałem każdym z tych ludzi mieszkających w kolorowych domkach na peryferiach naszego miasta. Gdyby to zależało ode mnie, zabroniłbym budować takie domki. Myślałem wtedy o strasznej sile, jaką jest ludzkie przyzwyczajenie. Zabroniłbym budować takie domki, gdyż zdawało mi się, że ci, którzy w nich mieszkają, nie wiedząc o tym, sami pozbawiają się rzeczy o wiele większych.

„O, mamó – myślałem – łatwiej chyba zbudować sobie nieśmiertelność niż porozumieć się z drugim człowiekiem.”

Kiedy przebywałem na przedmieściu – a przebywałem dość często, gdyż jestem z natury łazęgą – drażniło mnie nawet powietrze ciągnące od wilgotnych pól zza rzeki. Czyste poranki i łagodne, pełne mgieł zachody słońca budziły we mnie pogardę, jaką mam dla kiczu.

Kiedys – była to niedziela – zobaczyłem dziada siedzącego w kalesonach na progu. Mrużył oczy od słońca i leniwie przebierał palcami po klawiszach, gdyż trzymał na kolanach harmonię. „Oto – pomyślałem dygocąc ze wściekłości – przeżytek”. Zwróciłem mu uwagę; grzecznie powiedziałem, że nasze miasto jest wielkim miastem i on, jako jego mieszkaniec... i tak dalej. Dziad spojrział na mnie sennie, potem zawołał swoich trzech synów, wyglądających bardzo po junacku, a ci obeszli się ze mną brutalnie. Kiedy na czworakach wycofywałem się z placu boju, dziad otworzył jedno oko i rzekł:

- Mocnych demokracja zamknęła...

To zraziło mnie na jakieś dwa tygodnie, lecz potem znów wałęsałem się po przedmieściu. Wydawało mi się, że gdzieś tam właśnie tkwi jakaś siła magnetyczna, którą znają wszyscy ludzie prócz mnie.

- Czy nie widzisz – mówiłem do matki – tych wszystkich pięknych, białych domów? Nie widzisz tylu ulic? Masz oczy, lecz nie masz serca i dlatego twoje oczy są ślepe.

- Oczy moje są ślepe dlatego – mówiła matka – że nie widzę mojego małego, własnego domu. To wszystko.

- Czy jest ci źle żyć? Nie wierzysz ludziom? Nie wierzysz nam?
- W cóż mogłabym wierzyć, jeśli nie w czyste ręce swego dziecka?
- Więc dlaczego? Dlaczego się nie cieszysz? Nie jesteś głodna i nie jestem dla ciebie złym dzieckiem; sama to przyznajesz, nawet wtedy, gdy milczysz, wiem o tym... Ale chociaż jestem twoim synem, nie może mnie wzruszać twój smutek, że nie masz własnego, małego domku na przedmieściu, kiedy widzę radość innych ludzi, wprowadzających się do wielkich, wspólnych domów. Mamo, przestań...

Matka moja umarła. Umarła nie dlatego, że nie spełniła swych pragnień, lecz dlatego, że była starą i schorowaną kobietą. Jej ostatnie słowa nie były skargą, że nie doczekała małego, własnego domku, lecz życzeniami szczęścia dla mnie.

Ja pozostałem. Żyję i dalej cieszy mnie widok jasnych, wielkich domów. Wiem, że mieszczą one w sobie również wiele pragnień, cierpień, na pewno o wiele większych i słuszniejszych od tych, które miała moja matka.

Lecz czasem ciężko mi żyć: właśnie wtedy, kiedy przechodzę obok takich wielkich, jasnych domów, a także, kiedy nocami wałęsam się po krzywych i piaszczystych uliczkach przedmieścia, gdyż z natury swej jestem włóczęgą. Pogodziłem się już z owym dziadem, opowiada mi on czasem o wszystkich najwspanialszych rzezimieszkach, jacy deptali te ulice, i oczy jego są pełne marzenia.

Tak, jest mi ciężko, gdy patrzę w oświetlone lub ślepe – nocą – okna każdego domu. Lecz najbardziej smutno mi, gdy idę wieczorem nad Wisłą i widzę odbijające się w wodzie światła: ulic, domów i gwiazd.

Bo pamiętam, że matka moja chciała, aby jej mały, własny, kolorowy dom – stał nad rzeką.

1954

ROBOTNICY

Pracowaliśmy na równinie. Była to monotonna równina. Pieśń o niej nie zabrzmiałaby ani jednym silniejszym dźwiękiem. Nie było tu lasów ani wzgórków – gdziekolwiek obróciłeś wzrok, pola i wsie osiadły płasko; odnosiłeś wrażenie, że patrzysz na wewnętrzną powierzchnię swej dłoni powiększoną monstrualnie. Ginął twój wzrok; czasem myślałeś, że w ogóle nie masz oczu i jesteś ślepcem. Człowiek głupiał.

Kazimierz powiedział do mnie kiedyś:

- Gdybym nie był komunistą, nienawidziłbym tego miejsca tak, jak nienawidzi śmierci człowiek, który kocha życie. Ja tu umieram. Pochodzę z Sandomierskiego; tam ziemia jest bujna i gorąca. Jak tylko skończymy budować ten przeklęty most, nie wrócę tu już nigdy i zabronię tu przyjeżdżać swoim dzieciom.

Betoniarz Stefan, chłopak z warszawskiego Marymontu, mówił:

- Jak tylko skończymy budować ten cholerny most, to jak nie piję, urznę się jak świnia, potem trzy dni odpoczywać będę w komisariacie. Boże! Gdyby tu chociaż był komisariat... Pół roku klepię już ten przeklęty most; oszaleję chyba, przez ten czas nie widziałem ani jednego drzewa!

Zbrojarz Kamiński, człowiek starszy, poważny i nadzwyczaj religijny, mówił:

- Po co ja tu, cholera, przyjechałem? Ja tu przestaję wierzyć w Boga. Zdaje mi się, że Bóg, stwarzając świat, zapomniał o tym kawałku ziemi, a może go i przeklął. Ja tu nie mogę żyć.

Ja sam starałem się milczeć. Nocami wychodziłem na dwór i patrzyłem w niebo; nad tą ziemią ono także wydawało mi się płaskie i nudne, gwiazdy – niepotrzebne i drażniące. Nie zaglądali tu do nas inni ludzie; samych siebie znaleźliśmy już na wylot: każdy z nas wiedział wszystko o żonie, dzieciach, domu czy kochance drugiego. Zdawało nam się, że powiedzieliśmy już sobie wszystko, co można. Ja sam myślałem, że nie wyrwę się stąd już nigdy; przestałem wierzyć, że istnieją gdzieś miasta, ulice, p r a w d z i w e domy.

Mieszkaliśmy w barakach: sklecono je byle jak, sposobem gospodarskim; w praktyce oznaczało to nasz ciągły i bezpośredni kontakt z przyrodą i klimatem. Gazety na budowę

przywoził nam listonosz z miasteczka odległego o kilkanaście kilometrów; gdy pił normalnie – gazety spóźniały się o jeden dzień; gdy trochę mocniej – gazety spóźniały się o dwa dni; a jak go przycisnęła chandra – to przez cały tydzień nie wiedzieliśmy, co się dzieje na świecie. Raz betoniarz Stefan pobił listonosza, lecz to nic nie pomogło; wręcz przeciwnie – życzenia, przesłane nam przez rodziny na Nowy Rok, odebraliśmy po Trzech Królach.

Jesienią do naszych baraków kapiała wilgoć; odrywaliśmy ze ścian zdjęcia naszych drogich i chowaliśmy je do drewnianych kuferków, pod prycze. Zimą hulały dzikie wiatry, z żelaznych piecyków buchały kłęby czarnej sadzy, osiadając na naszych ubraniach lepka i tłusta powłoką; chodziliśmy zakatarzeni; głosy nasze brzmiały niczym głosy rzezimieszków. Przystaliśmy się golić i myć, gdyż w barakach panowało niemożliwe zimno; Kazimierz ze swoją czarną brodą wyglądał jak Madej; siwy zbrojarz Kamiński – jak patriarcha; blond szpicbródka Stefana z Marymontu nieodparcie przywodziła nam na myśl postać głupawego gogusia z operetki; a najżałośniej wyglądałem ja sam. Zarost mam nietęgi, rosnący rzadkimi kępkami; twarz moja wskutek tego budziła wątpliwości, czy od czasu kąpieli, jaką uraczono mnie zaraz po przyjeździe na świat, spotkała się z wodą.

- Cóż – mówiliśmy. – Aby do wiosny.

Przyszła wiosna; późna, zimna i o wiele gorsza od jesieni. Jednego dnia padał ohydny deszcz, następnego – kaszowaty śnieg; wiatr podcinał go i chłostał nim po naszych twarzach. Kombinezony nasze nie wyschły już nigdy; oczy mieliśmy czerwone od ciągłej gorączki. W barakach zawaliło się pół dachu; dwa dni trwało, nim poradziliśmy sobie jako tako. Na szarym niebie od czasu do czasu ukazywało się blade słońce; w kałużach, którymi pokryty był cały plac budowy, wyglądało ono jak oczko żółtego tłuszczu. Podnosiliśmy ku niemu nasze umęczone twarze; słońce zaraz znikало.

Kazimierz mówił:

- Co, do diabła spuchniętego! Gdybym nie był partyjniakiem, uciekłbym stąd do wszystkich choler. Pojechałbym do swojego brata: on jest proboszczem pod Małkinią. Zostałbym u niego dziadem kościelnym. Tylko mi wstyd; to jedyna rzecz, która mnie tu trzyma. Myślę o dniu, w którym będę stąd wyjeżdżał: mój wrzask będzie słychać aż w dziesiątej wsi. A prawdę mówiąc, chłopcy, zaczynam czuć, że gdzieś mam ten cały nasz most.

Stefan mówił:

- Ech, sekretarzu! Aby do lata...

Jego nigdy nie opuszczał optymizm: jednego dnia kochaliśmy go za to, drugiego – nie nawidzili i uważali za idiotę.

Po długiej i strasznej zimie, po cherlawej, niedonoszonej wiosnie – przyszło potworne, dręczące upałami lato; takich upałów nie pamiętali w okolicy nawet najstarsi ludzie. Pot zalewał nam oczy, przeżerał koszule, spływał wzdłuż całego ciała; zima wydawała nam się teraz bajką. Byliśmy czarni; odlaża z nas siódma skóra; pokryci pęcherzami jęczeliśmy w nocy, nie mogąc przewrócić się z boku na bok. Kamiński zęgnął się i mówił ponuro:

- Boże, pokarałeś grzesznego...

Z nienawiścią patrzyliśmy na kilka kobiet, które pracowały wśród nas; gdyby nie one, moglibyśmy łaźnić nago. Zresztą – przestaliśmy na nie zwracać uwagę. Pewien inżynier, który przyjechał na inspekcję budowy aż ze stolicy, pół dnia chodził jak błędny, nie rozumiejąc, gdzie się znalazł. Potem rzekł do mnie, pokazując w moją pierś:

- Przepraszam, czy pan w domu także chodzi nago?

- Tak jest, panie inżynierze – odrzekłem. – Tylko jak jestem w domu, to jeszcze maluję się w pasy: seledynowe, błękitne i bordo. Tutaj nie mogę: na budowie mamy tylko minię. Gdyby pan inżynier był coś łaskaw załatwić w tej sprawie!

Spojrzał na mnie białymi oczami szaleńca i rzekł:

- To dziwne. To bardzo dziwne.

Budowaliśmy most. Budowaliśmy go nie z pieśnią, nie z ochotą; choć wiedzieliśmy, że pracować trzeba i że piękną rzeczą w życiu człowieka jest praca. Ten most budowaliśmy nienawiścią, rozpaczą, chęcią ucieczki z tej równiny, która jak polip wyssała nasze serca i nasze dusze; marzyliśmy o jednej rzeczy: aby nigdy już nie powstała tu nasza noga.

Dobieraliśmy ohydne przekleństwa; przestaliśmy mówić – porozumiewaliśmy się klątwami. Gdy ktoś z nas użył zwykłego słowa, reszta patrzyła nań ze zdumieniem. Kazimierz gryzł się z tego powodu i klął najbardziej złowieszczo. Stefan doszedł do mistrzostwa budowy: klął przez godzinę i kwadrans bez przerwy, nie powtarzając ani jednego przekleństwa; nazwaliśmy go „Słownikiem mostu”. Zbrojarz Kamiński dawno już zwątpił w swe zbawienie wieczne i trzy książeczki do nabożeństwa sprzedał listonoszowi za ćwiartkę wódki. Ja ułożyłem na cześć mostu pewien poemacik, wobec którego fraszka wydają mi się dziś pewne pikantne skądinąd bezceństwa dziadka Fredry. Marzyliśmy tylko o jednej rzeczy: o dniu, który będzie naszym ostatnim dniem t u t a j.

I zbudowaliśmy ten most. Lecz nie mieliśmy siły na to, aby się urząnąć, tańczyć lub śpiewać; tego dnia Kamiński nie przeżegnał się nawet na dobranoc.

Most obwieszono transparentami; dziatwa szkolna, którą przywieziono tu na trzech ciężarówkach, śpiewała pieśni masowe; wygłaszano mowy, przecięto wstęgę, maszynista rzucił z parowozu pęk kwiatów, a orkiestra wojskowa, także sprowadzona na ciężarówkach, po raz

dziesiąty grała tego samego marsza; operator kronik filmowych szalał z kamerą, czepiając się jak pajak poręczą mostu. Młody człowiek z Radia mówił do mikrofonu:

- Widzimy twarze budowniczych tego mostu. Są pełne wielkiej dumy i radości. Widzimy przodowników pracy i młodzież, która wychowała się na budowie tego mostu. Masa kwiatów! Ach, żeby państwo widzieli, żeby państwo mogli tu być z nami! To wspinały dzień dla wszystkich budowniczych tego mostu! Widzimy twarz towarzysza Kazimierza Rogalskiego, sekretarza organizacji zakładowej. To twarz człowieka, który jest dumny i szczęśliwy ze spełnionego obowiązku. To na pewno najszczęśliwszy dzień w życiu tego człowieka.

Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Kazimierz podbiegł do spikera, wyrwał mu mikrofon i podniósłszy go na wysokość swej wykrzywionej wściekłością twarzy, ryknął:

- Gówno!

Uroczystość była popsuta; poszliśmy spać i spaliliśmy dwa dni. Potem przyjechało wiele ciężarówek. Załadowaliśmy nasze drewniane kuferki, rozebraliśmy baraki, Kamiński wznosił pięść w kierunku mostu (nabawił się tu reumatyzmu) i – pojechaliśmy.

Ciężarówki mknęły. Był to ten wymarzony dzień; wracaliśmy do domów, do naszych bliskich. Tam – został most. Był coraz mniejszy: każdy obrót kół oddalał nas od niego. Milczałem. Milczeli wszyscy. Myślałem, że będą kląć, śpiewać, wrzeszczeć. Czekałem na ryk Kazimierza. Na taniec Stefana. Na dziękczynne modły Kamińskiego. Na westchnienia ulgi. Na żartobliwe słowa i radość z bliskiego domu. Lecz milczeli. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że wszyscy patrzą w kierunku mostu; był już tylko małą kropeczką. Targnęło mną.

- No – rzekłem. – Czemu nic ni mówicie? Mielicie śpiewać. I co?

Milczeli; nikt nie zwrócił nawet uwagi na mnie. Krzyknąłem:

- Mówcie coś! No, mówcie coś, do ciężkiej cholery!...

Milczeli; widziałem jak wyteżają wzrok ze wszystkich sił.

- Mówcie! – zawyłem dziko.

- M... m... - wybełkotał betoniarz Stefan z Marymontu; machnął ręką i umilkł.

Już nie było widać naszego mostu; został na równinie i przydymiały go opary mgieł. Wtedy zrozumiałem, że most ten – jest już tylko wspomnieniem. I ci, którzy będą po nim jeździć i chodzić, nigdy nie dowiedzą się, że ten most jest tylko naszym mostem. Płakaliśmy. Płakaliśmy wszyscy; miałem wtedy dwadzieścia lat i płakałem także, choć nie za dobrze wiedziałem dlaczego. Brakowało mi czegoś, co pozwoliłoby mi zrozumieć jasno i czysto nasze lzy. Bo dziś wiem już, że często najbardziej kochamy tych ludzi, te sprawy i te rzeczy, od których bieg życia każe nam odchodzić – nieraz na zawsze.

OKNO

Nikt prawie nie przychodził do mnie; mieszkam sam, od lat w tym samym brudnym i brzydkim domu przy jednej z bocznych ulic naszego miasta. Do okna mego pokoju nie zagląda nigdy księżyc, nigdy też nie widzę stąd nieba i gwiazd; mogę oglądać tylko kawałek podwórka i przeciwległą ścianę drugiego domu – bardzo wysoką, po części obrośniętą dzikim winem. Są tam dwa okna. W jednym – jak z czasem wywnioskowałem – mieszka tapicer, w drugim jakieś młode małżeństwo z dzieckiem; od czasu do czasu widywałem jasny łebek tego dziecka, nie wiem nawet po dziś, czy był to chłopiec, czy dziewczynka; potem dowiedziałem się, że dziecko umarło. I straciłem ochotę do oglądania przeciwległej ściany; kiedy zrozumiałem, że nigdy już nie zobaczę tego dziecka, zauważyłem jak, doprawdy, ohydna jest ta ściana.

Bardzo rzadko odwiedzał mnie pewien urzędnik z pierwszego piętra; ja sam mieszkiałem na parterze. Był to jeden z tych pocziwych świntuchów, w których ustach nawet przekleństwa diabłów brzmią zgoła niewinnie i tracą barwę, a którzy biją nas co chwila w kolano i mrużąc oko, pytają: „No, jakże? Podobało się panu? Prawda, że to znakomite?” Z początku nie znośłem tego człowieka i jego jurnych opowiadań. Wydawał mi się obmierzły i głupi ponad wszystko; z pewną nawet przyjemnością myślałem, że z jego dowcipów śmiano się już chyba za czasów Franciszka Józefa. Lecz potem przestał mnie drażnić, a nawet stał mi się potrzebny, rozumiałem bowiem, że ten człowiek, mieszkający na pierwszym piętrze, jest takim samym biednym i samotnym człowiekiem jak na parterze ja. Zapragnąłem zrobić mu jakąś przyjemność: z nie byle jakim trudem wyuczyłem się kilku dowcipów i gdy przyszedł do mnie – powtórzyłem mu. Pamiętam, że milczał i nie powiedział już nic tego wieczora. I przestał mnie odwiedzać. Doprawdy, nie wiem, dlaczego.

Przed moim oknem rosło drzewo akacji. Było bardzo stare i uschło: pamiętam, że ostatniej wiosny kwitła już tylko jedna gałąź. Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem tego chłopca: siedziałem w pobliżu okna i zobaczyłem w pewnej chwili, że ruda głowa usiłuje zajrzeć do mego pokoju. Z początku przestraszyłem się, lecz zaraz potem zrozumiałem, iż jest to główka

dziecka i postanowiłem czekać. Patrzyłem wstrzymując dech; biedaczek, chciał zajrzeć nieco dalej, lecz nie mógł się wspiąć. Myślałem: „Pomóc mu? Zapytać, czego chce?” Lecz po chwili przestraszyłem się: przyszło mi do głowy, że mogłoby to zniechęcić go i spłoszyć.

Następnego popołudnia znów zauważyłem, że właściciel rudej głowy pragnie wspiąć się i zajrzeć do mego pokoju. Widocznie był jednak bardzo mały i nie mógł wykonać tego, co pragnął. Wtedy ja sam zdecydowałem się wyrzec i zobaczyłem go; tak, był to rzeczywiście nieduży, bardzo śmieszny rudzielec. Za to przy boku miał potężny pałasz; aż mnie to, pamiętam, zdziwiło, że taki malutki chłopiec ma taki duży pałasz. Odważyłem się i zawołałem:

- Hej, mały!

Odwrócił się, lecz pobiegł dalej. Pomyślałem ze smutkiem, że spłoszyłem go i na pewno już nie będzie chciał tu zajrzeć. Lecz nie; wieczorem znów ujrzałem jego rudą główkę, nawet nieco wyżej. I wtedy zrozumiałem, co go przyciąga: obraz na mojej ścianie. Był to nędzny bohomasz, przedstawiający bitwę morską: okręty ze strzaskanymi żaglami, spienione fale, rozbitków i tak dalej. Mały patrzył na ten obraz z podwórka i widział tylko trochę, a więc czubki masztów i prawdziwego koloru niebo, któremu tak nie pożałował farb ów nieznany mi malarz. Zdecydowałem się dopomóc chłopczykowi i kiedy przyszedł wieczorem, wychyliłem zniecka głowę i krzyknąłem:

- Chcesz zobaczyć mój obraz, prawda?

Patrzył na mnie chwilę, potem przełknął ślinę i rzekł mężnie:

- Tak.

Podąłem mu rękę. Usiadł na parapecie ze zręcznością małpki: pamiętam jeszcze krótki błysk zachwyty w jego oczach. Lecz po chwili spostrzegłem, że nie patrzy już wcale na obraz: rozglądał się bacznie po moim pokoju. Widziałem jak gaśnie zachwyty na jego twarzy. Zobaczyłem, że posmutniał: był teraz poważny i skupiony, jakby w ciągu tych chwil, kiedy siedział na parapecie, przybyło mu wiele lat i troski. Bardzo długo milczał opuściwszy rudą główkę. Potem rzekł:

- Wszędzie jest tak samo.

- Tak! – rzekłem. – Wszędzie jest tak samo.

- Nigdzie nie ma inaczej? – zapytał.

- Nie – odparłem.

- A gdyby tak bardzo daleko stąd? Też tak samo?

- Tak. Tam też są takie pokoje. Na całym świecie są takie pokoje. Świat to jest właśnie kilka takich pokoi.

- To ja jeszcze zobaczę – rzekł.

Zeskoczył uciek. Nast pnego dnia wrócił pó niej do domu. Pierwsze, co zobaczył wszedłszy do pokoju, to lecy pod oknem jaki przedmiot. Podniósł go; było ów pałusz, który budził moje zdumienie.

Lecz sam chcąc nie zajął do mnie już nigdy.

LIST

Oczekiwałem na list. Nikt nie pisał do mnie listów; nie miałem nikogo bliskiego; ani tutaj, ani w kraju, ani na całym świecie; byłem już starym, samotnym człowiekiem. „Ba! – myślałem sobie nieraz. – Przecież nie wszyscy mogą mieć bliskich: to naturalne; a ludzie samotni są także potrzebni, aby inni zrozumieli, jak straszną rzeczą jest samotność, i starali się przed nią uchronić”. Lecz mimo to czekałem na list. Wiedziałem, że nie nadejdzie on nigdy, lecz niemożliwe wydawało mi się, aby nikt z żyjących na świecie pewnego dnia nie zechciał napisać do mnie listu. Ludzie najbardziej nawet nieszczęśliwi nie wierzą nigdy w *całkowitość* swego nieszczęścia, potrzebna im jest maleńka szpareczka, dzięki której mogą oddychać; tak samo jest chyba z samotnymi; zawsze mamy maleńkie okienko, przez które kogoś wyglądamy. Ja czekałem na list.

Dom, w którym zamieszkiwałem śmiesznie mały pokój, był jednym ze starych domów na przedmieściach naszego miasta. Był to dom o poczerniałych ścianach, wytartych schodach i zielonym od wilgoci podwórku. Na dachu tego domu kilku wyrostków założyło hodowlę gołębi; mniejsi chłopcy biegali po podwórku bawiąc się, odkąd pamiętam, w tę samą zabawę – złodzieja i policjantów; dziewczynki skakały przez sznurek oraz grały w niebo i piekło; latem w słońcu śpią tłuste koty, zawsze pachnie kapusta i mokra bielizna. Od czasu do czasu stróż upija się i gra na harmonii; wtedy dzieci zbiegają się i, otoczywszy go kołem, patrzą, jak zręcznie przebiera grubymi palcami po klawiszach, a pewien łysy tapicer wychyla z okna swoją głowę i prosi: „Zagraj „Klaryssę”, Franciszku!”; wtedy stróż rzuca mu spojrzenie pełne słodkiej zadumy i gra to smutne i dziwne tango. Dzień zaczyna się tu wcześnie; połowa mieszkańców domu pracuje w pobliskiej fabryce odlewów i już od piątej rano tupie po schodach; o siódmej obydwaj krawcy puszczają w ruch swoje maszyny; szewc straszliwym basem wymyśla swemu czeladnikowi, który jest bardzo piegowaty, ma niepokojąco podobne do nietoperza uszy i – jak twierdzi szewc – jest „potomkiem kretyna i sowy”; u tapicera stukają młotki, do warsztatu naprawy samochodów zjeżdżają pierwsze taksówki, a stróż ziewa i podciągając spodnie, wychodzi z miotłą na podwórko. Życie ma tutaj jedną twarz.

Listonosz – pan Gołębiowski – zjawiał się tu około godziny dwunastej; o tej godzinie śpiewały już wszystkie kucharki, wszystkie dywany już przetrzepano i swąd obiadów dolatywał z każdego okna. Już z daleka widziałem, jak listonosz nadjeżdża na swym rozklekotanym rowerze; jedną ręką trzyma za kierownicę, drugą – wyciąga list ze swej ogromnej torby. Wtedy wszyscy schodzą na podwórko, gdyż listonosz – tak, jak i ja – jest starym człowiekiem i ciężko mu wspinać się po stromych schodach. Nakłada na nos okulary i odczytuje nazwiska:

- Siemiątkowski!

- Jaszczyk!

- Malinowska!

Wszyscy odbierają swoje listy i odchodzą.

- Czy nie ma nic dla mnie?

- Nie – odpowiada listonosz. – Nic dla pana dzisiaj nie było. Może jutro będzie.

- Niech pan zobaczy jeszcze raz – proszę. – Wie pan, jak to jest; czasem się zapomina. Czasem się zdaje, że nie ma już nic, a potem dopiero spostrzega się przypadkowo, że jednak jeszcze coś pozostało. Niech mi pan wierzy, że tak doprawdy bywa. Proszę zobaczyć jeszcze raz.

Listonosz sięgał do torby, lecz twarz jego wyrażała bezgraniczne powątpiewanie. Długo grzebał, potem mówił:

- Nie, dzisiaj nie było dla pana listu. Może jutro będzie. Czeka pan?

- Tak – odpowiadałem. – Czekam. Oczywiście, że czekam. Ma do mnie ktoś napisać, ale on mieszka bardzo daleko stąd. Wie pan, jak się daleko mieszka...

- Oczywiście – mówił listonosz. – Moi bliscy także mieszkają bardzo daleko stąd. O, nawet pojęcia pan nie ma, jak daleko. Trudno, musi pan poczekać. Może jutro przyjdzie już ten list.

- Będę czekać – mówiłem. – Ten list na pewno do mnie przyjdzie; niech pan tylko dobrze uważa na poczcie. Już ja pana o to bardzo proszę! Będę czekać.

- Tak trzeba – odpowiadał listonosz. – Przecież zawsze czeka się na jakiś list.

Salutował mi i odjeżdżał. Widywaliśmy się co dzień; widywaliśmy się co dzień przez wiele lat. Latem przyjeżdżał zgrzany, sapiąc jak lokomotywa; zimą piękne wąsy jego sztywniały od lodu; jesienią był smutny i zgębiony, ociekał deszczem, a rower jego ochlapany był strasznie błotem o przybywało mu rdzawych plam; wiosną on chyba pierwszy w naszym mieście rozpiął koszulę i widziałem siwe i ogromnie gęste włosy na jego twardej piersi. Przeszło wiele wiosen; czeladnik od szewca założył już własny warsztat, ożenił się i z dziesiątego podwórka słyszałem, jak takim samym basem wymyśla swemu pomocnikowi; chłopcy, którzy

bawili się tu niegdyś w złodzieja i policjantów, służyli teraz w wojsku i stamtąd pisali krótki, chaotyczne listy do dziewcząt, które skakały niegdyś przez barwny sznureczek, a teraz były już wysokie, chodziły w kwiecistych sukienkach i oziębłe odpowiadały swoim matkom, że one przecież nie pytały ich o zdanie w kwestii swego zamążpójścia. Stróż przygłuchł i mylił teraz tony dziwnego tanga, a tapicer coraz częściej trafiał młotkiem we własną rękę. Pytałem:

- Czy jest jakiś list do mnie?
- Nie – odpowiadał listonosz. – Dziś, proszę pana, nie było nic. Zapewne będzie jutro.
- Czy sprawdził pan dobrze? – pytałem.

Listonosz robił urażoną minę i odpowiadał:

- Ja zawsze sprawdzam dobrze, proszę pana. Musi pan czekać.
- Oczywiście – mówiłem. – Będę czekać.
- Tak trzeba. Przecież zawsze czeka się na jakiś list. One rozmaicie przychodzą; przecież ludzie piszą z bardzo daleka. Czasem trzeba długo czekać na list.

Miałem żal; miałem żal do wszystkich mieszkańców tego domu, którzy otrzymują listy; nienawidziłem ich twarzy w chwili, gdy z rąk listonosza odbierali swoje listy. Wydawało się, iż słowa zawarte w tych listach odebrano mnie, że należą do mnie, ja powinienem je czytać – płakać nad nimi lub śmiać się – i że tylko przez jakiś niezrozumiały dla mnie przypadek listy te trafiają do obcych rąk, podczas gdy naprawdę każdy z nich należy do mnie. Przypomniałem sobie wszystkich ludzi, jakich znałem w życiu; odżywały we mnie dawne przyjaźnie, krótkie chwile spotkań z tymi, których twarzy nie mogę sobie dziś już przypomnieć. Długo myślałem o pewnej kobiecie, którą darzyłem ogromną miłością w wieku lat dwudziestu. Przez wiele dni umysł mój zaprzętał wizerunek pewnego człowieka, z którym zaprzyjaźniłem się kiedyś gorąco, i wydawało mi się, że człowiek ten napisze do mnie. Osiągnąłem nawet swego rodzaju pewność, iż lada dzień otrzymam list od tego człowieka; odżywały we mnie wszystkie dobre i złe chwile, jakie z nim przeżyłem: kłótnie, spacer, nocne rozmowy, dyskusje i wyznania; wywoływałem z oddali jego gesty, słowa i uśmiechy. I wiedziałem, że to on, tylko on napisze do mnie list. Tak było przez wiele dni; potem uprzytomniłem sobie, że człowiek ten umarł wiele lat temu, a ja sam rzuciłem pierwszą garść ziemi na jego grób.

O, tak! Te listy, które przynoszono tutaj, kradziono mnie; czułem to. Jestem starym człowiekiem; każdego dnia ze zdziwieniem witam słońce na niebie; wiem przecież, że blisko mi już do śmierci; wiem, że gdybym dostał w końcu list – nie umierałbym samotnie. Nienawidziłem ludzi dostających listy: było to uczucie człowieka, który czuje szczęście innych, a sam nie potrafi się do nich przytulić; jest to dręczące uczucie miłości i nienawiści.

„Cóż oni robią z tymi listami? – myślałem. – I na cóż im w ogóle listy? Oni mają domy, dzieci; wokół nich kręci się wielu ludzi – ja czekam tylko na list”.

Wiedziałem już kto i od kogo w kamienicy otrzymuje listy. Wiedziałem, że pewna ruda dziewczyna, która tak chętnie przesiaduje z książką na balkonie, otrzymuje listy od narzeczonego. Przebywa on w dużym, dalekim mieście; listy jego przychodzą w błękitnych kopertach; na każdym arkuszu listu rysuje on kółko tam, gdzie pocałował papier; dziewczyna podnosi te listy do ust i uśmiecha się. Zadzierzysty, starszy pan – jest z zawodu księgowym, mieszka na pierwszym piętrze i całe niedziele chodzi w kalesonach po mieszkaniu – otrzymuje listy od swego brata, który jest również księgowym; piszą oni do siebie wyłącznie o sprawach zawodowych. Schludna jak myszka staruszka dostaje listy od syna z wojska; niedowidzi ona już i to ja jej odczytuję te listy; staruszka chlipie i zawsze pokazuje mi fotografie swego syna. Jest to duży i ładny chłopiec; staruszce jest bardzo przykro, że obcięto mu w wojsku włosy, a ona ich nie ma; od dzieciństwa przechowywała jego włosy.

A do mnie nikt nie pisał listów. Pytałem:

- Czy przyszło dziś coś dla mnie?

- Nie – odpowiadał listonosz. – Dziś nie było nic, może jutro będzie coś dla pana. Musi pan czekać.

W końcu zauważyłem, że listonosz unika mnie; unika mnie, nie patrzy mi w oczy, szybko się żegna i opryskliwie odpowiada na moje pytania. Nie wiedziałem dlaczego; byłem przerażony; listonosz był przecież jedynym człowiekiem, który mógłby pewnego dnia przynieść mi nadzieję. Nie wiedziałem dlaczego i bałem się spojrzeć w twarz temu człowiekowi; zrozumiałem to dopiero wówczas, kiedy przypadkowo usłyszałem rozmowę, jaką prowadził on z pewną kobietą. Listonosz mówił:

- Ja nie mogę jeździć do tego człowieka. On tak czeka na ten list. Ja mu nie przynoszę nadziei. Czy pani wie, co to jest nie przynieść człowiekowi nadziei? To gorzej, niż go oślepić i zabić. Ja wiem, że on czeka na tę nadzieję, i to ode mnie. Ja nie mogę z nim rozmawiać; ja czuję, że sam nie powinienem żyć. Cóż jest warte własne życie, jeśli się innym nie przynosi nadziei?

Za parę dni listonosz przywiózł mi list. Jechał tego dnia bardzo szybko po krzywym bruku naszej ulicy; wołał mnie już z daleka; niecierpliwie odepchnął innych i wręczył mi list. Potem wyjął z torby butelkę wina, podał mi ją i rzekł:

- Trzymaj pan butelkę! To wino kupiłem i powiedziałem sobie, że wypijemy je z panem wtedy, kiedy dostanie pan ten swój list. Po robocie zajdę do pana i wypijemy je. To będzie dobre wino; to jest stare wino. Ale czegoż pan płacze?

- Do diabła! – rzekłem. – Do diabła! Czy nie wie pan tego, że zawsze czeka się na jakiś list?

Odpieczętowałem go. Długo patrzyłem na rzędkę liter skaczące mi przed oczami, nim to wszystko ułożyło się w jakiś sens. „Nie przerywaj łańcuszka szczęścia – czytałem. – Przepisz ten list w dziesięciu egzemplarzach i poślij go swoim znajomym. Do każdej koperty włóż dwa złote. Nie przerywaj łańcucha szczęścia!...”

Opuściłem rękę i osłupiałym wzrokiem patrzyłem na listonosza.

- Grunt, że się pan doczekał – rzekł. – To najważniejsze. Przyjdę do pana po robocie.

Wsiadł na rower i odjechał.

1955

FINIS PERFECTUS

Ten człowiek miotał się i cierpiał od długiego już czasu. Nie wiem i nikt – łącznie z nim chyba – nie wie, której nocy po raz pierwszy zaczął nim trząść zimny, jadowity strach; nikt nie wie, kiedy narodziło się w nim owo podobne do wrzodu pełnego materii uczucie, które życie jego zamieniło w koszmary ciąg pijackich wieczorów, nocy spędzanych w komisariatach i skacowanych poranków. Nikt nie wie, którego dnia oczy tego człowieka stały się po raz pierwszy białe, i nikt nie zna dnia, w którym z serca jego odeszła wszelka nadzieja i w którym serce jego zamieniło się w kupkę pokurczonych mięśni, odmierzających pełen przerażenia czas. Nikt – łącznie z nim – nie wiedział tego.

Ale wszyscy wiedzieli, że ten człowiek boi się, że żyje strachem, że jego własny cień, kroczący za nim lub przed nim, przypomina mu stale pewne miasto, gdzie na jednym z mostów pozostał cień jakiegoś człowieka, którego imienia nie dowiemy się nigdy, choćby nawet każdy z nas na tej ziemi przeżył tysiąc szczęśliwych lat. Gdyby człowiek ten bał się własnego cienia, nie pisałbym jego historii, gdyż wątpię, aby dziś zaciekała kogoś historia człowieka, który żył strachem przed własnym cieniem.

Lecz było przecież wręcz przeciwnie – człowiek ten pragnął do końca ocalić własny cień, nie chciał przed nim uciec i pragnął, aby z jego śmiercią umarł także jego cień.

Nie wiem, czy powinienem powtarzać historię tego człowieka, gdyż nie byłem jego przyjacielem: trudno przyjaźnić się z czymś, co straciło oczy, serce i duszę, a pozostało tylko kupką strachu. Lecz spotykaliśmy się czasem. I ten człowiek mówił wtedy do mnie:

- Mieszkam w północnej dzielnicy miasta. Niech ją szlag trafi. Nocą nad moim domem latają odrzutowce; gdzieś tam niedaleko jest lotnisko. One mają na skrzydłach światła, zielone i czerwone. Często patrzę w górę i wydaje mi się, że za chwilę jedno z tych światel oderwie się, spadnie na ziemię, a wtedy cała ziemia stanie się takim przeklętym, wielkim światłem zielonym lub czerwonym. Jak pan myśli?

- Co?

- Mów pan: zielone czy czerwone?

- Nie wiem.

- Wy niczego nie wiecie – mówił. – Gdybyście wiedzieli, gdzie jesteście, mielibyście wszyscy inne oczy. Albo w ogóle nie mielibyście oczu.

- Czym byśmy patrzyli?

- Czym patrzą umarli?

- Jak na nieboszczyka, czuję się stosunkowo rześko.

- A może – bełkotał, chwytając mnie za ramię – będzie to coś takiego jak słońce? Jak ogromne słońce, które zbliży się nagle z niesłychaną szybkością i wszystko zamieni w zasrany popiół? Jest to zupełnie możliwe; ktoś zresztą pisał już o spadającym słońcu.

- Oczywiście – powiedziałem wtedy z uśmiechem, choć mróz przeszył mi kręgosłup. – Ja nawet wiem, kto ocaleje. Ocaleją tylko dwie osoby. Jedną z nich będzie mój wuj, który przeżył wszystko, stracił poczucie czasu i od lat trudni się wyłącznie regulowaniem zegarka.

On powstanie z popiołów: najpierw nakręci swój zegarek, a potem będzie usiłował pozyczyć dwadzieścia złotych na wódkę.

Drugą osobą będzie babka klozetowa z szaletu na Krakowskim Przedmieściu.

Być może także, iż z popiołów powstanie pewien wielki polski aktor i wtedy okaże się, że w swoim czasie pochowano go wyłącznie przez omyłkę.

- Głupcze – powiedział. – Tańczymy wszyscy kankana na wulkanie. Jesteś pan takim samym głupcem jak wszyscy: dziś każdy człowiek jest tylko głupcem. Czy pan się ludzi, że pan o tym nie myśli? Myli się pan. Wszyscy o tym myślimy. Biedna, zasrana ludzkość. Świat zbyt daleko zabrnął w zbrodnie, aby cokolwiek mogło powstrzymać szalone ręce. Pan myśli, że panu uda się cokolwiek napisać? Pan myśli, że panu uda się kogoś wzruszyć? Biedny głupcze. Dzisiaj żadne ludzkie cierpienie nie ma formatu. Miłość. Ból. Zazdrość. Nadzieja. To suche patyczki: można je przesadzać, lecz na żadnym z nich nie zakwitnie już nic zielonego. Cierpienie także nie ma formatu. Wszystko zamazało się w strachu i zbrodniach. Dostojewski, który wzruszał mnie zawsze najbardziej i w którym mogłem doczytać się zawsze, czego tylko chciałem, jest dzisiaj śmiesznym głupcem razem ze swoim obłędem i kwikami duszy: dziś nie przerazi on nawet niezdeflorowanej pensjonarki. Dziś świat cały jest martwym domem. Jest olbrzymim obozem koncentracyjnym, tak wielkim, iż nie potrzeba kolczastych drutów, gdyż i tak nie ucieknie się nigdzie. Można tylko kontemplować zagładę.

- Jeszcze nie wszystko stracone – powiedziałem. – U nas w Polsce nie ma obecnie sytuacji bez wyjścia. Kiedy przegrywa się już wszystko, zawsze można zostać krytykiem literackim lub wziąć się za przekłady z języków obcych. To nadzieja, która nigdy może nie opuszczać człowieka. Pomyśl pan o tym. Do widzenia.

Traciłem go z oczu, nie widzieliśmy się miesiącami.

Zawsze się zgrywałem przy nim, gdyż nie miałem siły, aby prowadzić z nim dyskusję; pamiętałem zbyt dobrze getto, powstanie, wrzesień i z chwilą, kiedy zacząłem tylko o tym myśleć, znów czas tamten powracał i mózdek mój kurczył się z przerażeniem. Unikałem tego typka: pachniał zgliszczami września, miał oczy rozstrzeliwanych Żydów, pachniał tak, jak w sierpniu roku czterdziestego czwartego pachnieli ludzie, którzy leżeli po kilka tygodni, patrząc wyżartymi oczyma w płonące niebo – nie miał ich kto pogrzebać. Lecz człowiek ten nie miał gipsu w ustach – dlatego go unikałem, dlatego wołałem myśleć o nim jak o umarłym. Życie zmusza nieraz do wielkiego okrucieństwa, jakim jest unikanie; jeśli chcemy, by nasze żywe noce nie przynosiły nam obrazów udręki – w myślach grzebiemy nawet tych, którzy żyją dziś między nami. Czy nie zdarza nam się nieraz unikać matek, które straciły wszystkie dzieci; ojców, którzy nigdy już nie będą ojcami; córek, które nie mają się do kogo przytulić, kiedy przychodzi na nie miłosna udręka? Tak samo i ja – unikałem go, ot i wszystko. Ostatni raz spotkałem go podczas festiwalu. Ulicami szły tłumy, wrzeszczano, śpiewano: miasto napełnione było kolorową wrzawą.

Stałem na brzegu chodnika. Nagle trącił mnie w ramię on. Był blady; można było z łatwością poznać, że człowiek ten prowadzi życie łajdaka. Mówił:

- Oto masz pan maskaradę w skali monumentalnej. Ci młodzi ludzie przyjechali tutaj, aby tańczyć, kochać się, śpiewać o pokoju. Za rok czy za dwa, jeśli zajdzie potrzeba, da im się do ręki automaty Thompsona, napalm, tyfusy i syfilisy w kondensatach; wyposaży się ich w podręczne apteczki i pewną ilość aktualnych haseł; będą się rznąć i zabijać, mordować i pożerać, niszczyć i palić w sposób dotychczas niespotykany. Kolorowe czapeczki nie ocalą ludzkości. – Popatrzył na mnie rozwodnionym wzrokiem i wybelkotał nagle: – Może jest to zresztą niezbędne? Ludzkość zabrnęła w zbrodnię, z której już nigdy się nie wywikła. Spustoszenie moralne, jakie niósł strach przez lat piętnaście, jest już nie do naprawienia. Na miejsce starych zbrodni powstaną nowe, wobec których tamte będą jak grzyby przy drzewach. Ale za lat dwieście drzewa te będą już tylko śmieszne; będą one zapalkami przy fabrycznych kominach. Niech raz skończy się ta cała męka. Może wtedy, kiedy na tej planecie zostanie tysiąc osób, nauczą się one żyć? Dziś nie ma takiej zbrodni, której nie mógłby popełnić człowiek w imię wielkiego strachu. Wielki strach zwalnia od wszystkiego i załatwia wszystko. Wielkie rany trzeba leczyć wielkim bólem.

Los jest jednak złośliwy. Ten człowiek nie zginął od płomieni napalmu. Ten człowiek nie zginął od żaru bomb termojądrowych. Ten człowiek nie poniósł śmierci na szańcach, barykadach i gruzach. Ten człowiek nie zginął w okopach, nie zabiła go nawet kula z małokalibrowego pistoletu. Nie. Przechodził pewnego razu nieuważnie przez jezdnię i wpadł pod ciężar-

rówkę z pomidorami, która jechała z umiarkowaną szybkością i którą prowadził starszy, umiarkowany kierowca. Dostał się pod koła i padł natychmiast z pękniętym kręgosłupem. Przewieziono go do szpitala.

Kiedy poszedłem, aby go odwiedzić – odszedł już był w krainę, o której Hamlet powiada, że jest tylko milczeniem. Stałem na szpitalnym korytarzu i paliłem papierosa. Podeszedł do mnie pielęgniarz; miał twarz starej, mądrej żaby.

- To pański znajomy? – zapytał.

- Były.

- On nie miał nikogo?

- Nikogo.

- Nikt tu do niego nie przyszedł – powiedział. – Szkoda. Przykro czasem patrzeć, jak ktoś umiera samotnie. On tak umierał.

- Długo?

- Umieramy całe życie – powiedział pielęgniarz i jego żabia twarz zrobiła się smutna. – Ale on męczył się cholernie. Przykro było patrzeć. Dzień. Dwa. Trzy. Strasznie cierpiał. Wył tak, że przez trzy dni nikt ani na sekundę nie zmrużył oka. To było paskudne.

- Paskudne – powiedziałem; bolała mnie głowa, gdyż nie znoszę zapachu szpitala.

- On umarł już dwa dni temu – powiedział pielęgniarz – a ja ciągle czuję się tak, jakbym wczoraj wypił za dużo. – Popatrzył na mnie i powtórzył: – Jak Boga kocham, że tak się czuję.

- Wiem o tym – powiedziałem. – To musiało być naprawdę przykre.

Znów popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek.

- Przykre? – powtórzył. – Pan o tym wie? Co pan może wiedzieć o tym? Co pan może wiedzieć, co człowiek czuje, kiedy umiera ktoś drugi i przez trzy dni, przez trzy noce, przez siedemdziesiąt dwie godziny, bez przerwy, wyje tylko jedno słowo: żyć.

- Tak – powiedziałem gasząc papierosa. – Co my wszyscy możemy o tym wiedzieć? Do widzenia.

1955

DWAJ MEŹCZYŹNI NA DRODZE

“AIN'T MANY GUYS TRAVEL AROUND TOGETHER. I DON'T KNOW WHY. MAYBE EVER 'BODY IN THE WHOLE DAMN WORLD IS SCARED OF EACH OTHER”.

JOHN STEINBECK - „OF MICE AND MEN”.

W naszym życiu nie tylko ludzie opuszczają nas i odchodzą. Opuszczają nas także słowa, pojęcia, które z czasem stają się blade i martwe: czas odbiera im siłę i treść. Jeśli po latach napotykamy je, są jak dawno odlane maski i nie możemy w nich poznać niczego, co nas kiedyś wzruszyło lub przyprawiło o gniew. Istnieją słowa – zaklęcia, słowa – pieśni, słowa silne jak nadzieja, lecz istnieją także słowa – wyroki. Takim słowem jest *rajzer*. Rajzer to włóczęga, człowiek gościńca, człowiek szukający pracy, wędrujący przez noce i dni, padający z głodu, proszący o nocleg, chleb i wodę; człowiek, dla którego życie ma tylko wymiar jutrzejszego dnia. Rajzer to człowiek, którego jedynym słońcem jest rozpacz.

Słowo *włóczęga* budzi dziś pogardę; dwadzieścia lat temu budziło ono czasem litość. Na dachach i brekach wagonów, gościńcami i bocznymi drogami, wzdłuż kolejowych torów, omijając większe miasta i policyjne posterunki – wędrowali rajzerzy. Ginęli od kul policyjnych, znajdowali śmierć w tunelach i pod kołami wagonów, trafiali do więzień, ginęli na drodze od chorób i z wyczerpania, zabijał ich głód, czas i nadzieja. Czasem także otrzymywali pracę.

Działo się to w miesiącu maju. Pewnego ranka dwaj mężczyźni, mrużąc oczy z bezsenności i silnego słońca, wkroczyli na rynek małego miasteczka. Byli zmęczeni i wyczerpani – jak im się zdawało – do kresu swych sił; noc spędzili nieopodal kolejowego dworca, skąd kilka razy przeganiała ich policja. Kiedy patrzyło się na tych dwóch, nie można było oprzeć się wesołości, nie można było nie porównać ich do Pata i Patachona. Byli wyjątkowo niedoabrani: jeden z nich był wysoki, silny i ładny, wciąż się uśmiechał poprawiając opadające na czoło włosy; drugi był niski, brzydki jak małpa, chuderlawy, a patrząc na niego, nikt nie

przypuszczał, aby człowiek ten miał choć pięć deka muskulatury; nędzne ubranie wisiało na nim jak szmata na zeschniętej żerdzi. Był co się zowie chuderlawy i brzydki. Miał niesympatyczną twarz zastrachanego króliczka. Kiedy patrzyło się na tych dwóch, odnosiło się wrażenie, że mały jest tylko zniekształconym cieniem wysokiego.

Ranek był pełen słońca i ciepła. Głośno turkocząc po krzywym bruku, przejeżdżały chłopskie furmanki. Z okien kamienic wychylały się rozkudłane od snu głowy; wynoszono pościel i wymieniano pozdrowienia. Nad rynkiem uparcie kołowała chmurka gołębi i kilku chłopców strzelało do nich z procy. Właściciele otwierali sklepy odstawiając z hałasem deski. Przed zakładem fryzjerskim stał tęgi mężczyzna w brudnym kitlu i gryząc pestki słonecznika, pluł łupinami z nonszalancją championa; w mosiężnym talerzu złowrogo świeciło oko słońca. Niebo nad miastem wyglądało jak rozpalona emalia.

Wyższy mężczyzna powiedział:

- Jak myślisz? Czy to daleko stąd? – Do tartaku? – Nie pytam przecież o drogę do nieba.

- Wiem – rzekła mały. – Do nieba zresztą nie jest tak daleko, jak to się niektórym wydaje. Można zajechać na kawałku sznurka. A do tartaku także nie powinno być daleko. Ten facet powiedział przecież, że nie dalej jak trzy kilometry.

- Chodźmy – powiedział wyższy.

Pogapił się na wieżę ratusza i splunął. Potem ruszyli. Wyższy szedł przodem, niższy pozostawał o parę kroków w tyle. Zerwał się jakiś pies i głośno szczekając pobiegł za nimi; niższy kopnął go z całej siły w bok i pies, skowycząc boleśnie, zawrócił. Upał potężniał z minuty na minutę, powietrze stało się żarliwe, lekki, suchy wiatr udręką napełniał nawet cienie.

- Cholera – powiedział wyższy. – Czuję się tak, jakbym miał w kościach rozpalone żelazo. Jeśli się ma pusty żołądek, upał dręczy tym bardziej. Człowiek jest pusty od środka i nie ma w nim nic prócz przekłętego rozpalonego powietrza. Tak?

Mały milczał. Przeszli kilkanaście kroków i wysoki zapytał:

- Czemu nic nie mówisz, do diabła?

- Zaschło mi w gardle – wycharczał mały. – Muszę napić się wody, potem będę mógł gadać. Mnie także się zdaje, że nie mam w środku nic prócz rozpalonego powietrza.

- Nie wolno pić wody, kiedy człowiek jest głodny – powiedział surowo wyższy. – Woda wtedy wysusza tym bardziej. Lepiej zapalić papierosa i starać się wciągać dym bez powietrza. Żołądek wtedy drętwieje i na jakiś czas masz spokój.

- Drętwi zawsze mają spokój – powiedział mały. – Drętwym jest dobrze. Drętwi nie mają nic prócz spokoju.

- Jeśli nie potrzebują szukać pracy – powiedział wyższy.

- Tam? Tam nie trzeba pracować. Ani szukać pracy. Można leżeć i przyglądać się z góry jak męczą się tutaj.

Idąc przodem, wysoki zapytał:

- I to jest niebo?

- Tak – rzekł mały. – Niebo jest wtedy, jeśli możemy z daleka patrzeć, jak męczą się inni, a nas to nic a nic nie obchodzi.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, potem wyższy rzekł ze wściekłością:

- Jeśli nie przestaniesz gadać o niebie i o śmierci, to zmasakruję cię kiedy. Nie mogę już tego słuchać. Tak, jakby naprawdę istniało jakieś niebo. Jeśli wierzysz w niebo, to dlaczego, u diabła, nie wybierzesz się tam? Możesz przecież wystarać się o kawałek sznurka.

Mały milczał; na jego pomarszczonej twarzyczce ukazał się wyraz zawstydzenia. Wyższy szedł w dalszym ciągu przodem, nie obejrzał się ani razu do tyłu; od czasu do czasu kłął tylko, ocierając pot z czoła. Liście drzew więdły z upału. Droga przed oczami drżała; razem z powietrzem wciągało się do płuc tysiące ostrych nożyków. Mały głośno jęczał i wzdychał; kilkakrotnie prosił wyższego, aby pozwolił mu odpocząć, gdyż bał się upaść, lecz wysoki, nie wzruszywszy nawet ramionami, szedł nie zwalniając kroku.

- Mam chore serce – mówił mały. – Przecież ty wiesz, że ja mam chore serce. Jestem bardzo chory na serce już od dziecka. Doktor mi powiedział, że powinienem mieć lekką pracę i nie męczyć się. Przecież lekarze wiedzą, co mówią, oni znają się na chorobach. Czasem w nocy budzę się z przerażenia, że umarłem już, że już mnie nie ma. Proszę cię, abyś pozwolił mi odpocząć. To potrwa chwilę. Tylko chwilę. Potem podniosę się i znów pójdziemy. Nie chcesz przecież, abym upadł na drodze i zdechł jak pies. Każdy człowiek powinien mieć przyzwoity grób. Powinien leżeć w prawdziwej trumnie, aby nie pożarły go robaki i nie zgnoiła wilgoć. Jeśli nie ma się miejsca na ziemi, powinno się mieć przynajmniej dobre miejsce w ziemi. Proszę cię, pozwól mi odpocząć. Odpoczniemy razem przez chwilę, a potem znów pójdziemy razem. Jesteś przecież moim przyjacielem. Mężczyzna z mężczyzną nie powinien tak postępować. – Zapłakał nagle i powtórzył – Och, proszę cię, pozwól mi odpocząć.

- Ty ścierwo – mówił wysoki mężczyzna ani na chwilę nie zwalniając kroku. – Ty głupie, słabe ścierwo! Czy ty myślisz, że moim obowiązkiem jest ciągnąć za sobą takiego przekłętogo łamagę, jak ty? Chyba tak nie myślisz, ty tchórzliwy, słaby króliku! Nie mam żadnego obowiązku! Nikt mnie do tego nie zmuszał i nikt nigdy nie zmusiłby mnie do tego. Nienawidzę słabych, tchórzliwych facetów. Mam całe nogi pokryte bąblami, przy każdym kroku mam ochotę skowyczeć, a mimo to idę. Musimy tam dojść przed dziesiątą, bo jeśli się spóźnimy, to

inni wydrą nam tę robotę sprzed nosa. Tu całe miasto pełne jest głodnych cwaniaków. Rozumiesz? No, powiedz, czy rozumiesz?

- Rozumiem – mówił mały. – Ale przecież chwilkę możemy odpocząć. Dosłownie jedną chwilkę. Ani się obejrzysz i już pójdziemy dalej.

- A jeśli nam wydrą tę robotę – ciągnął wyższy mężczyzna przyśpieszając kroku – to znów przez wiele dni nie będziemy mieli co zryć. Znów będziesz próbował ukraść, bo jesteś słaby i chory, i nie wytrzymasz głodu. Pamiętasz przecież jak próbowałeś kraść. Wtedy na dworcu, w tym przeklętym mieście, gdzie także szukaliśmy pracy. Pamiętasz jak chciałeś ukraść tę bułkę z kiełbasą?

- Z salcesonem – powiedział smutno mały mężczyzna. – Bułka z kiełbasą kosztuje dużo drożej od bułki z salcesonem. Ja widziałem tam bułki z kiełbasą, lecz specjalnie wziąłem bułkę z salcesonem, gdyż była ona o wiele tańsza.

- Z salcesonem. I czy pamiętasz jak bił cię wtedy właściciel bufetu? Bili cię razem ze swoją przeklętą żoną. Jeśli nie pamiętasz, to ja ci chętnie przypomnę. Tłukli cię jak psa przez kilkanaście minut, potem przyleciała jakaś stara wiedźma z piekła rodem i szarpała cię za włosy. A wielu ludzi stało wokół ciebie i wszyscy śmiali się, że taki stary mężczyzna pozwala się bić i płacze, i wszyscy śmiali się z tego, że jesteś taki słaby i chuderlawy, i nikt nie miał dla ciebie nic prócz pogardy i lekceważenia. A ty płakałeś i słańałeś się na nogach...

- Przestań – prosił cicho mały.

- A ja stałem z boku – mówił wysoki mężczyzna. – Stałem z boku i nie mogłem ci w niczym pomóc. Nie mogłem ci pomóc, bo nie chciałem się mieszać do tej przeklętej awantury; wiesz przecież, że policja ma oko na takich jak my. Wiesz, że jak nas złapią, to wsadzą do kryminału i będziemy musieli przez wiele, wiele dni pracować darmo. Ty też nie mogłeś sobie w niczym pomóc, bo jesteś chory i słaby. Tak? Jesteś niedołężny. Tak? Jesteś cholernie słaby. I dlatego musisz teraz iść ze mną i musisz starać się iść jeszcze szybciej, aby nie ubiegli nas inni głodni, i dlatego uważać musisz, abyśmy znowu nie wpadli w jakąś cholerną awanturę. Inaczej będą znów tłuc cię po mordzie. Musimy iść bardzo szybko. Czy chcesz, żeby każdy, komu to się tylko spodoba, mógł cię tłuc w zęby? Nie chcesz chyba tego? Więc musisz iść ze mną.

- Już w tak wiele miejsc szliśmy razem – rzekł mały, z trudem łapiąc powietrze. – I wszędzie czekała na nas nadzieja. Szliśmy już do tartaków, młynów i fabryk; szliśmy przez wsie, miasta, miasteczka. Za każdym razem myśleliśmy, że to już właśnie tu, że to już ostatnia nasza droga i że zostaniemy teraz na długo. I za każdym razem nikt na nas nie czekał. I

zawsze, mimo to, idziemy i idziemy. Myślimy, że zastaniemy las lub ogród, a zastajemy tylko pusty plac. Czy naprawdę zawsze musimy tylko iść i iść?

- Musimy iść. Jeśli staniemy w miejscu, to tym bardziej nikt do nas nie przyjdzie. Musimy iść nawet wtedy, kiedy ty masz chore serce, a ja poranione nogi. Biednym ludziom nie wolno nigdy czekać.

Skreśli z gościńca i ruszyli w stronę tartaku. Był to niewielki, murowany budynek. Mimo wczesnej pory, kręciło się już wielu ludzi i wiele furmanek. Wysoki i ostry śpiew mechanicznych pił dochodził aż do gościńca. Silnie pachniało świeżo ścięte drzewo; było tutaj bardzo wiele drzewa poukładanego w stosy bali, drągów i błyszczących od żywicy desek. Wióry, którymi grubo usłane było całe podwórko, złościły się w słońcu.

Wysoki rzekł:

- Zapach świeżo ściętego drzewa zawsze działa na mnie jak zapach pieczonego chleba. Wiele przypomina. Tam, gdzie mieszkałem w młodości, było wiele lasów. Lasy płonęły czasem i często zabijały ludzi, którzy tam pracowali. Kiedy palą się lasy, niebo wygląda tak, jakby było odlane ze złota; wtedy nawet tym przeklętym świętym musi być gorąco.

Odwrócił się do małego i rzekł:

- Teraz pójdziemy do właściciela. Będziemy go prosić, żeby nas przyjął do roboty. Jemu potrzeba dwóch silnych mężczyzn. On będzie z nami rozmawiać. Ty musisz stać prosto. Rozumiesz? Musisz stać bardzo prosto. I głowę masz trzymać do góry. Musisz patrzeć na niego z pewnością, lecz nie bezczelnie. I staraj się stać nieznacznie na palcach; staraj się wydać wyższym niż rzeczywistość. Rozumiesz?

- Oczywiście – przytaknął mały. – A ręce? Czy pomyślałeś o moich rękach? W jaki sposób mam trzymać ręce?

- Musisz trzymać je tak, aby on chciał je kupić. Musisz starać się, aby on pomyślał, że jesteś silny, o wiele silniejszy niż w rzeczywistości. Jeśli pokapuje, że jesteś taki słaby, jak jesteś, nie będzie chciał nawet z nami gadać. Powtarzali nam wyraźnie, że jemu potrzeba do pomocy dwóch silnych chłopów. Rozumiesz? Inaczej przepadnie wszystko. On musi myśleć, że jesteś małym, krępy, silnym mężczyzną.

- Tak – odrzekł mały. – Nabiorę w klatkę piersiową powietrza. Czy mam nadać policzki?

- Po co?

- Mam przecież taką chudą mordkę jak sam święty Łazarz.

- Nie – rzekł bardzo łagodnie wysoki. – Nie myślę, aby to było konieczne. Twarz nie świadczy o niczym on tylko nie może poznać, że jesteś słabym, wymęczonym włóczęgą. Musi myśleć, że stoi przed nim silny i zdrowy mężczyzna. I wtedy on nas przyjmie. Chodźmy.

Ruszyli. Wysoki nie szedł jak przedtem – z przodu; szli teraz ramię w ramię, jak dwaj równi sobie siłą mężczyźni. Mały zacisnął kciuki i schował je wewnątrz dłoni – słyszał, że to pomaga; modlił się do Boga, lecz beznadziejnie mylił słowa i w pewnym momencie przerwał. Wysoki spojrzał na niego z niepokojem.

- Wyprostuj się – rzekł.

- Nie mogę już więcej – powiedział mały. – Już naprawdę nie mogę się więcej wyprostować. I tak czuję, jakby mi ktoś wsadził w środek pogrzebacz.

Wysoki przystanął. Twarz miał skurczoną przerażeniem.

- Czy wiesz – rzekł – co będzie, jeśli nie znajdziemy tu pracy? Znowu będziemy iść wiele kilometrów przez upał i przez deszcze; będziesz zdychać z głodu i wyczerpania; sto razy na minutę będziesz myślał, że nawali ci serce. I nie podejdzie do nas żaden człowiek z kawałkiem chleba, będziemy tylko my dwaj i głód. Będziesz znowu usiłował kraść. Czy pamiętasz jak pobił cię ojciec tego chłopca, któremu wyrwałeś szkolne śniadanie? Potem kazał podejść swojemu synkowi i kazał mu uderzyć cię w twarz, i mówił: ‘Oto, w jaki sposób powinno się traktować złodziei!’ I ten dziesięcioletni chłopiec uderzył cię w twarz.

- Po co? – szepnął mały. – Po cóż mi o tym przypominasz?

Wysoki ścisnął go za ramię.

- Trzymaj się prosto – szepnął. – Błagam cię, trzymaj się prosto.

Weszli na podwórko. Chwilę stali bezradnie, oszołomieni hałasem i mnogością obcych ludzi, którzy nieustannie przelatywali wzdłuż i wszerz placu. Jakiś woźnica krzyknął na nich z wysokości swego czubato naładowanego wozu, aby się usunęli z drogi, i przejechał obok nich, popędzając konie klątwami. Pod niskim mężczyzną trzęsły się nogi z przerażenia, wysoki przełykał ślinę, poruszając wystającą grdyką. Potem wyższy rzekł:

- Musimy poszukać właściciela.

Jakiś człowiek przechodził obok nich, dźwigając na ramieniu kilka desek i charczał z wysiłku. Wyższy mężczyzna rzekł do niego:

- Gdzie jest gospodarz?

Człowiek dźwigający przystanął i splunął im pod nogi gęstą śliną. Patrzył na nich przekrwionymi z wysiłku oczyma.

- Gdzieś tu się kręci – rzekł. – Widziałem go przed chwilą. Nie będzie przecież stał w miejscu i czekał.

- Jak go poznać? – zapytał niski.

- Gospodarza zawsze można poznać – odparł człowiek z deskami i splunął powtórnie. – Majowy z ciebie robotnik, jeśli nie potrafisz poznać gospodarza, mój miły. Szukacie tu roboty?

- Niczegośmy tu nie zgubili – odpowiedział wyższy. – Chcemy zarobić po parę groszy i wynieść się do wszystkich diabłów. To wszystko.

Człowiek z deskami roześmiał się ochryple i ruszył dalej. Oni podeszli aż pod budynek tartaku i tam stanęli, zupełnie ogłuszeni histerycznym jazgotem pił. Od huku trząsał się cały budynek.

- Niczego nie znajdziemy tutaj – powiedział żałośnie mały.

Wysoki spojrział w jego załzawione oczy i warknął:

- Zamknij mordę! O, Chryste! Czy ty naprawdę nie potrafisz przestać mówić?

- Nie będę już nic mówić – przytaknął posłusznie mały. – A jak przyjdzie gospodarz, czy mam udawać wyższego?

Wysoki nie zdążył odpowiedzieć, gdyż podszedł do nich jakiś mężczyzna. Był niski i krępy jak niedźwiedź, miał krwistą cerę rzeźnika, szorstkie, siwe włosy i puszyste brwi. Ubrany był w czystą, niebieską bluzę robotnika.

- Na co czekacie, chłopcy? – zapytał i brzmiało to przyjaźnie.

Niższy otworzył już usta, lecz wysoki ze straszną siłą ścisnął go za ramię.

- Przyszliśmy się dowiedzieć o pracę, panie gospodarzu – rzekł.

- Skąd wiesz – zapytał tamten – że to ja tu jestem gospodarzem? Widziałeś mnie?

- Coś przecież muszę wiedzieć – powiedział wysoki – jeśli chcę żyć.

- Znajdzie się chyba coś dla was – powiedział gospodarz. – Jestem dobrym gospodarzem, u dobrego gospodarza nie powinno zabraknąć pracy. Kto wam powiedział o tym?

- Mówił nam w miasteczku jakiś gość. Mówił, że potrzeba panu ludzi do ładowania drzewa na wagony. Robiliśmy już tę robotę.

Gospodarz patrzył na nich uważnie, kołysząc się z nogi na nogę.

- Do diabła – powiedział. – W tych małych miasteczkach jeden o drugim wie o wiele za dużo. Złoty dwadzieścia za dniówkę. Zgadzaście się, tak?

Nie czekał wcale na odpowiedź, odwrócił się i krzyknął na furmana.

- Tak – pośpiesznie powiedział mały. – Jasne, że się zgadzamy.

Gospodarz spojrział na niego i mały skurczył się.

- Cholera – powiedział gospodarz. – Nie wyglądasz pan za zdrowo. Zmęczony pan chyba jesteś, co?

- Nie – odpowiedział pośpiesznie mały. – Skąd? Ja zawsze tak wyglądam. Moja twarz nie świadczy o niczym. Jestem silny jak byk, tylko mam taką szczupłą twarz już od urodzenia.

- Jak byk? – powtórzył gospodarz i zaśmiał się. – Żeby wszystkie byki były takie jak pan, nie urodziłoby się ani jedno cielę. Po co pan zalewasz? Musiałeś się pan dobrze nagłodować, przecież ja to rozumiem. To żaden wstyd, dziś wielu ludzi jest głodnych. Głód jest dziś w powietrzu. Tylko po co pan zalewasz? Jestem starym żołnierzem i nie lubię, jak mi ktoś zalewa. Lubię ludzi, którzy walą prawdę. Tu był taki jeden, który opowiadał, że jest synem hrabiego Potockiego. Wywalilem go na zbity pysk i nie zatrzymał się, aż na dziewiątej wsi. Nie lubię, żeby mi zalewać. Rozumie pan?

- Ja nie zalewam – powiedział mały. Oczy zaszklily mu się łzami i zatrzęsła głowa. Nagle krzyknął:

- Co pan sobie myślisz, do cholery? Ja jestem mały, ale silny jak byk. Jestem krępowszcak. W zeszłym tygodniu na jednej zabawie pobilem trzech takich jak pan, panie gospodarzu. Nacięli się na mnie, bo jestem niski i oni myśleli, że jestem słaby. Teraz nie chcą ich przyjąć do żadnego szpitala. Niech się pan zapyta kobiet, jak ja im potrafię dogodzić. Niech on panu powie – szarpnął wysokiego za rękę. Wysoki milczał.

- Powiedz! – krzyknął histerycznie niski mężczyzna. – Powiedz panu gospodarzowi.

Lecz wysoki milczał w dalszym ciągu. Twarz gospodarza poczerwieniała i był teraz podobny do rozzłoszczonego raka.

- Do diabła – powiedział gniewnie. – Czy pan kpisz ze mnie? Co pan w ogóle wyprawia? Nie lubię, jak ktoś staje na palcach i zagląda mi w twarz, cholernie tego nie lubię. Po jakiego diabła pan robi te wszystkie głupie rzeczy? Co pan wyprawia ze swoją gębą? Nie jesteś pan przecież pajacem, tylko robotnikiem. Jestem starym żołnierzem i nie lubię, jak mi ktoś zalewa. Byłem sierżantem w szesnastym pułku, gdzie przysłano mi samych kryminalistów, i patrz pan – podsunął małemu pod nos ogromną, czerwoną pięść – patrz pan, jak ja ich potrafiłem trzymać. W tym ręku stawali miękcy jak szmaciane kukielki. Jeszcze raz panu mówię, abys mi pan nie zalewał. Nie sądzę, aby kobieta miała z pana choć chwilę pożytku. Rozumie pan? Lubię pomagać biednym ludziom, ale tylko takim, którzy mówią prawdę w oczy. Nie bądź pan durniem. Nie lubię, jak ktoś ze starego żołnierza robi idiotę, a ja sam jestem starym żołnierzem. Znam się na ludziach, rozumie pan to?

Mały stał przed nim i trząsał się. Wyższy milczał. Na jego twarzy malowało się rozpaczliwe postanowienie, aby nie powiedzieć ani słowa. Patrzył na wierzchołki zakurzonych lip i na stadko wróbli kołujących nad tartakiem... „To koniec – myślał wysoki, silny mężczyzna – to już koniec. Boże, ty widzisz, że to już koniec... Ja wiem przecież, że jeśli będę z nim cho-

dzić, to zdechnę, ale nigdy przedtem się nie najem. Chciałbym się nażryć. Ja już nigdy i nigdzie z nim nie pójdę. On ma głód w oczach i ci, którzy rozdają pracę, nie chcą tego widzieć. Boże, przecież wiesz, że zdechnę, jeśli dalej będę z nim chodzić.”

Nagle umilkło w nim wszystko i uśmiechnął się. Podwórkiem wciąż przejeżdżały naładowane wozy i warczał gdzieś samochód. Gospodarz mówił:

- Nie lubię, jak ktoś mnie buja. Nigdy pan nie bujaj. Oduczyłem kłamać cały pułk, to oduczę i pana. Chcę panu udowodnić, że pan kłamał.

- Nie kłamałem! – krzyczał mały i tupał nogami jak rozzłoszczony chłopiec.

Stała już wokół nich grupka ludzi i przysłuchiwali się uważnie. Gospodarz zwrócił się do nich:

- Patrzcie – powiedział. – Ten mały mówi, że jest silny jak jasna cholera. Mówi, że w zeszłym tygodniu pobił trzech silnych chłopów... – Nagle zająknął małemu w oczy i rzekł: – Podaj mi pan swoją rękę. Mały usłuchał i posłusznie podał mu rękę. Przysiedli, oparli łokcie na olbrzymim, spiłowanym kłocu. Gospodarz powiedział:

- No, zobaczymy.

- Nie jestem wcale słaby – powiedział rozpaczliwie mały i zamrugał oczami. – Nie jestem wcale słaby! Krzyknął z całych sił i wybuchnął płaczem.

- Ho – op! – zawołał gospodarz i w jednej chwili uporał się z jego ręką.

Ludzie stojący wokół wybuchnęli grzmiącym śmiechem. Mały zakrył oczy rękami, lecz podcięty ludzkim śmiechem, skoczył nagle i uderzył w twarz gospodarza.

Nadszedł wieczór. Błądzili po pustawych okolicach miasta. Była to godzina prostytutek, pijanych i głosu harmonii. Na gładkie, ślepe niebo wspiął się czerwony księżyc. Przed domami siedzieli ludzie i obserwowali przechodniów. Gdzieś zza miasta niósł się głos żołnierzy. Zapalały się gwiazdy; dachami przemykały koty; ulice pachniały kapustą, wiosną i perfumami pośledniego gatunku. Księżyc złocił bruki; przejeżdżały z turkotem dorożki; przed którymś z domów siedział pijany dozorca i śpiewał baranim tenorem.

- Dlaczego? – zapytał wysoki mężczyzna. – Dlaczego mówiłeś o tych kobietach?

- Ach, daj mi spokój – powiedział mały.

Małemu wciąż puchło oko; krwawił, syczał z bólu. Dzwony na kościołach poczęły bić godzinę dziewiątą; ludzie ziewali i wracali do domów; z narożnego baru „Pod Motylem” wyrzucano pijaka i szurnięto za nim kapelusz. Pijany wskazał ręką niebo i powiedział: „A Mańka jest kurwa, jakiej gorszej nie ma”. Potem podeptał swój kapelusz i zapłakał. Przeszli obok niego, przeszli przez wiele ulic i znaleźli się za miastem. Od wilgotnych łąk nadciągało świe-

że powietrze; w ciemnościach przelatwały nocne ptaki. Niedaleko były mokradła: tam lubieżnie wrzeszczały żaby.

Daleko przed nimi majaczył krzyż; ludzie wiejscy zawsze stawiają krzyż na rozstajnych drogach, aby Bóg prowadził ich tam, dokąd idą. Tam, dokąd podążają, prowadzi ich bolesna twarz Chrystusa.

Niski, słaby mężczyzna dojrzał ten krzyż i szedł ku niemu; kiedy zaś doszli do krzyża, przystanął i powiedział do wysokiego, silnego mężczyzny:

- Ja tu odpocznę.

Upadł natychmiast i przytulił poranioną twarz do chłodnej i perlistej trawy. Wysoki powiedział:

- Ja idę dalej. Musimy iść dalej, słyszysz?

Mały wstał i poszedł za wysokim. Lecz po kilkunastu krokach znów usiadł na ziemi.

- Idź – rzekł. – Ja już nie pójdę dalej.

Wysoki usiadł koło niego. Mały mówił:

- Ja już dalej nie pójdę. I nie ruszę się stąd. Idziemy już wiele nocy i nie widać kresu tej drogi. Dalej musisz iść sam. Ja tu zostanę.

Wysoki mężczyzna milczał, a po chwili rzekł bardzo cicho:

- Tak, ja myślałem o tym, już bardzo dawno. To chyba lepsze dla ciebie. Tam nikt już nie będzie cię mógł uderzyć ani odepchnąć. Nikogo nie będziesz potrzebował prosić o pracę. Nikt nie zapyta cię o papiery, nikogo nie będziesz potrzebował prosić o nocleg, chleb lub wodę. Myślałem o tym już dawno, lecz nie chciałem ci tego powiedzieć. Chciałem, abyś zrozumiał to sam.

- A Bóg? – rzekł mały. – Tam jeszcze będzie Bóg. A jeśli tam trzeba będzie prosić o nocleg i pracę Boga? A Bóg będzie odpowiadać: „Nie mam wolnych miejsc, nie mam dla ciebie żadnej pracy, nie mogę cię przenocować, musisz iść dalej”, to co wtedy?

- Był kiedyś Bóg – powiedział wysoki. – Szło się tam i tam był Bóg. Lecz nie ma już Boga. Zabito Go i pogrzebano. Teraz trzeba tam iść samemu; przedtem był On, niewiadomy i straszny, ale szedłeś do kogoś. Teraz idzie się samemu. Nie ma tam ani bliskich, ani przyjaciół, ani wrogów. Dzisiaj już nie ma Boga. Gdyby dzisiaj zszedł na ziemię Chrystus, nie trzeba by Go krzyżować; dziś Chrystus skonałby z głodu.

- Bóg – mówił w zamyśleniu mały i słaby mężczyzna. – Bóg nie przyszedł do nas z Jeruzalem; On przyszedł stąd, z tego miasteczka, z przedmieścia, gdzie mieszkają najbiedniejsi, bezrobotni i bezdomni. Szedł tą samą drogą, co i my; może pytał o pracę w tym samym tartaku? I jemu także mówili, że nie mają nic dla Niego. A potem zabili Go bogaci. Był przecież

słaby i chorowity jak ja. Chociaż nie. On był wysoki, silny i ładny jak ty. Dlatego Go zabito. Mnie nikt nie chciałby krzyżować.

Milczeli. Po chwili mały rzekł:

- Bogowie także umierają z głodu, prawda?

- Tak – odparł wysoki.

- Tam już nikt nie przegna mnie z miejsca, które wybiorę do snu – mówił mały. – Nikt nie zapyta mnie o dokumenty. Ani o kartę redukcyjną. Nikt mi nie powie: „Młody jeszcze mężczyzna, a nie wstydzisz się żebrać”. Nikt nie uderzy mnie w twarz. Nie będę nikogo prosić o zapomogę. Nikt już nie spuści na mnie psa. Nikt nie zawoła na mnie policji. Tam już nie będzie policji, prawda?

- Tak. Tam policja nie ma nic do gadania.

- I nikt już nie będzie gonić mnie dalej, abym znów szedł w deszcz, śnieg czy upał, dlatego, że gdzieś tam jest ktoś, kto potrzebuje człowieka, aby mu porąbał przez dwie godziny kupę drzewa. Prawda?

- Tak – potwierdził wysoki, silny mężczyzna.

- I o tobie nikt mi nie będzie już mówił: „Jak on się nie wstydzisz włóczyć, ten pański kolega, ten wysoki, silny, ładny mężczyzna”. Prawda?

- Tak. Nikt ci tego nie powie.

- I nie oszuka mnie już żadna kobieta. Nie powie mi, że mnie kocha, nawet jeśli dam jej pięć złotych. Prawda?

- Tak.

- I nikt – ciągnął w zachwycie mały – nikt mnie już nie przegna. Może będę widzieć coś stamtąd. Może będę widzieć to, czego nie wiemy my, dwaj mężczyźni na drodze. Teraz ty odejdziesz, a zanim dojdiesz do tego młyna, gdzie masz dostać pracę, ja już będę tam.

Wysoki milczał. Po chwili rzekł:

- Wybacz mi.

- Co?

- To, co mówiłem. Że powinieneś tam pójść. Ja tak nie myślałem. My, ludzie, musimy iść do końca. Nawet wtedy, kiedy nas gonią i kiedy nikt nas nie kocha. Musisz mi to wybaczyć. My, dwaj mężczyźni na drodze, musimy iść dalej.

Wstał.

- Nigdzie stąd nie pójde – rzekł mały.

- Chodź! – krzyknął wysoki i brutalnie chwycił małego za rękę. A kiedy uszli już kawałek drogi, objął go ramieniem i rzekł:

- W tym młynie na pewno dostaniemy pracę.
- Trzymać głowę prosto? – zapytał mały. – A jeśli on znów pozna?
- Nie pozna – powiedział wysoki. – My, ludzie, musimy mieć coś dla siebie takiego, aby nie poznali w nas tego inni. Czy inni ludzie wiedzą i poznają to, że my, dwaj mężczyźni na drodze, jesteśmy obaj silni i zdrowi?

1955

BAZA SOKOŁOWSKA

Rzucony z daleka od miasta transport, a mówiąc potocznie baza, gniótł się na peryferiach Woli w zaułku ulicy Sokołowskiej. Stanowczo słowo *baza* brzmiało zbyt szumnie i obszernie w odniesieniu do tego małego placu, zatłoczonego samochodami. Garaż był to dawny magazyn żelaza. Pośrodku stała dobudowana z desek obitych papą budka dyspozytora; dalej, na końcu placu był warsztat: tam królował gruby Gienek Durczak ze swoją brygadą.

Po placu, wśród samochodów, pomocników i szoferów, uwijał się kierownik techniczny bazy, kulawy Rustecki. Do Rusteckiego mówiło się „szefie”. Szef pasował do tej całej kołowania – ze swą ruchliwą postacią, donośnym, ochryplym głosem, wyszmelcowanym czarnym fartuchem, wreszcie ze swymi pokancerowanymi rękami. Te nieforemne ręce potrafiły wszystko: wyregulować najbardziej oporny gaźnik, uciszyć klapiący zawór, zmusić do gadania milczący silnik. Nawet Durczak, brygadzysta z warsztatu, uchodzący w tych sprawach za największy autorytet, milkł z szacunkiem, gdy techniczny podnosił maskę samochodu. Wszyscy, nawet zarozumiały Karolak, mówili: „Ma, ma globus Rustecki”. Był to fakt bezsporny, stwierdzony przez całą załogę, niepodlegający dyskusji.

Załoga była liczna, zżyta, zgrana z sobą. W bazie wszystko łączyło ludzi: stare „trupy”, na których jeździli, wspólne kłopoty, ciężki zawód, który się tyle razy wyklinało w cholery, a którego przecież nikt by nie zmienił, gdyby przyszło co do czego. Ludzie razem pracowali, scementowani ze sobą ofiarami i koleżeńscy, chociaż o tym nie mówiło się nigdy. Bo i po co? I tak każdy wiedział, że jak trzeba, to „chłopaki pomogą”. I pomagali. Dzielili się ze sobą wiadomościami zdobytymi przez całe lata tarapaniny z wozem, ściągali się nawzajem z bezdroży, gdy któryś „rozkraczył” się po nocy, daleko od bazy ratowali się nawzajem jakąś świecą, czy inną częścią skombinowaną z trudnością. Były to pierwsze lata powojenne, pierwsze ciężkie lata, bez warsztatów, bez części – a transport miał chodzić.

W tym zbiorowisku ludzi zaciętych, szorstkich, takich, którzy i dwie noce potrafili przeleżeć pod wozem, aby tylko o własnych siłach dojechać, znalazł się nagle Michał Kosewski. Skąd się znalazł – nie wiadomo. Był młody i to właściwie tłumaczyło wszystko: wielu młodych garnie się za kółko. „Ciapciak” – mówił warsztat. „Niemowlaczek zasrany” – twierdził

dyspozytor Kurka (dwadzieścia pięć lat za kółkiem), a ogólnie było wiadomo, że takich, jak Kosewski to nie ma, nie było i nie potrzeba.

Szef Rustecki nic nie mówił, patrzył tylko z politowaniem, jak Kosewski męczy się ze swoim wozem, który w tych rękach „no, nie chce chodzić, cholera...”. Nawet konwojenci mówili: „Nie, panie, ja z nim nie pojedę za Boga. Przecież to tabaka życiowa. Nie wiadomo kiedy i jak przyłgnęło do niego przezwisko „Student” i trzeba przyznać, że niewesołe życie miał ten dziwny student.

Wśród masy kpiarzy, wyśmiewających i wyszydających, zwłaszcza tych starszych, dla których był czymś w rodzaju papugi kataryniarza, Kosewski miał tylko dwóch przyjaciół, których istnienia się nie domyślał. Jednym z nich był Stefan Kamiński, drugim Szymaniak. Tych dwóch ludzi rozumiało go, broniło i pomagało ze wszystkich sił. Tak, jak z Kosewskiego śmieli się wszyscy, nawet ci najmłodsi, jeżdżący na najgorszych „trupach”, tak Kamiński cieszył się ogólnym poważaniem. „Szanowanie, panie Stefcu” – mówili najmłodsi. „Jak się masz” – pozdrawiała go brygada Gienka. „No jak, panie Stefcu, jak leci?” – zatrzymywał go Solecki, dyrektor transportu, choć wiedział, że u Stefana wszystko musiało „lecieć na medal”. Stefan był młodym kierowcą, kochał wóz i dbał o ten wóz jak o najdroższą istotę. „Co ty, Stefan, ślub brałeś z tym dżemsem, do cholery?” – pytali niektórzy. Wielki wóz był zawsze wypucowany, błyszczał jak zegarek, aż kłuł w oczy.

Krańcowo różną sylwetkę tworzył Kosewski. Chudy, pajęczonogi, mizerak, aż drażniący w swojej niezaradności, w żaden sposób nie dawał sobie rady z wozem. „Z niego szofer jak z koziej dupy trębacz” – mówili wszyscy i naprawdę wydawało się, że kozi fragment byłby lepszy niż ten zalękniony, niezaradniutki Student.

Jak ryba bez wody, tak Rustecki nie mógł obejść się bez bazy. Tu dopiero, pośród warkotu silników, wymysłów kierowców i gorączkowego rytmu pracy żył naprawdę: to właśnie tworzyło jego żywioł, pasję. Ten kaleki człowiek żył bazą, kochał ją po swojemu: milcząco, spokojnie. Można to było wyczuć mimo jego pozornej oschłości. Jednego Rustecki nie znosił: leni i nedorajdów. I jednych, i drugich tępił bez litości: zsadzał z wozów, prznosił na najgorszą robotę albo w ogóle usuwał.

Kosewski bał się szefa jak ognia, karłał pod jego spojrzeniem. Oczy technicznego przenikały samochód na wskroś z drażniącą dokładnością aparatu rentgenowskiego, w mig wykrywały niedokręconą śrubę lub kawał zaschniętego błota. Techniczny wtedy nic nie mówił. Patrzył na delikwenta i ten czytał w jego spojrzeniu wszystko, co najgorsze dla siebie. Albo spóźnić się z wyjazdem. Boże, co to wtedy było! Rano Rustecki podbiegał do okienka dyspozytora.

- Jak tam, panie Kurka? Wszyscy już wyjechali?

Flegmatyczny, opasły Kurka rzucał okiem na tablicę.

- Wszyscy. Jeszcze tylko Pawlak, Kosewski i Stefan.

- Stefan? – dziwił się techniczny. – Coś pan?

Zaklął i pobiegł do Pawlaka.

- No, co jest, panie Jasiu? – krzyknął do kierowcy kręcącego się przy wozie.

Pawlak odwrócił się. W jego oczach zamigotały iskierki złości.

- A ja wiem, co jest? Nie chce zapalić.

- To zassij go pan.

- Już próbowałem, nie daje rady.

- No, a spróbuj pan jeszcze raz.

- O, rany Boskie! Mówiłem, że nie. Trzeba go szarpnąć.

- A co on zawsze tak ciężko pali?

- Nie, tak to omega... Tylko teraz styki ma zjechane.

- No to co? Nie potrafisz pan sobie nowych wypisać z magazynu? Ech, jak Bo...

- Zaraz, co pan krzyczysz? Po co ta mowa? Byłem w magazynie, nie ma nowych.

Rustecki zakręcił się w miejscu.

- Czekaj pan, polecę po Stefana, to pana pociągnie. Jak z dziećmi, jak Boga Kocham, jak z dziećmi...

Kamiński siedział w swoim wozie, rozgrzewał silnik. Koło niego Kosewski kręcił korbą swoją „doczkę”. Włosy opadły mu na oczy, czoło błyszczało potem.

- Panie Kamiński – wysapał Rustecki. – Chodź pan, pociągniesz pan tego Omegę...

- Pawlaka?

- Tak, tak. Podjedź pan.

- A co mu jest?

- Nic mu nie jest: on mówi, że styki, a ja, że zalany po prostu. No, jedź pan, jedź pan.

Kamiński ruszył, podstawił się tyłem do Pawlaka.

- Zaczep się kabestanem, Jasiu – powiedział do niego. – I pomału, bez nerwów...

- Dobra! Możesz.

- Na trójkę go! – krzyknął Rustecki.

Pawlak zmarniał w ustach przekleństwo pod adresem technicznego.

- Sam wiem – warknął. – Po cholere się pan wtrącasz? Jedź, Stefan.

Stefan wypełnił warkotem halę. Widział w lusterku wściekłą twarz Pawlaka kapiącego w akcelerator. Przeciągnął go spory kawał po placu – nic.

- No, co jest, Jasiu? – krzyknął. – Może prąd, co?

Pawlak rozłożył ręce.

- Dawaj jeszcze, dawaj...

Studebaker strzelił parę razy w tłumik, przekrztusił się i zabasował równo. Rustecki odechnął.

- A widzisz pan? – powiedział triumfalnie. – Mówiłem, że jest zalany.

Twarz Pawlaka pociemniała z pasji.

- Gówno! – ryknął. – Nie ucz mnie pan!

I zanim techniczny miał czas odpowiedzieć, wytoczył się z rykiem z bramy; pomocnik ledwo zdążył wskoczyć.

- Daj pan spokój. – powiedział pojednawczo Kamiński na widok wścieklej miny technicznego. – Nie zna pan Janka? Nie ustąpi za Boga...

Rustecki machnął ręką. – Dobra, dobra. No, odjazd.

- Moment. Tylko książkę wezmę.

„Jeszcze tylko ten cholerny Kosewski, jak zwykle” – pomyślał Rustecki z rezygnacją.

Michał, klnąc na czym świat stoi, szarpał rozpaczliwie swój wóz. Silnik zaskakiwał i gasł. Widok tego niezdary poderwał Rusteckiego.

- No, co jest? – zapytał ostro. – Czego nie wyjeżdżasz?

Kosewski otarł wierzchem dłoni mokre czoło.

- Nie wiem właśnie, co jest, panie kierowniku.

Techniczny wzruszył ramionami.

- To kto ma wiedzieć, panie Kosewski? Może ja? Co? Albo może proboszcz z Kaczych Dupek?

Złość nagromadzona na Pawlaka, trzasnęła teraz w Michała.

- No, powiedz pan? – warczał Rustecki. – Bo może ja jestem taki głupi? Co pan zrobił z tego wozu, do cholery, co? Na nim latał przedtem Skórka i minuty nawet nie stał. Myślisz pan, że baza to jest ochronka dla niemowląt, czy co, do cholery? Tu trzeba rabotać, do diabła!

Kosewski milczał. Techniczny widział, jak nerwowo łamie sobie palce i żal mu się zrobiło tego niezdary.

- No, nie stój pan jak na weselu. Rób pan coś. Albo leć na warsztat, niech Gienek da kogoś, żeby przyszedł i zobaczył. Jazda...

Ktoś roześmiał się za plecami Rusteckiego.

- Wóz ino gwizda, tylko szofer... Poznał po głosie Karolaka. – Ach, szkoda mowy nawet – machnął ręką. – Dzieciaków naprzyjmowali i taki skutek, psiakrew! A pan dlaczego nie wyjechał, panie Franku?

- Konwojent jeszcze nie przyszedł, czekam...

Rustecki pokulał w stronę warsztatu. Do Michała podszedł Kamiński, milczący świadek tej rozmowy. Sam, będąc młodym, dobrze rozumiał bolączki początkujących.

- Czekaj, czekaj – przytrzymał go za ramię. – Nie spiesz się tak na warsztat. Sami zobaczymy.

Kosewski wybąkał pod nosem jakieś podziękowanie. Poszli.

- Otwórz no maskę tej... I ty się tak, bracie, nie przejmuj – mówił Kamiński z głową w silniku. – Stary jest najlepszy człowiek, tylko trzeba go poznać. Ma już taki charakter; lubi, żeby wszystko grało. Masz kombinerki? Ale ty się nie przejmuj za bardzo i tylko rób swoje, a zobaczysz, że wszystko będzie gites, ani się obejrzysz, jak złapiesz ten dryg... Daj no śrubokręta... A na warsztat też nie lataj z byle czym, bo cię znienawidzą. Będziesz miał coś, to przyjdź do mnie, sami pokombinujemy. A na innych... Masz czternastkę, klucza? A na innych też nie patrz, że się śmieją. Sami nie pamiętają, jak byli głupi. Niech się śmieją, niech ich krew zaleje, tylko ty się nie łam tak głupio jak chamski scyzoryk. Wóz to faktycznie masz nie daj Boże, ale jeszcze polata. Nawali ci coś, pomyśl, pokombinuj, ale na zimno, spokojnie, to jest zasada. A nie tak nerwowo jak ty... No, złap no się za korbę.

Kosewski przekręcił raz i drugi – nic. Stefan dopompuwał benzyny do karburatora.

- No, teraz! Śmiało w łeb!

Silnik kopnął, oddał wczesnym zapłonem, aż Kosewski, niezdarnie uczepony korby, poleciał w bok. Widok głupi i żaloszny zarazem; Kamiński nie mógł się nie uśmiechnąć. Wyskoczył z siedzenia i sam wziął korbę.

- Człowieku, tak się nigdy nie trzyma. Kopnie i rękę przetrąci. O, tak... O... – zacisnął jego palce dokoła rączki.

Dłoń była krucha i wiotka, z długimi palcami i tak dziwnie, tak jakoś nie pasowała do tego masywnego metalu, że Kamiński aż się zachnął. Wytrwał jednak do końca, cierpliwy w swej roli nauczyciela.

- No, i teraz na podrywkę go!

... Kosewski zakręcił i silnik zagadał. Stefan odsapnął i odrzucił do tyłu swoje sypkie, jasne włosy. „Oferma, bo oferma” – pomyślał i zapytał:

- Gdzie masz dyspozycję?

- Na Port.

- No, to lecim razem.

Ostatnie dwa wozy przetoczyły się przez halę. Rustecki odetchnął z ulgą. Wszystkie wozy wyszły oprócz tych, co w remoncie. Teraz można sobie pozwolić na krótką chwilę odpoczynku, wypić kawę przyniesioną w butelce z domu, przelukać gazetę. Najgorętsza część pracy, ranek, była już poza nim. Szef nie wierzył nikomu. Każdy wóz wychodzący z warsztatu musiał przejść przez jego czujne ręce. Lubił wysądować wszystko, każdą sprawę własnym okiem i rozumem – rzeczowo, po gospodarsku. Gienek Durczak, brygadzysta, czuł się tym szczególnie urażony. Ile razy Rustecki przychodził do warsztatu i, doglądając roboty, zwracał Gienkowi na coś uwagę, Gienek występował krok naprzód, obcierał ręce w szmaty, wciągał na twarz wyraz uroczystej powagi i każdy wiedział, co „Gruby” powie:

- Panie szefie, mnie nie trzeba mówić. Ja nie taki warsztat miałem pod sobą. Dwieście kilkadziesiąt wozów, maszyny, buzi dać. – Gienek cmokał końce brudnych palców. – Rozumie pan? Co my tu szewcy jesteśmy, roboty nie znamy, czy co?

- Panie Durczak – wpadał mu techniczny w środek oracji. – Ta panewka jest spieprzona, widzi pan?

I dalej – się kłócić. Zresztą – kłócili się stale, o każdy szczegół. Durczak na każdą sprawę miał odmienny punkt widzenia. Jak Rustecki mówił, że właśnie tu trzeba dać bolce wzmocnione o dwie dziesiąte milimetra, Gienek wybuchał szyderczym śmiechem, że obwisły kałdun podskakiwał mu pod szyję.

- Dwie dychy! A po cholere? Żeby tuleje roztaczać, co pan szef? – pukał znacząco w czoło. – Dychę się da i będzie gites.

Gites było to słowo magiczne, słowo oznaczające robotę tak dokładną i precyzyjną, że żadna maszyna ani przyrząd nie były w stanie wykazać stopnia jej doskonałości. „Jak tam wóz, panie Gieniu?” – pytaliśmy przy odbiorze. Brygadzysta przybierał majestatyczną pozę, parskął długo i znacząco, mrużył oko i wtedy wiedzieliśmy, że za chwilę padnie to najdonioślejsze z najdonioślejszych słowo: *gites*! A w ogóle, chłopaki z warsztatu, wszyscy byli „na *gites*”.

Edek Dabler, przygarbiony, klnący przy robocie jak szewc, z miną zawsze skwaszoną. Samochody bały się jednak tych jego robaczywych pacierzy. Jak Edzio zrobił wóz, „muchy nie siada”. Albo Stasio elektryk: ten to był artysta. Jego ręce czuły się pewnie i swojsko wśród tej całej plątaniny kabli i połączeń, aż zazdrość brała. Pracował zaciekle, z pasją, tylko mu koniuszek przydługiego nosa czerwieniał z przejęcia. A Janek Zajdel, a stary Lasecki, co syna chciał na księdza. Każdy był pewien, że wóz w tych rękach będzie traktowany troskliwie jak pacjent.

Nie wszystkich jednak defekty były przyjmowane z takim zrozumieniem i powagą. Kiedy zajeżdżał na przykład Kamiński czy mały Franuś Karolak, Gienek przerywał pracę i wtedy następowało konsylium, możliwie najwnikliwsze, naszpikowane fachowymi wyrazami, niepojętymi w żaden sposób dla zwykłego śmiertelnika, przeplatane gorącymi klótniami.

- Wentyle podpalone – mówił Dabler. – Dlatego wali w karburator.

- Coś pan, panie Edziu – mówił stary Lasecki. – Dychtung puścił pod głowicą i fałszywe powietrze łapie.

W końcu zabierał głos sam Gienek i wóz rozbebeszano według jego wskazówek.

Ale kiedy zjeżdżał, na przykład, Michał, witano go jak anioła w piekle. Gienek był wściekły, pikował w niego spojrzenie mogące zwalić z nóg najwytrwalsze medium i nie zbliżając się do wozu, wołał:

- Panie Edziu, zobacz pan, co tam znowu jest! Kosewski z drzeniem serca ślizgał się do Rusteckiego po zlecenie naprawy, a Dabler posyłał za nim tasiemcową litanie przekleństw. Edzio, wiatracząc swymi długimi rękami, usuwał defekt w pięć minut i Kosewski, mieniąc się ze wstydu, odjeżdżał tylko po to, aby jutro znowu przyjechać z defektem – najgorszym, niespotykanym, niemożliwym do usunięcia.

Nie to jednak było najgorsze. Najgorsze było „rozkracanie się” gdzieś na mieście, daleko od bazy, w dodatku z towarem i ludźmi. Trzeba było wtedy dzwonić, prosząc o ściągnięcie. Taki telefon o ratunek wyprowadzał z równowagi Rusteckiego, niweczył ułożony w najdrobniejszych szczegółach plan dnia. Telefon z miasta do Rusteckiego nigdy nie wróżył nic dobrego: albo samochód oczekujący na ściągnięcie, albo zatrzymany przez milicję za brak światła czy coś tam, albo – co się czasami zdarzało – za pijanego kierowcę. Z takimi, zresztą, Rustecki żegnał się szybko, chociaż sam lubił wypić, zwłaszcza raniutko, żeby – jak mówił – „na czczo papierosa nie zapalić...” Ale na wozie i w robocie – nie! Telefonistka od razu domyśliła się, kto dzwoni. Głos z drugiej strony przewodu zawsze zająkiwał się zdenerwowaniem. Mówiąc: „Łączę dalej” – już widziała wściekłą minę Rusteckiego. Na odgłos dzwonka Rusteckiego podrywało, rzucał się do słuchawki i mówił głosem możliwie najbardziej opanowanym:

- Baza Sokołowska, słucham.

Twarz jego była jakby ekranem rozmowy i dyspozytor Kurka w lot miarkował, o co chodzi. Jeśli wszystko było w porządku, techniczny wypogadzał się natychmiast. Jeśli nie, ręka jego kreśliła na papierze zawile esy – floresy i Kurka wiedział, że techniczny sztachnie się ze zdenerwowania papierosem i warknie z wściekłością:

- Panie Waławie! Bandaruk stoi na żelaznej. Trzeba go ściągnąć. Pchnij pan jakiś wóz. – I za chwilę doda z rozgoryczeniem w głosie, jakby miał żal do samochodu o to, że się popsuł: – Pompa mu nawaliła, psiakrew.

Tak toczył się dzień pracy w bazie, każdy trudny, każdy inny od poprzedniego. Samochody wyjeżdżały rano, pierwsze o świcie, ostatnie zjeżdżały nieraz późno w nocy, zabłoczone, zakurzone, powracające z dalekiej drogi. Przetaczały się, dudniły donośnym basem na hali, wprowadzane do tyłu ruchem ręki dyżurnego kierowcy. Musiały stać równym rzędem obok siebie: łeb w łeb, po wojskowemu. Techniczny lubił porządek. Osobno stały zisy, osobno dzemsy, i osobno opelblitze. Sołecki, kierownik całego transportu, lubił pokpiwać sobie z pedanterii Rusteckiego. Sam był jak żywe srebro – krzykliwy, gestykulujący zawzięcie, urywający w pół zdania, aby zacząć z zupełnie innej beczki. Był jednak ogólnie poważany i lubiany. Wiedział dobrze, czego ludziom potrzeba, był w stosunku do każdego szczery i przyjacielski i wszyscy zgadzali się, że Sołecki to „charakterny człowiek”.

Był jeszcze jeden człowiek w bazie żyjący naszymi troskami jak swymi własnymi, cieszący się z naszych osiągnięć i przeżywający wspólne klęski. Jeśli Rusteckie był kośćcem bazy, Sołecki jej nerwem, to Szymaniak, sekretarz partii, był jej sercem. Nikt nie jest w stanie obliczyć, ile włożył pracy i sił w sprawy bazy, ile marzeń i Szymaniakowego serca tkwi w niej. Baza była jego dzieckiem: rozgrzewał, pomagał, grzebał się razem z nami w silnikach, aby za chwilę lecieć na dzielnicę, z rękami czarnymi jeszcze od smaru. Właśnie ten Szymaniak, może on jedyny, wierzył w Studenta.

- Zobaczycie, to będzie jeszcze taaaki chłopak.

To „taaaki” ilustrowała zgięta w łokciu ręka. Tłoczył w nas tę wiarę, osłaniał nią tamtego, aż w końcu nas zaraził i zaczęliśmy wierzyć, że jeśli Broniek tak mówi, to chyba tak musi być, do cholery! Do dziś właściwie nie wiadomo, czy Szymaniaka ze Stefanem łączył jakiś cichy spisek dotyczący Michała. Szymaniak mógł Kosewskiemu z trudem wydzielić część swego czasu, szarpanego na wszystkie strony, którego ciągle miał za mało. Za to Stefan mógł Kosewskiego dobrze podciągnąć, pracując z nim na jednej trasie. Szymaniak obgadał sprawę z dyspozytornią i odtąd mała rozkraczona „doczka” jeździła dzień w dzień z Kamińskim. Tak przejeździli całe lato. Na oko Kosewski trzymał się „ostro”.

Z początkiem jesieni Stefan zaczął latać po ziemniaki w dalekie drogi i Student został sam, na łasce losu, podcinany złymi spojrzeniami. Dni przychodziły coraz zimniejsze, godziny pracy dłużyły się, jakby zrobione z gumy, na gorsze człowiekowi, i nie było Stefana, który pomagał, pomagał i pomagał. Szymaniak musiał przyznać sam przed sobą, że wybrał kiepski środek wychowawczy. Przyzwyczajony do ciągłej pomocy, Kosewski zaczął „nawalać” i

znowu powrócił do roli symbolu niedołęstwa. Wyśmiewał go bezlitośnie mały Karolak, zwany diabli wiedzą czemu „Karmazynem”, malutki Franuś, który musiał sobie podkładać poduszki pod tyłek, takie miał krótkie nóżki. Czego nie mógł dokonać siłą lub wzrostem, w trójnasób nadrabiał głosem. Nie istniał taki drugi krzykacz na świecie. Karmazyn, gdy mu ktoś zajechał drogę, królując nad ulicą ze swego wielkiego wozu, uciszał hałas uliczny przeraźliwym krzykiem:

- To tak się jeździ, ty w mordę taki, nie taki?

Ludzie na obu chodnikach aż przysiadali pod ciężarem Karmazynowych przekleństw. Aż dziw brał, skąd, w jaki sposób z tej nikłej figurki dobywa się taki głos: głęboki i dudliwy. Nawet furmani z „Syberii”, którzy w przekleństwach mają od lat niepodzielne mistrzostwo świata, milkli bezradni. – Jazda, jazda, ty mendo na kaczych nogach, jazda.

Odjeżdżał z kopyta, syty wrazeniem, jakie wywołał – mały, chudy chłopina, po prostu pokurcz – odprowadzany długą, mściwą litanią przekleństw. Ten właśnie Karmazyn nie dawał żyć Kosewskiemu. Zajeżdżał mu drogę pod szlauch, zajmował miejsce na hali, podcinał przekleństwami misternie dobranymi od matki po prababkę, aż w końcu milczący, spokojny Kosewski nie wytrzymał.

Po pracy Michał wziął z magazynu nożną towotnicę, aby przesmarować swój wóz. Przez jakiś czas pracował w milczeniu, wciskając zawzięcie smar do kalamitek, gdy nadszedł Karolak. Zaczął marudzić, przynaglać Michała, dogryzać mu, widząc, jak tamtemu ręce zaczęły się trząść ze zdenerwowania. W końcu, skląwszy go od ostatnich, uznał, że jest górą i wyrwał mu towotnicę z roztrzęsionych rąk. Wtedy nagle w Michale ocknęła się wściekłość. Podskoczył do Karolaka, zawinął się, pchnął go z desperacką siłą, aż tamtemu łeb zadzwonił o maskę samochodu, i z powrotem wziął się za smarowanie, choć nie mógł ręką trafić do kalamitki. Pewnie by się skończyło inaczej, ale nadbiegł już Szymaniak i przykusztował Rustecki.

- Dzidziusie, spokój, nie robić bajzlu, do cholery!

W ten niechwalebny sposób Kosewski „złapał” trochę spokoju ze strony Karolaka i jego kumpli. Zaczęto go uważać za „wilka”, co to milczy i nigdy nie wiadomo.

Całe to zajście najwięcej zmartwiło Szymaniaka. Przykład udowodnił mu, jak bardzo samotny jest ten niezdarly chłopak ze swymi zmaganiem w ciężkiej robocie, wśród obcych mu ludzi, w nieznanym środowisku, z którym nie potrafi się jakoś skleić. Na wielkiej masówce – z okazji zjednoczenia partii robotniczych – Kosewski siedział sam, wciśnięty w najciemniejszy kąt sali i Szymaniak z trudem wyłowił go wzrokiem pośród bruku ludzkich głów. Narada była długa, gorąca, kłótniwa, aż Szymaniak schrypnął od ciągłego nawoływania: „Spokój, towarzysze!” Mała salka świetlicy nabita była po brzegi, pełna cierpkiego zapachu skóry bijącego

z kozuchów i błękitnego dymu z papierosów, który pełzał pod sufitem. Podejmowano zobowiązania na cześć kongresu: duże i małe, idące w dziesiątki tysięcy i prawie śmieszne, takie, które można było tylko mierzyć sercem.

Mówił Pawlak, wysoki, bryłowaty, budzący zaufanie swoją ciężką sylwetką. Przeżywalismy go Omega, bo mówił: silnik omega, wóz omega, nawet kobieta też omega i tak sam został – Omega. Stał, rozkraczywszy szeroko nogi w filcakah, jak dwa filary, wysoki i masywny, rąbiąc słowa z namysłem:

- Dla uczczenia kongresu zjednoczenia – mówił – zobowiązuję się przejechać na powierzonym mi wozie sześćdziesiąt tysięcy bez naprawy głównej.

I po dłuższej chwili, jakby czegoś zapomniał:

- Niech będzie sześćdziesiąt pięć. Mój wózek to jeszcze omega, polata...

Śmiech strzelił razem z oklaskami. Szymaniak przygasił salę ruchem ręki.

- Zobowiązanie towarzysza Pawlaka przyjęto. Kto tam następny, towarzysze, no, śmiało, śmiało... No?

Podniósł się Gienek Durczak, brygadzysta z warsztatu.

- Ja ze swoją brygadą zobowiązuję się przepracować sto roboczo – godzin.

- Sto dwadzieścia, panie majster, sto dwadzieścia – zasyczał przejmująco ktoś z tyłu. – Sto dwadzieścia, słyszysz pan?

Szmer uznania poszedł po Sali.

- Wobec tego sto dwadzieścia, towarzyszu Szymaniak – powtórzył Durczak.

Znowu rąbnęły oklaski. Umysłowi i fizyczni, ładowacze i „kierykanci” kolejno dorzucali swoje zobowiązania. Nawet babuleńka gotująca kawę dla warsztatu zobowiązała się wyszorować po fajrancie podłogę w biurze. Szymaniaką wzruszyła ta kobiecinka ze swoją groszówką. Była kroplą w morzu czegoś wielkiego i radosnego. Podniósł się teraz Rysiek Lewandowski, kierowca z dzemsa:

- Ja, towarzysze, też bym podjął jakie zobowiązanie – zaczął wyrzucać z siebie, wbijając wzrok w prezydium – ale jak? Mój wóz stoi już trzy tygodnie na warsztacie, na łożysko. Bo dlatego, że nie ma w magazynie. Na głupie łożysko trzy tygodnie, towarzysze! – zaczął prawie krzyżeć. – Trzy tygodnie! Bo takie mamy zaopatrzenie, że ani cholery nie robi, a ja i pomocnik siedzimy na bazie jak wrzód na dupie...

- Hamujcie się, Lewandowski – przerwał ostro Szymaniak. – Zapominacie się. To nie jest...

Teraz dopiero poderwał się zaopatrzeniowiec: wężowaty, piskliwy blondynek:

- Ja, towarzysze, wypraszam sobie – rozpiszczał się wściekle. – Jak Motozbyt nie ma łożysk, to ja mam mieć? Urodzę? Człowiek się stara, lata jak głupi, a tu się mówi, że zaopatrzenie nic nie robi. Tak to najłatwiej, naskakiwać na człowieka bez dania racji. Ja...

Szymaniak uciął mu ruchem ręki.

- Czekajcie, czekajcie, zaraz będziecie mówić. No jak to było z tym waszym łożyskiem?

- No, jak? Zwyczajnie. Postawiłem wóz na warsztat, bo mi łożysko rąbnęło w prawej piąście, i tak, jak go postawiłem, tak stoi! Trzy tygodnie, chol... Tego, znaczy, pytam się: „Dlaczego nie robicie?”. „Bo zaopatrzenie nie kupiło.” To co ja mogę? Zobowiązania podejmować?

- Jakie to łożysko, towarzyszu Durczak? – pyta Szymaniak.

- Timken, cholera. Amerykańskie.

- O, tak, to gorzej z tymi łożyskami. A zastępcze jakieś coś?

- Też nie, nie podejdzie. Chyba, że – zamyśla się Durczak.

- No... Chyba, że co?

- Bo ja wiem? Może by dało radę pierścien wytłoczyć i zastępcze jakieś coś...

- Spróbujecie?

- No, dobra! Można spróbować!

- No, widzicie, towarzysze, jak to jest. Dopiero teraz wszyscy sobie przypominają, że zastępcze, że jakoś można, że wóz się podratuje, że będzie latał. A można było już dawno. Każde dziecko wie, że można pierścienie wytaczać i dać zastępcze łożysko. Ale są tacy, co mówią: „Eee, co mnie to obchodzi, niech się tam kto inny tarabani z tym”. A to tak nie można, towarzysze! Przecież samo się nie robi, żeby tam nie wiem co. Taki malutki falcik, towarzysze, a już widać, kto i jak pracuje. Inne chłopaki się szarpią, podejmują jakieś zobowiązania na tych swoich klekotach, a tam co? Śpicie? No i co teraz, towarzysze? Kto zapłaci kierowcy za przestój?

Za to właśnie cenimy go tak bardzo. Za twardą, szczerą gadkę wprost do ludzkich serc. Mówił bez frazesów i zakrętasów; wiedział, jak ma do nas trafić.

- No, śmiało, towarzysze, śmiało. No, kto tam następny? Towarzysz Darmoń, proszę!

Darmoń, stary, poważny kierowca, wstał z miejsca, trzymając kartkę w ręku. Od razu wiedzieliśmy, że Darmoń podejmie zobowiązanie najlepsze z nas, takie naprawdę „na zicher”.

- Damy sto tysięcy.

Wypowiedział je gładko, bez zająknięcia, jak gdyby chodziło o umycie wozu albo coś takiego. Te sto tysięcy, jeszcze wtedy, w czterdziestym ósmym, było trochę bajkowe. Czytało

się, że ktoś tam, gdzieś tam, ale nawet starzy nie bardzo wierzyli. Teraz te sto tysięcy spadło nagle na załogę. Wrzawa zagłuszyła Szymaniaka, zrobiła z niego kukielkę poruszającą rękami nie wiadomo po co i na co. Zobowiązanie rąbnęło, zaskoczyło, podjudziło sceptyków. Puk, puk, puk – przytkali się palcami w czoła. Zwariował Józio, zwariował...

- Zwariował stary, jak Chrystusa kocham – mówił Jabłoński z ciągnika. – Wóz po drugim szlifie, na krajowych tłokach, a on sto tysięcy! No, niech ja skonom.

Ale Darmoń stał niespeszony, wpatrując się w prezydium za stołem. Wrzucił już do urny swoją kartkę z zobowiązaniem.

- Józek, wariacie, cofnij się! – hamował ktoś z tyłu. – Co robisz?

Nawet Szymaniak pokręcił głową, a Sołecki aż wybałuszył ślepią:

- Dacie radę, Darmoń? – zapytał. – Ile już macie?

- Sześćdziesiąt pięć!

- No i co?

Kierowca rozzłościł się:

- Co to, kierowniku! Pierwszy rok na wozie jeżdżę czy co, do licha! Powiedziałem, że dam radę, nie wierzycie mi?

Pohuczeli, poględzili jeszcze między sobą. Jednych zazdrość zakłuła, inni znowu myśleli, że Darmoniowi naprawdę przesunęło się coś w głowie. W końcu zabrał głos Szymaniak:

- No, cóż. Będziecie pierwszym stutysięcznikiem na naszej bazie. Powodzenia, towarzyszu Darmoń.

Dopiero teraz kropnęły brawa. Pierwsi zaczęli bić młodzi, z całej siły, od serca, Darmoniowi na szczęście. Późno w noc skończyła się masówka. Szliśmy swoją paczką: Stefan, Lewandowski, ja, wzięwszy Darmonia pod rękę. Ktoś tam napomknął, że warto by to oblać, że tak na sucho to do kitu, że się silnik zatrze...

- A da pan radę, panie Józiu? – zapytał jeszcze jakiś Tomasz.

- Spokojna twoja głowa, aniołeczku, spokojna. Ale pić nie będziem, aniołku, jeszcze parę lat poczekajcie, aż mamusi za mleczko podziękujecie. Za szczawiki jeszcze jesteście, za szczawiki.

Ale wypiliśmy!

Szymaniak, idąc nocą do domu, przypomniał sobie Michała Kosewskiego siedzącego samotnie w ciemnym kącie.

Wszyscy, nawet najmłodsi, szarpnęli się na coś, tylko on jeden nic. Szymaniak zrozumiał, że nawet Stefan niewiele tu pomógł. Kosewski rozmiłował się w stałej pomocy tamtego, a zostawszy sam, zarył nosem jak szczeniak na pierwszej lekcji chodu...

Niedługo potem zorganizowaliśmy pierwszą brygadę młodzieżową. Było nas pięciu: oczywiście Stefan, Janek Cinak, Zbyszek Mąkosza, Lewandowski i ja. Mieliśmy wszyscy równe wozy i stanowiliśmy dobry, mocny zespół. Jeździliśmy na jednej robocie, pomagaliśmy sobie nawzajem, wozy chodziły dzień w dzień bez żadnych przerw, krótko mówiąc – wszystko zapowiadało się jak najlepiej.

Kiedyś po pracy, gdy grzebaliśmy się w swoich wozach, podszedł do nas Szymaniak. Rzucił swoje: „Jak się macie, chłopaki” – pogadał trochę, pomógł Mąkoszy wyregulować zawory, a potem zaczął swoją gadkę. Że cieszy się bardzo, że nam tak dobrze idzie, że kierownictwo jest zadowolone; pogłaskał trochę naszą próżność, a potem przystąpił do rzeczy. Chodziło o Studenta. Męczy się sam, nie daje rady, a szkoda go, bo dobry chłopak przecież, do cholery, tylko podpadł kierownictwu; Rustecki chce go zsadzić z wozu, trzeba będzie go zwolnić, a po co, kiedy wszystko może być jeszcze jak najlepiej. Stefan pierwszy tropnął się, o co chodzi.

- Dobrze, niech przychodzi do nas. Jakoś się da radę...

Na to mógł sobie pozwolić tylko Stefan, najlepszy kolega, autorytet niebotyczny, poważany na równi z najstarszymi asami przez wszystkich. Brygada była jednak daleka od zachwyty. Mieć między sobą takiego bezradniaka, Studenta? Ale cóż: Stefan powiedział i nie było gadki. Każdy z nas miał tyle do zawdzięczenia Stefanowi, że Student stał się faktem dokonanym.

Tak więc każdego ranka zielona, przysadzista „doczka” jechała z nami jako szósta. Z początku Kosewski trzymał się jako tako. Nie nawalał, a jeszcze pomagał innym. Warsztat zaczął patrzeć na niego cieplejszym okiem, nam też wydawało się, że już teraz chyba wszystko pójdzie dobrze. Ale już po kilku dniach zaczęło się. Zima była ciężka dla każdego, ale już dla niego była wprost jakimś kataklizmem. Zaczęło się od tego, że Kosewski wyjeżdżał ostatni, nie mogąc sobie poradzić z zamrzniętym silnikiem. Ręce obrywał sobie od korby, podlewał benzynę, podgrzewał karter – niech szlag trafi, wszystko na nic. Przeklęta „doczka” milczała. Co było robić? Któryś z nas taszczył go na lince, dopóki silnik nie przekrzusił się i nie zagrał. Tylko w ten sposób mogliśmy wyjeżdżać wszyscy razem, z fasonem. A z resztą, bierz diabli fason, aby tylko nie spóźnić się. Ale najniespodziewaniej zaoponował sam Stefan:

- Od jutra wyjeżdżasz sam. Nikt z chłopaków nie będzie cię brał na dag. Weź się za mordę i wyjeżdżaj sam!

- Co ja mogę zrobić, jak nie chce palić?

- Lewandowszcza wóz też ciężko pali na zimnie, a jednak wyjeżdża sam.

Wszyscy byli zaskoczeni. Stefan, taki kolega jak on, ratujący w najgorszych tarapatach, odmawia pomocy najsłabszemu? Ale dlaczego?

- Student mu dogodził – powiedział Wojnarowski i po prawdzie nie zdziwiło to nikogo; święty by go znienawidził. Ale było przykro...

Sam Student przyjął ten nowy cios jak zawsze, po swojemu: z milczącą rezygnacją. Następnego ranka uleciał mu jak zwykle na bezskutecznej szarpaninie z silnikiem. Stefan nie wykonał najmniejszego gestu pomocy.

- No, już jedziemy, chłopaki! Leć pierwszy, Lewandowski, ja polecę ostatni.

Cwaniak! Wiedział, że któryś by nie wytrzymał i poleciał po Studenta. Jaki był, taki był ten Studencina, ale przecież szkoda chłopaka. Pięć wozów wytoczyło się z hali. Na Wolińskiej Stefan wysunął się na czoło naszej kolumny: chciał pokazać, że nie zmienił swojego postanowienia. Zacząłem kombinować, czy nie zerwać się i nie wrócić po Kosewskiego, ale nie było już po co: „doczka” doleciała do nas i do Portu przyjechaliśmy w komplecie. Wtedy zrozumiałem i barometr autorytetu brygadzysty poszedł w górę; zmuszony w ten sposób Student zwyciężył „doczkę”.

Po robocie Stefan podszedł do Michała.

- No i jak? Chodzi!

- Chodzi!

- No widzisz. A tak, to by ci znowu żyć nie dawali. Teraz wyjeżdżasz sam i wszystko jest w porządku. Poniał?

Michał skinął głową, że „poniał” i codzienna praca potoczyła się dalej. Wyjeżdżał już co rano sam, bez nachalnej pomocy, a jeśli nawet spóźnił się trochę z wyjazdem, to w porcie był zawsze razem z nami. Dzień w dzień przez całą zimę i lato, pracowaliśmy razem w Porcie czy na Towarowej, cementując się w dobrą, mocną, „nie nawalającą” brygadę, o której każdy mówił, że pracuje na piątkę. Potem powstała druga brygada, Heńka Jakubowskiego, i Szymaniak przetasował nas z tamtymi: silniejszych ze słabszymi. Odszedł Cinak i gruby Mąkosza, przybyli Kochanowski i Winiarczyk. Z nimi zgraliśmy się raz dwa i wszystko zostało jakby po staremu.

W sierpniu baza dostała polecenie wysyłania wozów na akcję żniwną. Wtedy Szymaniak postanowił pchnąć na żniwa brygadę Stefana. Nie było to takie łatwe do przeforsowania. Sołdecki ciskał się, krzyczał, że młodzi zawalą, a to polityczna robota, ale koniec końców Bronek postawił na swoim. Tak więc przygotowaliśmy się do drogi. W bazie miał zostać tylko Michał: miał za mały wóz. Snuł się markotny między nami, ale tu już nikt nie potrafił mu pomóc. Wtedy Szymaniak przeforsował mu wóz. Wielkiego, oplandeczonego GMC, o którym

Gienek mówił: „Lalka, nie wóz”. Zawrzało. Niejeden na bazie szykował się na tego „gzym-sa”, a tu dostaje kto? Śmiech przewidzieć – Student. Ile się Szymaniak wtedy nasłuchał za ten wóz. Nawet starzy towarzysze byli zgorszeni.

- Cóż wy, towarzyszu Szymaniak, oczu nie macie? To inni, starzy, jeżdżą na trupach, a wy temu szczawikowi taki wóz dajecie? Żeby go zarznął? Do czego to podobne?

- Kto wie – odpowiadał Broniek. – A może właśnie będzie wtedy lepiej pracował? Dziwnie mówicie, towarzyszu. No, nie machajcie tak ręką...

Lecimy aż za Wrocław. Wczesnym rankiem sześć lśniących w słońcu, wypucowanych wozów wyrusza w drogę. Lecimy z fasonem w równusieńkich odstępach, metr od metra. Pierwszy Lewandowski, potem Kochanowski, Stefan, Winiarczyk, ja, na końcu Michał, jako najsilniejszy wóz. Lewandowski prowadzi, jedzie równe trzydzieści mil, nie pozwala się wyminąć. – Pajacować to nie ze mną! Za Sochaczewem nawala mu guma. Krótki postój i jazda dalej. Przecinamy zielone, wilgotne łąki, mroczne zagajniki i pachnące lasy, prowadzeni jasnym pasmem asfaltu. Przezrocyste, błękitnawe niebo styka się w oddali z gorącą, białą wstęgą szosy, migocące przydrożne słupki zbiegają się w jedną białą krechę, ciepły wietrzyk uderza w twarz silnym strumieniem. Rozpalone do zenitu, rozleniwiające sierpniowe słońce wisi ciężko nad ziemią. Dziwna jest ta radość wypływająca nie wiadomo z czego: z drogi rzuconej daleko, swobodnie, z ryku silnika, z wiatru rwącego w głowę. Wozy idą równo, jednolitym basem rozdmuchując ciszę południa, wielkie, potężne, posłuszne w naszych rękach jak dzieci. Przedemną Winiarczyk śpiewa, ryczy, ile sił w gardle. Podciągam się bliżej do niego i poprzez buczenie silników łapię jego głos: radosny, piersiowy. Śpiewa coś po rusku, fałszuje diabelsko, zaciąga nieudolnie, słowa przekręca: – Tuczi nad gorodom stali... Krótka chwila przerwy wypełniona wrzaskiem silników i znowu: – Ech, ty miłaja daroga, zdrastwuj, miłaja maaaja... Z boku, w jego własnym lusterku, widzę twarz śpiewaka, rozkrzyczaną, czerwoną z wysiłku. Silnik chce przekrzyzczeć, czy co, do diabła?! – My prastimsia z tobój u paroga... Machinalnie rzucam okiem we własne lusterko i uprzytamniam sobie nagle: nie widzę Michała. Oglądam się krótko poza siebie: nic. Michał został nie wiadomo kiedy. Właczam pedał gazu w dechę i rznę na czoło kolumny. W przelocie widzę wściekłą minę Stefana. Macham ręką i zatrzymują się wszyscy z piskiem hamulców.

- Co się stało?

- Studenta nie ma!

- Jak to nie ma?

- No, nie ma, zgubił się.

- Dajcie wy spokój! I co teraz będzie?

- Trzeba poczekać, zaraz nadleci. Może mu guma walnęła?

Mija pół godziny wydłużone w nieskończoność denerwującym czekaniem i wzrastającą złością na Michała: nawalił jak zwykle. Winny jest ten, co jechał przed nim, to znaczy ja.

- I gdzieś ty go zgubił?

- Albo ja wiem? Leciał równo przez cały czas...

- Tak, równo, ładnie równo... Iiii... Ty też jesteś dobry, na błoto chyba!

Znowu kwadrans i Stefan decyduje się: leci go szukać. Wykręca w poprzek na wąskiej szosie i wtedy nadjeżdża Michał. Maskę ma zdjętą, z boku uczepony kanister.

- Pompa – objaśnia lakonicznie.

Wtedy już każdy wie, że Student odniósł pierwsze samotne zwycięstwo. Nie czekał na naszą pomoc, ale przytoczył się sam, co prawda na bańce, ale sam. Krótka trwająca zmiana membrany i znowu naprzód, zagarniając uparcie asfalt pod koła. Szarobłękitny, spokojny zmierzch snuje się nad pustymi polami, gdy pędzimy przez spokojną wioseczkę, roztumaniając pylistą drogę, aż mgławo robi się między opłotkami. Basujemy silnikami tak, że szybki, za którymi dzieci rozplaszczają sobie nosy, drżą po chałupach. Sołtys jest sumiasty, krępawy, pełen władzy i spokoju, wita nas wylewnie, po wsiowemu. Stawiamy wozy na pustym podwórku: maska w maskę, jak pod okiem Rusteckiego. Sami lokujemy się w czystej, świeżo wymytej izbie, pachnącej wapnem i trochę kurami. Przez otwarte okno nadciąga zapach gnojówki, silny, aż w nosie kręci. Gościnnie sołtys przynosi wódeczkę. Lejemy ją w grube szklany, na stole kiszony ogórek, kielbasa pokrajana w grube plastry. Wcinamy ziarnisty, kwaśnawy razowiec, pociągnięty suto smalcem z potężnymi skwarami. Stefan nalewa kolejkę i pijemy: sołtys powoli, z namaszczeniem, tylko mu grdyka chodzi na grubej szyi; Lewandowski jednym chłapieniem na otwarte gardło; Kosewski krztusząc się niezręcznie i puszczając bańki nosem.

Potem rozlazimy się po wsi, oglądając i dziwując się, wiadomo – miejskie. Wieś jest duża, rozciągnięta obszernie, pomiędzy postrzępioną, ciemną wstęgą lasu i rzeką. Solidnie zabudowana masywnymi budynkami z ciemnoczerwonej cegły, pełna pachnących sadów i zielonych zagonów, na każdym podwórku kierat, ocembrowana studnia. Warkotliwy głos cepów zapada w ciszę wieczorną, pachnącą maciejką. Kochanowski, pochodzący ze wsi, rzuca autorytatywnie:

- Śpieszą się, nie czekają omłotów.

Nad rżyskami wałęsają się wieczorne mgły, gęstniejąc przybierają barwę mleka. Wiatr nanosi gdzieś od rzeki płaczliwy głos harmonii, z podwórek dobiega kwik prosiąt i odgłosy

czyjejs gospodarskiej krzątany. Powoli wszystko milknie i noc wchłania wioskę, otula ją mroczną powłoką, ucisza, ucisza, ucisza...

Wszyscy już śpią, tylko Stefan stoi w otwartym oknie i Kosewski widzi, jak jego barki wrysowują się ciężko w noc. W Kosewskim nagle rodzi się bunt, targa w nim gwałtownie chęć upodobnienia się do tamtego: mocnego i silnego.

- Stefan – szepcze Kosewski w ciemności.

Kamiński odchodzi od okna i siada na skraju łóżka przy Michale. Kosewski zaczyna mówić bezładnie, gorączkowo, dziękuje za coś, za pomoc, szuka słów, mówi nieskładnie, zacinając się i rozprasząc, jakby odrąbywał te zdania z własnych myśli:

- Stefan, ty wiesz, jak to jest ze mną, chłopaki wiedzą, wszyscy uważają mnie za ch..., a cała baza, ty wiesz, Stefan, ja wiem... Ty wiesz, ja się staram, ty... chyba wiesz, Stefan... Ale ja nie mogę, nie mogę... tak od razu, z miejsca, ty przecież wiesz, jak to ciężko, Stefan. Ja ci nigdy nie zapomnę tego, Stefan, tobie ani Szymaniakowi, tego, co wy, co żeście dla mnie zrobili. Nie, na pewno nie. Ja wiem, Stefan, dlaczego nie chciałeś mnie wtedy szarpać rano, ja teraz rozumiem i... i dziękuję ci, Stefan. Tylko, Stefan, ja ci coś powiem! Tylko, Stefan, Powiedz! Czy ja będę kiedyś taki jak ty, jak Lewanowszcak, powiedz, Stefan...

Kosewskiemu wydaje się, że widzi w ciemnościach uśmiech tamtego: serdeczny i jasny. Potem Kamiński odszukuje w mroku dłoń Studenta i zamyka ją w swojej.

- Będziesz, Michał, musisz być. Tylko masz się nie łamać tak głupio i, pamiętaj, wierzyć w siebie, silnie wierzyć. Bez takiej wiary, silnej i gorącej, to szkoda gadki. Ale i w innych musisz wierzyć: w Ryśka, we mnie, we wszystkich. To dobre chłopaki, chcą ci pomóc i na pewno pomogą. Nie zrażać się tylko, przeciwnie, wgryzać się w to wszystko, w robotę. No, pewnie, że niełatwe to dla ciebie, ale dasz sobie radę, jak tylko będziesz chciał. A że ci tam ktoś nawet głupio przygada, bracie, to nie powód do tragedii; ty wiesz: ludzie są rozmaici. I tacy, i tacy, jeden zrozumie, nic nie powie, drugi będzie się śmiał, gadał, co mu ślina na język przyniesie. Często sami zapominają, jak od życia brali w tyłek. Czy ja tego samego nie słuchałem? A Lewandowszcak? Ile on wysłuchał? To jasne! Nie przejmuj się tym. Masz ten swój cel i wal śmiało, na przekór, a na pewno dojdiesz. A na takich jak Karolak czy inna cholera, to nie zważaj...

W ciemności dostrzegł zaciskające się pięści Kosewskiego.

- Ach, ja go jeszcze takiego syna...

- I po co zaraz bluźnić? Będziesz przez to lepszy? Nie. A chcesz być takim jak ten Karolak, co to człowiekowi nie da przez ulicę przejść? Takim szoferakiem, tak? Kiedyś ludzie mówili: „Szofer a kurwa – jedną drogą chodzą”. Tacy właśnie jak ten gnida, co to ukradnie,

schła się jak świnia, zrużga. No, tak? A my nie chcemy takich Karolaków! Chcemy ludzi mocnych i śmiałych, a nie łachudrów. Właśnie wierzymy w człowieka, w jego możliwości, w rozum, w serce.

- „My”, to znaczy kto?

- Nie wygłupiaj się, dobrze wiesz kto. Właśnie na tej wierze budujemy to wszystko. Marnie by było z tobą, gdyby nie ta wiara. To nie frazesy, człowieku. Już teraz wiesz kto?

- Uhm...

Cisza. Gdzieś rży przez sen strudzony koń. Wściekle wyje pies, na końcu wsi odpowiada mu drugi i oba już zgodnie koncertują do księżycy, aż ciarki chodzą po grzbiecie. Po długiej chwili Stefan mówi:

- A wiesz dlaczego tobie wszystko idzie jak z kamienia?

- No?

- Dlatego, że ty sam w sobie nie wierzysz. Po prostu nie wierzysz w to, że sam potrafisz sobie poradzić, że już umiesz cokolwiek zrobić. Mówmy szczerze: nie masz żadnej wytrwałości. Lada niepowodzenie, nawet nic nie znaczące, już ciebie łamie, już jesteś do niczego, szmatę z ciebie robi: opuszczasz ręce i najchętniej zmienilibyś zawód. No tak jest, czy nie?

- No tak, ale...

- Zaraz, tak nie można. Już ci wtedy mówiłem, pamiętasz, jak cię Rustecki tak opieprzał rano? Tak? Nie można tak ciągle liczyć na kogoś, że ten ktoś za ciebie zrobi wszystko, że weźmie za rączkę, poprowadzi na gotowe. Ty sam musisz w siebie wierzyć, sam próbować, nie oglądać się ciągle na innych. A że trzeba czasami zacisnąć zęby, no, to takie już jest życie. Samo nic nie przychodzi, wszystko trzeba zdobywać. No, tak?

- Uhm...

- No, to pamiętaj, musisz wierzyć w siebie i wierzyć w nas. Jak nie będziesz miał tej jakiejś twardości, jak będziesz taki miękki, to faktycznie nie warto się brać za nic, bo i po co? Naszarpiesz się, namęczysz się i nigdy nic z tego nie będzie. No, śpijmy już, dobranoc...

Stuknęły zdejmowane buty i zaszeleścił siennik.

- Stefan – powiedział Kosewski – chciałbym cię jeszcze o coś zapytać.

- Na przykład?

- Stefan... znaczy tego... Czy ty... jesteś komunistą?

Milczenie.

- Nie – odparł tamten po chwili. – Nie i jeszcze długo nie. Ale będę nim. Myślisz, że to tak łatwo? Że wystarczy powiedzieć: „Jestem komunistą”, i to już koniec? To ciężkie słowo i ciężkiej drogi trzeba, żeby pokryło się z życiem. A ty dlaczego pytasz?

- Tak sobie pytam, po prostu...

- Po prostu, tak sobie... Tak. Ile ty masz lat? – zapytał nagle.

- Dwadzieścia.

- Ach, dwadzieścia lat! Dwadzieścia lat obnosisz swoją twarzyczkę i jeszcze nie wiesz, jaki ma wyraz: ani taki, ani siaki, taka maseczka, tylko imitacja twarzy. A twarz musi, musi mieć jakiś wyraz. Ale trzeba uważać, żeby się morda z twarzy nie zrobiła, morda, rozumiesz? Trzeba znaleźć swoją twarz...

- Stefan, po co ty mi to wszystko mówisz? Morda, twarz, cóż mnie to dotyczy...

- Po co ci to mówię? On się mnie pyta: „Komunistą jesteś?” Co, ty boisz się tego słowa, co?...

- Jaaa?... Nie, nie boję się... Ja...

- Ja, ja, ja. Ty się niestety wszystkiego boisz, życia się boisz. Ty nawet jeszcze nie żyjesz, to jeszcze nie jest życie.

Kosewski podniósł się na łokciu.

- Stefan!

Przykre milczenie przygniotło ich na długa chwilę. Kamiński usiadł na łóżku, oczy jego lśniły w mroku. Mówił:

- Możesz się pogniewać na mnie albo nie, twoja sprawa. Ale ja ci też chcę powiedzieć, że te twoje wszystkie hmm... nieszczęścia, nad którymi się tak roztkliwiasz, to dlatego, że ty nie masz tej odwagi, już nie mówię bojowości. Zramolałeś jakoś, życie przemknie, przejdzie koło ciebie, a ty nawet nie będziesz wiedział, kiedy, co i jak. Życie swoją drogą, a ty sobie, z boczku, z boczku przeraczkujesz. A że tam ludzie walczą o coś, biją się, szarpia, to fiuuu... co to ciebie obchodzi. Ty tylko boczkiem, boczkiem, pomalutku, żeby się nie ubrudzić.

- Ja – powiedział Kosewski – ja. No, nie wiem, Stefan. Ty, ty nie wiesz, co ja...

- Przeżyłem? Wiem. Nic nie przeżyłeś, Michał, i nic nie przeżyjesz, jeśli tak dalej będzie. Ty życia nie przeżyjesz, przepelniesz tylko przez życie. A pełzakiem każdy potrafi być. Ale przeżyć takie prawdziwe życie, takie bliskie, gorące, uuu... to już nie każdy. Walczyć i zwyciężać, bić się o coś... no... A nie całe życie siedzieć tylko w swoim ogródeczku.

- Ogródeczku? Ja ci powiem! O, ja wiem, że to dla ciebie śmieszne, ale przecież nie każdy jest stworzony do tego, aby walczyć, aby zwyciężać. Przecież nie wszyscy muszą zwyciężać, kto by wtedy przegrywał, do cholery?! A tacy ludzie, co właśnie chcą żyć bez tych walk, bez tych zwycięstw, rozumiesz? Pomiędzy, cholera, kurami, i chcą mieć tylko, no bo ja wiem?... Ten domek idiotyczny i te kwiatki w ogrodzie, i ten spokój bez tych zwycięstw, i nic, nic więcej, to co? Już się w ogóle nie liczą? I obedrzeć ich z tego wszystkiego, z tych

złudzeń, z tego domku z kurami, do naga, cholera, do naga! I powiedzieć im, że tylko pełzają, że tylko boczkiem, że małowieszczęzańskie, to wszystko jest głupie. A może im dobrze z tym?

- Żeby mieć ten domek i te kurki, i ten ogródek, to trzeba najpierw innym wy...

- Wywalczyć, wiem! Walczyć, walczyć, całe długie życie walczyć, a kiedy wreszcie ten spokój? Kiedy pójść do tego ogródka?

- Spokój? Zawsze! W walce jest też spokój, Michał, w walce, właśnie w walce. Czy ty tego nie rozumiesz, że przecież życie bez jakiejś walki o coś, dla kogoś, dla innych to tylko erzac, jakaś pusta forma...

- I tylko walkę, tylko taki odlew można lać w tę formę?

- Tylko, Michał. Inaczej pozostanie tylko pustą formą... Choćby o ten domek z kurami...

To też ludzkie, zrozumiałe. Ale samo co to warte? Cóż z tego?

Cisza.

- Masz papierosa? – spytał po chwili Kosewski.

- Uhm, tylko daj ognia.

Ręka z płomykiem zazygzakowała w ciemności. Kosewski zaciągnął się łakomie.

- Zdenerwowałeś się, Michał?

- Zdenerwowałem się, pewnie, że tak.

Znowu palili w milczeniu. Nikłe, żarzące punkciki wyławiały na chwilę ich twarze z ciemności.

- I wiesz co? – mówił Kamiński. – Zrewiduj ty to wszystko. Pamiętaj, że kiedyś przyjdzie taki czas, że trzeba będzie spojrzeć wstecz, w te kilkadziesiąt lat życia, zrobić jakiś bilans, obrachunek. I co wtedy zobaczysz? Domek z kurami? Wtedy nawet nie będziesz wiedział, jak nazwać te kilkadziesiąt lat. Będziesz jakies takie bez tytułu! Jak ta pusta forma. Przecież formę się odrzuca, forma przeważnie idzie na szmelc, a odlew idzie między ludzi i ten dopiero mówi o formie. Pusta forma pozostanie tylko pustą formą. Przełam się, do cholery, zejdź z tego marginesu, przestań się zgrywać, po co ci to? Na co ci to? Sam siebie nie dasz rady oszukać, a u ciebie wszystko, ta twoja straszna dupota życiowa właśnie z tego wynika. Z takiego braku odwagi: „Ja sobie pomalutku, pomalutku, tylko dla siebie, pomalutku łebkiem na świat!” Zawsze po czyichś śladach... A samemu nic wydeptać nie potrafisz. I pomyśl, pomyśl trochę o tym odlewie...

Leżąc wsłuchiwali się w milczący spokój nocy. Prostokąt okna wypełniało niebo. Migotały odległe gwiazdy. Zapalały się i gasły dalekie, złote punkciki.

Pod koniec roku, na jesieni, brygada rozleciała się. Rysiek Lewandowski ożenił się i wziął urlop, Winiarczyk poszedł do wojska, Kochanowski zwolnił się i wyjechał na zachód.

Zostało nas trzech: Stefan, Kosewski i ja. Teraz lataliśmy przeważnie w dalekie drogi: Wrocław, Lublin, Łódź...

Na dwa tygodnie przed świętami Stefan leciał do Nowej Rudy, aż za Kłodzko. Był ranek – zimny, bezśnieżny, mrozek łapał za rękę.

- To nic, Stefan. Grunt, że nie ma śniegu. To kiedy wracasz mniej więcej?

Kamiński pomyślał chwilę:

- Dzisiaj środa, tak? To koło piątku, soboty...

- Wróć na sobotę, Stefan. W niedzielę pójdziemy gdzieś razem. Wpadnij w niedzielę do mnie, dobrze?

- Tak przed południem, może koło dziesiątej?

- Będę czekał.

Taki został w naszej pamięci: wysoki, mocny, z tym swoim jasnym uśmiechem...

W sobotę wieczorem dowiedzieliśmy się, że Stefan nie żyje. Zwalił się z serpentyny gdzieś za Kłodzkiem. Konwojent, który jechał z nim, mówił, że Stefan mógłby się uratować, gdyby chciał. Wracali już z powrotem, gdy Stefanowi pękł przewód hamulcowy i wyciekł wszystek płyn. Kamiński zbyt późno zablokował przewód i musiał jechać bez hamulca. Zostawał tylko ręczny, który spalił się po paru zahamowaniach. Wóz był z towarem, w dodatku z przyczepą, i z taśmy tylko swąd poleciał.

- Aby tylko do Kłodzka – powiedział do konwojenta.

- A nie możesz nalać choćby oliwy?

- Nieee, co to da? Tylko tłoczki szlag trafi... Dowleczymy się jakoś pomalutku, nie bój się...

Wóz sunął leniwie po serpentynach, wyjąc silnikiem, ciężko taszczył się pod górę.

- W Kłodzku się kupi hydrołu i wszystko będzie gites...

Ostrożnie, na trzecim biegu zjeżdżał z góry, silnik wył zduszonymi obrotami, wysokim, spazmatycznym tonem, aż w głowie świdrowało. Zjazd był długi, stromy, z ostrym, niewidocznym, idącym w cyngiel zakrętem. Kamiński zredukował bieg na dwójkę. Teraz silnik wył, jakby się chciał wyrwać z ramy. Wtedy pod nogami Stefana sieknęło coś, walnęło krótko i wóz potoczył się, skoczył naprzód jak pies spuszczone z łańcucha, z każdym metrem nabierając szybkości.

- Sprzęgło, kurwa jego mać!

Pod ściągniętym gwałtownie ręcznym hamulcem wóz nie drgnął nawet. Konwojent szarpnął się bezradnie obok Stefana. Przez oczy przeleciała mu trwoga.

- Siedź, wariacie, co robisz! – ryknął Kamiński. – Zjadę z góry.

Holendrując z tyłu przyczepą, w wariackim tempie wskoczył na zakręt. Strzałka szybkościomierza kołysała się na cyfrze pięćdziesięciu mil. Tylko dyferencjał zawył na zakręcie, przyczepa została na przydrożnym słupie. Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt pięć...

Środkiem szosy waliła rozwrzeszczana grupa narciarzy, naszpikowana kijkami i deskami. Szli swobodną „Jaskółką”, tasując się przez całą szerokość szosy. Dzwonili okutymi buciorami w zmarzły asfalt. Ryczeli na całe gardło, pijani górami, wiatr przynosił strzępy tego śpiewu:

- Jak dobrze nam...

Sygnał. Wściekły ruch nogą do deski. Na nic. Głos silnika niknie, wiatr, ten wiatr przekłety. Sto metrów. Dziewięćdziesiąt metrów. Osiem... Konwojent zawył krótko, histerycznie, rzucił się na Stefana. Widocznie zrozumiał, a bał się skoku. Złapał oburącz kierownicę.

- Nieee. Stefan, nie... Jezuuu...

Siedemdziesiąt. Był to jeden moment, przerażająco krótki odcinek czasu, w którym Kamiński równoważył wartość swego życia z życiem tamtych. Sześćdziesiąt metrów. Pięćdziesiąt metrów. Czterdzieści metrów. Za sekundę masakra, masakra, masakra...

- Prężnymi stopy deptać chmury...

Konwojent skoczył, klapnął ciężko na asfalt, potoczył się w rów. To już? Za sekundę, za pół sekundy? Już teraz, teraz, teraz? Dwadzieścia. Jak im te podkówki błyszczą w słońcu. Słońce, słońce... Jaki szum...

Tak zginął Stefan Kamiński, dwudziestotrzyletni kierowca naszej bazy, kochający życie, ulice swego miasta, ludzi, dziewczynę, wiosenny zapach bzu o zmroku...

- Odszedł od nas towarzysz – mówił Szymaniak nad trumną Stefana. – Prawdziwy towarzysz codziennej, ciężkiej pracy. Zginął tragiczną śmiercią, ale przecież żyje w nas jego uśmiech i praca, żyje jego serce i on sam, taki, jak go widzieliśmy na co dzień: ofiarny, mocny Stefan...

Dziwnie puste i trudne były dni, które nadeszły potem. Jak to zwykle bywa, zdawało się, że za chwilę podejdzie, powie coś. Brakło tych rąk:: cierpliwych, nieustępliwych.

Pewnego dnia rozmawialiśmy o śmierci Stefana. Dlaczego sam nie skakał? Dlaczego nie próbował się ratować? Czy było to w ogóle możliwe? Przysłuchujący się Karolak prychnął pogardliwie:

- Pfff, ja bym skakał.

Spojrzeliśmy zdumieni:

- Jak to?

- No, tak, co by mi zrobili? Oddaliby mnie pod prokuratora? Na pewno nie. Trudno, taki defekt. Wytlumaczenie zawsze mam. Ale jak Kamiński był głupi, to co się przejmować? Śmierć frajerom.

Lewandowski nie wytrzymał, skoczył naprzód.

Karolak miał twarz płaską, wytartą jak wyżymaczka, Lewandowski strzelił kulą w tę mordę, aż coś chrupnęło. Karolak pokulał się po betonie. Nikt nie wykonał najmniejszego gestu pomocy. Ktoś splunął tylko:

- Swołocz...

Karolak poderwał się z ziemi, złapał korbę z najbliższego zderzaka i zamachnął się na Lewandowskiego. Rysiek przykucnął i korba całym impetem ześliznęła mu się po wiatrówce. Lewandowski jak zbik skoczył na Karolaka, trzasnął nim o ziemię i nieprzytomny z wściekłości, zaczął kopać gdzie popadło, w brzuch, w głowę, którą tamten osłaniał rękami.

- Zabijesz go! – krzyknął któryś.

Porwali się, aby ich rozdzielić. Rysiek miał twarz zniekształconą wściekłością, oczy wywalone na wierzch, aż strach było podchodzić.

- Za Stefana, draniu, za Stefana! – wył. – Ty łobuzie taki, nie taki, za Stefana. To ty żelazem bijesz, skurwysynu?

Wściekłość gotowała się w nim. Walił nieprzytomnie w złachmanionego Karolaka. We czterech odciągnęliśmy go z trudem, przemocą wykręcając ręce do tyłu. Nikt jeszcze nie widział takim Lewandowskiego. Nadbiegł Rustecki i inni, podnieśli Karolaka i poprowadzili do biura.

- Co panu jest, panie Franku? – szarpał go za ramię Sołecki. – No, powiedz pan, może dzwonić po pogotowie, co? No, mów pan?

Karolak był silnie potłuczony, z nosa szła mu krew.

- Ja go jeszcze nie tak obkoczę! – krzyczał. – On zobaczy moją rękę. To taki: pod obcasy bierze, pod obcasy? Ten...

Najordynarniejsze klątwy sypały się na Lewandowskiego. Rysiek stał w kącie, trzymany przez nas za ręce. Był blady, nozdrza latały mu furiacko.

Tego dnia zwolniono obu dyscyplinarką. Karolaka za to, że był pijany, Ryśka za chuli-gaństwo.

- I co teraz, Rysiek? Cholera, co ty powiesz kobiecie?

Lewandowski ożenił się niedawno.

- Ty się, Rysiek, nie martw – powiedział któryś. – Robotę to ty, w razie czego wszędzie znajdziesz. Ale wrócisz jeszcze do nas, zobaczysz. Chłopaki obstają za tobą. Swoją rację też

miałeś, z łobuzami nie można inaczej. Niepotrzebnie go tylko brałeś pod obcas. Cholera, na takiego Stefana złe słowo powiedzieć...

Następnego dnia poszliśmy wszyscy do Sołeckiego prosić za Lewandowskim.

- Panie kierowniku – zaczął gorąco tłumaczyć Pawlak. – Za co Lewandowskiego, jak Boga kocham, za co? Karolak naubliżał Stefanowi, nie można było inaczej. Pan by tak samo zrobił, panie kierowniku, ja pana szanuję. Zwolniliście go i co? Za to, że łobuza życia nauczył, tak? To byle szuja może nieboszczyka zszargać, takiego człowieka jak Stefan, a jak się ktoś ujmie, to go od razu wyrzucić? Czy pan życia nie zna, panie kierowniku? Pan wie, że Lewandowski i Stefan byli najlepsi koledzy, tak? Pewnie, że Rysiek głupio zrobił, że bił, ale to trzeba wyrozumieć. Ale on do Ryśka z korbą, pan rozumie, co by to mogło być?

Sołecki milczał. Głupia sprawa.

- To nie jest żadne tłumaczenie, Pawlak – powiedział ostro obecny przy rozmowie Szymaniak. – Że musiał, że nie mógł inaczej i tak dalej. Lewandowski zachował się jak ostatni bandzior. Nogami kogoś kopać, do cholery! To jest zakład pracy, a nie burdel. Trzeba było przyjść do nas i powiedzieć: „Nie chcemy z nim pracować, bo to łobuz”. Sami byśmy wiedzieli, co zrobić. Ale dintojrę urządzać? Jeśli przyjmujemy Lewandowskiego, to nie dlatego, że musiał pobić Karolaka, jak mówicie, tylko dlatego, żeby Lewandowski nie został tym, kim był przedtem. Wy dobrze wiecie, Pawlak, i nie wygłupiajcie się, że tu chodzi o pamięć Stefana. Wszyscy szanujemy zmarłego kolegę, ale nie w ten sposób. Rycerz ze szpadryną, cholera.

I Lewandowski wrócił.

- Pamiętajcie – powiedział jeszcze Bronek – że wy teraz bierzecie odpowiedzialność za kolegę. Jeszcze raz coś takiego, a pierwszy będę za tym, żeby wyrzucić na zbity pysk.

Minęło lato, przechlapała błotnista jesień i znów nadeszła zima. Była ciężka, mroźna. Śniegi zasypywały szosy i drogi. Wozy grzęzły w zaspach, stały nocami na pustych szosach, czekając na pogotowie. Każdy ranek był pełen zdwojonej krzątaniny i niespodzianek. Kierowcy kręcili zamrzły olej, podgrzewali kariery, ciągali się nawzajem, aby tylko zapalić. Walili rękami niezdarnie, jak kukły, poruszając się w ciężkich kozuchach.

- Aby do wiosny, chłopaki, aby do wiosny.

Do wiosny było jednak daleko. Mróz przybierał na sile, skuł Wisłę, obladzał zdradziecko jezdnie i szosy, że nawet łańcuchy mało co pomagały. Starzy wyjadacze wozili ze sobą piach w workach, łopaty. Cwaniacy, śmiejący się ze starych, grzebali się w zaspach, palili sprzęgła, wysypywali panewki, ambalując bezskutecznie.

- dajcie spokój – mówił Gienek. – Jeszcze miesiąc i konie chyba kupimy. Te nasze trupy do końca się porozlatują...

Wozy nawały jeden po drugim. Na warsztacie stało ich chyba ze trzydzieści. Nawalił i Kosewski. Wóz stał pod płotem, a on sam włóczył się po bazie. Warsztat był zavalony robotą i Kosewski musiał czekać swojej kolejności. Rustecki, obchodząc rano wozy z Szymanikiem, powiedział:

- Ta ofiara znowu stoi.

- Dlaczego ofiara?

- A dajcie spokój. Niech go szlag trafi z jego talentami...

- Eee, wiecie co, Rustecki, nie macie racji. No, trudno, nie gniewajcie się, ale nie macie.

Szli wzdłuż martwego szeregu i na ten widok pasja poniosła technicznego.

- A dlaczegoż to nie mam racji, towarzyszu Szymaniak? – zapytał zaczepnie, z wściekłością prawie. – To co? Może on jest asem, cholera, tylko Rustecki jest taki głupi, że się na nim nie poznał?

- A pewnie, że nie poznaliście się na nim.

Rustecki machnął ręką:

- No, tak, to znaczy, ja jednak nie potrafię odróżnić złego od dobrego. Taak. No, trudno: widocznie już taki zostanę.

Bronek spojrzał na niego z ukosa i roześmiał się.

- Ależ z was człowiek, Rustecki. Chyba sami nie wierzycie w to, co mówicie.

Techniczny skrzywił się zgryźliwie.

- Taak, wierzę, a jakże, właśnie w takich jak ten wasz Kosewski wierzę. Dobrze bym wyszedł na tej wierze, cholera...

- A ja właśnie w niego wierzę.

Techniczny skwitował to machnięciem ręki.

- Et, zwracanie głowy.

Szymaniak westchnął. „Uparty jest” – pomyślał i zapytał:

- Słuchajcie, Rustecki. Byliście sami młodzi, czy nie?

Techniczny skrzywił się.

- Głupie pytanie.

- No, tak. Byliście sami młodym kierowcą, takim szczawikiem?

- No, tak, ale...

- Zaraz, zaraz. I tak wam się wszystko od razu udawało, co? Już z mety umieliście wszystko, asem byliście od razu, tak?

- Pewno, że nie umiałem. Po co nawet takie pytanie zadawać? Wy mnie nie rozumiecie. Umiał, nie umiał, to nie o to chodzi. On nie ma... no, jakby to powiedzieć? Tego drygu nie

ma, tego podejścia. Żyłki nie ma. O, widzicie, tej żyłki... O to chodzi. On sobie zły zawód obrał, to wszystko. Sami powiedzcie: mało to młodych pcha się na wozy? Kółko ciągnie jak cholera, ja wiem. A potem wóz brzydnie, raz dwa da w tyłek i co wtedy? Wy mi nie mówcie, ja wiem, jak to jest. Niech zostanie, kim chce: księdzem, diabłem, ale na kierowcę to on się nie nadaje. Bo właśnie nie ma tej żyłki...

- Ma!

- Nie ma!

- Ma!

Rustecki z rezygnacją machnął ręką.

- Nich będzie, że ma. Będę się kłócił z wami? Nie rozumiemy się i już. Czy ja mu chcę na złość zrobić? Ani on mnie grzeje, ani ziębi.

- Nie denerwujcie się niepotrzebnie. My musimy się zrozumieć, Rustecki. Weźcie wy jeszcze jedno pod uwagę. To jest chłopak zupełnie inaczej wychowany, zupełnie gdzie indziej. Wy tego nie możecie zrozumieć?

- Tu nie jest szkółka. Ja go nie będę wychowywać. Nie moja rzecz.

- Ooo... Rustecki? Tu jest szkoła, nie tylko szkółka.

- Ja nic nie wiem. Moja rzecz – powiódł ręką po samochodach – to żeby wozy chodziły. Tak czy nie? No, powiedzcie!

Pośliznął się na swojej protezie i byłby rymnął, gdyby go Szymaniak nie podtrzymał.

- Ślisko, psiakrew.

Wrócił do swego kantorka i zaczął przewracać karty naprawcze. „Jabłoński, Roman, Niedziela... Jest Kosewski. GMC 107. Ile to jest dni? Osiem! Wierzyć, wierzyć w niego, cholera”. Zaterkotał natarczywie telefon. Rustecki drgnął.

- Pewnie znowu któryś tam się rozkraczył – sapnął Kurka.

- Sokołowska, techniczny, słucham – rzucił w słuchawkę. – Halo?

Głos w słuchawce zająknął się ze zdenerwowania:

- Tu Balcerzak mówi. To pan, panie szefie?

- No ja, a bo co?

- Co... tego... ściągnijcie mnie, siedzę za punktem.

- Mów pan głośniej. Co?

- Bolec mi się urwał! – ryknęła słuchawka... - Ściągnijcie mnie.

- Bolec?

- Bolec.

- Bolec, bolec. Gdzie pan stoi, do cholery?

- Na Radzymińskiej, jak się leci na Marki. Za punktem...
- Czekaj pan – sapnął techniczny. – Zaraz pana ściągnę. Ma pan linę, bo pogotowie jest w drodze?

- Mam, mam.

- To dobra, czekaj pan.

Trzasnął słuchawką.

- Widzi pan – powiedział do dyspozytora. – I co robić, cholera? Jeden za drugim, jeden za drugim...

Założył kozuch i pokuszytał w stronę warsztatu. Odszukał brygadzystę. Gienkowi tylko oczy świeciły w czarnej twarzy.

- Wychodzi jakiś wóz, panie Gienku? – zapytał techniczny.

Durczak rozejrzał się po swoim królestwie.

- Zaraz, zaraz. O, ten, sto siedem, już możesz pan zabrać.

- Sto siedem? To jest Studenta wóz? A co mu było?

- Aaa, nie wie pan, jak to z nim? Mówił, że mu panewka stuka.

- I co, stukała?

- A daj pan spokój. Kanarki ma na mózgu, to mu stukają.

Rustecki machnął ręką:

- Widzi pan, panie Gienku, to tak jest. Gówniarzy naprzyjmują, a człowiek potem nie wie, co ma z nimi robić. Majowi robotnicy! A... niech to wszystko szlag trafi.

Odszukał Kosewskiego.

- Kosewski, pojedziesz ściągnąć Balcerzaka. Masz już wóz w porządku?

- No, nie wiem, zobaczę.

- Aha, dopiero pan zobaczy – ulżył sobie zjadliwie. – Wachę pan ma?

- Mam.

- no to lu: bierz pan kontrolkę i jazda... Tylko nie rozkracicie się gdzieś obaj, jak mi Bóg miły.

Michałowi zrobiło się przykro. „Człowiek się stara jak może, a on... Nie dogodzisz, cholera.”

- Nie bój się pan – warknął.

- Ja się nie boję, to pan się bój. Jazda, jedź pan: Radzymińska za punktem.

Rustecki wrócił do kantorka. Po chwili Kosewski przejechał z warkotem przez halę. „I czego on go tak gazuje, do diabła?” – pomyślał i rzucił ołówkiem w stół. Wszystko go dzisiaj

drażniło: Szymaniak i Gienek, nawet nieruchomy Kurka, gwizdzący przez zęby jakąś melodię, ciągle tę samą od lat.

- Panie Waławie – syknął – przestań pan gwizdać, bo już wytrzymać nie można.

Kurka spojrział zdumiony i urwał. Teraz Rusteckiemu zrobiło się przykro. „Co się ze mną dzieje, do diabła?” – pomyślał i powiedział do dyspozytora ni w pięć, ni w dziewięć:

- A jak zdróweczko, panie Waławie? Ta astma pańska?

Kurka był astmatykiem i mógł mówić o tej swojej chorobie aż do zniechęcenia. Wszyscy wysłuchiwalismy ciągle, kiedy i jak się nabawił, kiedy mu lepiej, kiedy gorzej. Zwłaszcza Gienkowi, który był „zołądkowy”, uważał się bez przerwy. Nikt nie potrafiłby sobie wyobrazić Kurki bez astmy.

Tym razem, obrażony, nic nie odpowiedział, a po chwili techniczny usłyszał znów drażniący świst. Złapał kozuch i wyleciał na dwór.

- Panie Kazimierzu – zaczepił go Sołecki – dzwonił Wrocław. Właśnie leciałem pana szukać. Trzeba wysłać jakiś wóz po towar. Wie pan, tam jest jutro ostatni termin odbioru, a ktoś przegapił.

- Do Wrocławia?

- Tak, to jest nie... Do tego, no, jak tam się nazywa? Ta fabryka radia i tak dalej... No, wie pan?

- Dzierżoniów?

- O, właśnie. Dziwny ten – Dzierżoniów, jak Boga kocham, nie żaden Dziwnów.

- Dzierżoniów, tak.

Pedantycznego, składowego Rusteckiego drażnił Sołecki, rozlatany, nieporządny, gestykujący. Gdy nie znajdował słów, przytykał palcami, cmokał, mówił: „No wie pan, no wie pan...” I bądź wtedy mądry człowieku. U Sołeckiego wszystko szło raz dwa: przyjąć kogoś, zwolnić, pochwalić albo objechać. A Rusteckie: pomału, na zimno, z rozważą... I teraz techniczny zgasił szybko:

- Co pan, panie dyrektorze? Do Dzierżoniowa, w taki czas? Kto panu pojedzie? A poza tym, ja nie mam wozów, niech wagon biorą.

- Może Darmon pojedzie? Albo Balcerzak?

- Darmonia wóz za mały, a Balcerzak właśnie wysiadł. Pojechali go ściągnąć.

- No to nie ma pan już nikogo?

- Wszystkie ciężkie wozy w drogach, mam parę na miejscu, ale to już takie trupy, że nawet nie ma co marzyć. Sam pan wie, jak teraz u nas jest, panie dyrektorze. Jednego trzymam na bazie, tego Kosewskiego, ale to...

- Więc o co chodzi? Pchnij pan tego Kosewskiego.

Rustecki spojrział jak na głupiego.

- Kosewskiego? W taką drogę? A... Taak, tylko mi tego brakowało.

- No, to co zrobimy? W ogóle nikogo nie wyślemy czy co, do diabła?

Techniczny podrapał się w głowę pod czapkę.

- Trzeba będzie wysłać kogoś na wozie Kosewskiego.

- O, widzicie. Tego Drabiniaka może?

- Jakiego Drabiniaka?

- No, tego, co mu wóz nawalił.

Rusteckiego zatrząsło.

- Balcerzaka, nie Drabiniaka, panie dyrektorze, Balcerzaka.

Wróciwszy powiedział do Kurki:

- Niech pan przygotuje delegację dla Balcerzaka na Dzierżoniów.

- Przecież jemu się boleć urwał?

- On pojedzie na wozie Kosewskiego.

- A ten?

- Zostanie na bazie, na rezerwie.

- Dlaczego? – odezwał się nagle Szymaniak.

Rustecki odwrócił się. Wiedział, że teraz czeka go przeprawa.

- Polecenie dyrektora – mruknął niechętnie.

- Nie, tego nie możecie zrobić.

- Ooo... Niby dlaczego? – spytał zaczepnie techniczny. – Nie mogę?

- Dlatego, że byście mu zrobili krzywdę nie wiem jaką.

Rustecki rozzłościł się, wzruszył ramionami.

- Jaką krzywdę, Szymaniak? Po co takie frazesy? To chyba jasne, że słabych nie posyła się w takie drogi? Pojedzie Balcerzak, to przynajmniej mam jaką taką gwarancję, że nie utknie gdzieś po drodze i nie będę potrzebował go ściągać. Po czorta mi to potrzebne?

Szymaniak przysiadł na kancie stołu, akurat na wszystkich papierach Rusteckiego.

- Wiecie co, Rustecki? – powiedział z namysłem. – To bardzo przykre, że wy tak zupełnie nie rozumiecie spraw ludzkich, że was wcale a wcale nie obchodzą. Powiem wam szczerze: dla was najważniejszy jest samochód. I dopiero przez ten samochód patrzycie na człowieka. Ale najpierw samochód, samochód i tylko samochód. Żeby chodził, żeby nie nawalał. A kierowca, a człowiek? Bo ja wiem? U was człowiek jest tylko dodatkiem do samochodu. I najgorsze, że niezbędnym. Zły kierowca, zwalić go z wozu; słaby, to samo. A że tam komuś

krzywdę robicie, Boże kochany, co was to obchodzi? Przyjdzie inny, będzie jeździł, wóz będzie chodził, a co się stanie z tamtym, pies go trącał, co was to obchodzi? A nie przyjdzie wam na myśl, że ze słabego można zrobić dobrego? Po cholere wam się męczyć, niech to robi za was kto inny, prawda?

- To ja będę uczył kosztem wozów – warknął Rustecki. – Tak? Niech jeżdżą, niech piłują wozy, niech się porozlatują, to potem przyjdziecie do mnie i powiecie: „Techniczny, co jest, do cholery? Komu wy wozy dajecie do ręki? Ślepi jesteście, czy jak?”

- Nikt nie mówi, że kosztem wozów. Trochę serca też wystarczy. Nie wychodzi mu robota, nie umie, to pokazać i nauczyć. A nie machać ręką na niego i mówić: „Szlag go trafi, nie ma żyłki”. To najłatwiej, każdy głupi potrafi. Wy mówicie: „To nie szkółka...” A to wasz obowiązek: uczyć młodych, pomagać. A wy co? Mało, że nie pomożecie, palcem o palec nie kiwniecie, ale jeszcze im życie obrzydzacie, łamiecie ich.

- Czym ich łamię, do pioruna, czym?! – krzyknął w pasji Rustecki.

- Właśnie tym, co chcecie teraz zrobić.

- I zrobię.

- Nie zrobicie. Żeby takiemu chłopakowi jeszcze raz powiedzieć, że jest do niczego, pośmiewisko z niego zrobić wobec całej bazy? Rustecki! Dobrze się zastanówcie, jaką krzywdę byście mu zrobili. To nie jest ludzkie postępowanie. Wy macie podejście karbowego. No, ja się na to nie zgodzę i do Wrocławia pojedzie właśnie Kosewski, właśnie w mróz, właśnie w ślizgawicę i czort wie jeszcze co. Panie Kurka, niech pan wypisze delegację Kosewskiemu. Wstyd Rustecki, naprawdę wstyd.

- Właśnie, właśnie – przedrzeźniał Rustecki. – Ciekawe, co Sołecki powie, jak on nawali?

- Spokojna wasza głowa: pojedzie i przyjedzie. No, co, panie Kurka, mam rację? Też ludzie, cholera...

Wóz dzwonił łańcuchami po oblodzonej szosie. Przewalał się przez zasy, przebijał przez śnieżycę. Koła ciężko pochłaniały kilometr za kilometrem. Kosewski wbijał uporczywie wzrok przed siebie, nie widząc prawie nic. Śnieżycą wchłaniała w siebie światło reflektorów i tylko białe płatki wirowały złościście przed maską, w skąpym kawałku światła. Szyby oblepiał gęsty, biały śnieg, w którym wycieraczka złościła uparcie półksiężyc. Jechał powoli, na wycucie, strzałka szybkościomierza kiwała się niechętnie. Tylko silnik dudnił uporczywie, pewnie w tej białej gmatwaninie. Kilometry, kilometry, kilometry...

Na moment przed samą maską wyrosły światła jakiegoś innego wozu. Kosewski zaklął, rzucił kierownicą aż na skraj szosy. Tamten też w ostatnim momencie śliznął się nad rowem, tylko śnieg bryznął spod kół.

„Warszawa 160” – przeczytał na ośnieżonym drogowskazie. Trzeba liczyć ze cztery godziny.

Szymaniak, spoglądając na zegarek, pomyślał, że Kosewski dolatuje właśnie do Łodzi. Siedzieli we dwóch z Rusteckim w wyziębłym kantorku i Szymaniak powiedział:

- Gdzieś koło dziesiątej zjedzie, co?

Wyrwany z półsnu Rustecki rozejrzał się błędnie.

- Kto?

- No, Kosewski przecież.

- Aa, Kosewski – mruknął. – Tak, coś koło tego...

Chwilę pomilczeli obaj i Szymaniak zapytał:

- Powiedźcie mi, Rustecki, dlaczego wy go tak nie lubicie?

Techniczny uśmiechnął się po swojemu, półgębkiem: ni tak, ni owak.

- Czy ja mówię, że go nie lubię? Szkoda mi go też trochę, ale dlatego, że nic z niego nie będzie. Wódki nie przepijesz, Szymaniak, roboty nie przerobisz i z niego kierowcy też nie będzie. Lepiej by się wziął do jakiejś uczciwej roboty.

- A tak to co? Nie pracuje uczciwie?

Rustecki nie od razu odpowiedział. Przylepił wzrok do brudnej pajęczyny w kącie. Pająk spuszczał się na dół po nitce, machając kudłatymi nóżkami. „Pająk wieczorem, szczęście” – pomyślał Rustecki.

- Czy pracuje uczciwie? – powrócił do rozmowy. – Dla mnie to żadna praca. Jeździł ze Stefanem i tamtymi, to tamci go po prostu za pysk ciągnęli, popychali, jak tylko mogli, robili za niego i tak się trzymał. Patrzyłem na to i mówiłem: „Może się czegoś nauczy, zobaczę”. Nieboszczyk Stefan był dobry chłopak i też robił z nim, co tylko umiał. Wy myślicie, że ja nie wiem? A teraz Stefana nie ma i koniec. Co z niego za robotnik, człowieku? Czy to jest w ogóle praca? Całe życie będzie go ktoś pchał? Słuchaj, Szymaniak: jak ja zaczynałem robić, ooo to nie było gadki. Musiało wszystko grać. I nie było żadnych brygad, i człowiek musiał, i też było dobrze... Wy chyba też wiecie coś o tym, nie?

Znowu chwila milczenia i Szymaniak zapytał:

- A dobre chęci nie liczą się wcale? Przecież on się stara!

- No i cóż z jego staraniem, jak mu nic nie wychodzi? Dobre chęci... Piekło nimi wybrukowane.

Szymaniak zamilkł – Rusteckiego nie można było przekonać. „Sam Kosewski musi go przekonać – pomyślał Bronek. – Tylko czy go przekona?”

Z warsztatu dochodził silniejszy od silnika ryk Gienka, który został na noc, aby wypchnąć wozy.

- No, dawaj. Wszystkie trzech razem.

Potem przekleństwo Dablera i znowu:

- Kantem go, chłopaki, kantem. Inaczej nie pójdzie. Eeeee... oooooop.

Znowu przerwa, znowu przekleństwo i ściekły głos Gienka:

- Sposobem go, inaczej nie pójdzie, wściekły syn. No, panie Lasecki.

Rustecki ubrał się w kozuch.

- Dyferencja! zakładają, pójdę, zobaczę.

Zadzwonił telefon. Szymaniak podniósł się do słuchawki. Czyżby Kosewski? Pochylony nad aparatem, czuł na plecach świdrujący wzrok technicznego. Dzwonił Sołecki, pytając, czy wóz już zjechał.

- Lada chwila się go spodziewamy – powiedział Szymaniak i odłożył słuchawkę.

- Co?

- Żona dzwoniła – zbujął Szymaniak i zaczerwienił się jak uczeń.

Techniczny uśmiechnął się zjadliwie:

- I żonie powiedzieliście, że lada chwila spodziewacie się tego dzemsa, tak?

Szymaniak roześmiał się głośno, zaraźliwie. Trzepnął Rusteckiego w kolano, aż go ręka zapiekła.

- Ech, stary, nie bądź wątrobiarzem, po co ci to? Taki fachowiec jak ty, piosenki o tobie układać będą, a taka stara mantyka. Skąd to do ciebie?

Tej nocy, której obaj czekali na Michała, zaczęła się ich przyjaźń.

Głuchy, metaliczny stuk był tak silny, że Michał wyłowił go uchem poprzez warkot silnika i wicherę. „Nie, to niemożliwe – kłamał rozpaczliwie sam przed sobą. – Zdaje mi się”. Następne minuty rozwiały nikłą mgiełkę nadziei. Jednostajne, głuche pukanie przybierało na sile. Jeszcze kilometr, dwa, a potem urwie się korbówód i silnik diabli wezmą. I co wtedy powiedzą Rustecki, Szymaniak? Ale Szymaniak, Szymaniak... A może to zawór tak wali? Przez krótką chwilę uczeplił się tej myśli. Zatrzymał wóz i wylazł na szosę. Śnieżyca przybierała na sile, wiatr podrywał z pola tumany śniegu i wirował nimi wariacko po pustej szosie. Zapalił pełne światła bojąc się, że ktoś wpakuje się na niego w tych białych ciemnościach. Na parę kroków można było jeszcze coś zobaczyć, dalej droga ginęła w białych kłębach. Otworzył maskę i pochylił się nad silnikiem. Dał parę razy pełny gaz – nie, to nie był stuk zaworu. „Pręk, pręk, pręk” – dudniła panewka. Ten przekłety stuk dochodził z głębi, z karteru. „Pa-

newka” – jęknął w duchu i ręce mu opadły. Nie było mowy o dalszej jeździe; groziła rozsypką silnika.

Był gdzieś za Łodzią, z daleka od osad ludzkich, nie wiadomo, gdzie jest telefon, nic... „Rany Boskie – pomyślał. – Co teraz robić? Czekać do rana na szosie?” Spojrzał na zegarek: dochodziła siódma. „Dopiero siódma. Ile to jeszcze godzin do rana. A niech go szlag trafi, trupa. – Spojrzał na wóz. – Co teraz robić, do cholery? Co robić? Tłoka nie będę wyjmował przecież...”

Wiatr zapędził go z powrotem do szoferki. Skulił się na siedzeniu i zapalił papierosa. Mróz przyszczypywał palce. Tupał nogami, ale to wszystko nie pomagało. Sama myśl o czekaniu do rana mroziła na sople. „Tam Szymaniak czeka na mnie. „Tylko nie nawal, Michał – mówił. – Pamiętaj, tyle razy zjeżdżałeś na głupstwa, że wstyd. Nie pracujesz, jak się należy, sam wiesz najlepiej. Sołecki chciał cię zsadzić z wozu, uważaj, żebyś teraz nie nawalił...” A niech czekają. Co, mam go zaharatać do końca?” „Pamiętaj, nie zrób zawodu...”

„No tak, nie zrób zawodu – myślał. – A czy to moja wina? Czy to ode mnie zależy? Co robić, żeby dolecieć? Korbowód wyjmować, czy jak? Nie, no nie dam rady... Muszą mnie usprawiedliwić...” Ta myśl na krótki moment przyniosła ulgę.

„Mięciutki jesteś, braciszku, mięciutki – mówił Broniek. – Przypomnij sobie Stefana. Niemowlaczkę jesteś jeszcze straszny. Przydałaby ci się taka szkoła życia, ale taka, wiesz...”

„Ósma” – błyszczały nafosforyzowane wskazówki. Śnieg wciskał się do otwartej szoferki, osiadał na samochodzie, lepił się do kożucha Kosewskiego. „Wyjdę, trochę połażę. Może ten przeklęty czas prędezej zleci”.

Wiatr nawiał śniegu do połowy kół. Wielki, mocny wóz stał jak niepotrzebny wrak, jak kupa szmelcu, która już traciła swój zarys pod grubą warstwą śniegu. Rozkraczył się. I do kogo mieć teraz pretensję o tę panewkę? Do Durczaka czy do Sołeckiego, że w drogę pognął? Co powie Gienek, Szymaniak? Nawet się nie będą dziwić. „Student, a cóż takiego? – powie Gienek. – Macie pretensję do garbatego, że ma dzieci proste? A nie posyłać gówniarzy w drogę”. „A jednak inni dojeżdżają. Stefan by dojechał. Pawlak też by dojechał. Położyliby się pod wóz, klęliby, leżeliby całą noc, ale dojechaliby”. Jutro przyjedzie ktoś po mnie, weźmie mnie na dewizkę, zataszczy na bazę. Gienek obetrze ręce w szmaty, wsadzi łeb w silnik, powie: „Postawcie go tam, tego trupa... O, tam dalej, pod płot, panie Edziu. Niech nie zawadza...”

„Powiedz, przyjemnie ci jest – wypływał głos Szymaniaka – jak cię tu wszyscy uważają za cztery litery, co? Ciągłe cię tylko ścigają jak dzieciaka. Sam jestem kierowcą i mówię ci: nie ma cudów. Są tylko defekty, mniejsze czy większe, ale tylko defekty, i wszystkie do zro-

bienia. Ale ty opuszczasz ręce i mówisz: „Nie wiem, zobaczcie sami...” No, a tak to na nic. Weź ty się w garść, bracie, bo inaczej mikro z tobą będzie”.

Telefon przerwał Rusteckiemu w pół zdania. „Ooo... – pomyślał techniczny. – Kosewski gotów. Ale i tym razem nie. Ktoś pytał, czy zastał pana mecenasa.

- Pomyłka – warknął Rustecki i trzasnął słuchawką.

Szymaniak pogwizdywał jakąś melodię. Rusteckiemu przypomniał się Kurka. „I ten też – pomyślał z cichą rezygnacją. W kącie pajak był już w połowie drogi. „Szczęście! Ładne szczęście, cholera! – pomyślał. – Ten chłopak na pewno gdzieś utknął...” I nagle zrobiło mu się żal Michała.

- Która godzina? – zapytał Szymaniak i zaraz spojrzał na ścianę, gdzie zegar wisiał jak byk. – To jedenasta już dochodzi?

Rustecki wstał z krzesła:

- Przejdę się na warsztat, zobaczę, co oni tam robią – powiedział i wyszedł.

W warsztacie gorąco waliło od rozgrzanej do czerwoności rury piecyka. Dabler grzał kawę na fajerce i smażył sobie kaszankę aż w nosie kręciło. Gienek, rozmamłany z gorąca, pochylał się nad silnikiem.

- No, jak tam wam lecie? – zapytał techniczny.

Gienek odwrócił brudną, spoconą twarz kokietyjnie zakrył koszulą swoje włochate piersi.

- Nie pali się na wszystkich, panie szefie... Próbuję go i tak, i tak. Pewnie wentyle podpalone.

- A daleko patrzyliście?

- No, jak to? Pan się pyta? Wszystko, i pakunek też.

- No, to trzeba zrzucić głowicę i zobaczyć wentyle.

Po wyjściu technicznego Gienek powiedział do Dablera:

- Widziałeś pan, jaki cwany? Bo ja to nie wiem, że głowicę musowo zrzucić...

Dabler zaklął ordynarnie:

- A ja to ich wszystkich...

- Daj pan spokój, panie Edward – oburzył się stary Lasecki. – Rzucasz pan tym mięsem od rana do nocy, że aż łeb boli. Tfy!

Rustecki pokręcił się trochę po placu i wrócił do Szymaniaka.

- No, jak tam? – spytał Bronek.

- Blitz Skowrońskiego ma zawory podpalone, głowicę ściągają. Będzie teraz stał nie wiadomo ile...

Szymaniak westchnął. Połowa samochodów stała na warsztacie.

- Daj ty spokój, Rustecki. Ale zima to nas paskudnie zaskoczyła.

Techniczny wykonał gest pełen rezygnacji:

- I tak dobrze. Czy my mamy jakieś warunki do pracy? To jest warsztat? Ani tokarni, ani nic. Nawet ogrzewania żadnego chłopaki nie mają. Tylko piecyk, piecyk w warsztacie. Słyszał to kto? Jeszcze się kiedy spali ta cała buda.

„No tak. Czwarty cylinder. A Durczak śmiał się ze mnie: A może ci w głowie puka? Może dzięcioła masz?” Michał poruszył jeszcze raz łbem korbowodu w górę. Leżał na kożuchu rozłożonym w śniegu, diablo niewygodnie, wiatr walił mu śniegiem w oczy, klucz w zgrabiającej ręce omykał się po śrubach. Nogi były jak dwie drewniane kłody, ciężące, przyczepione nie wiadomo po co. Chyba właśnie po to, aby tylko zawadzały. „Co teraz robić?? Wyrzucić tłok, jechać na pięciu? Która to godzina? Dwunasta już? Powinienem być dawno. Tam pewnie myślą: Utknął gdzieś, ten nasz Student zasrany, nie dojechał. Aaa... Student? No, jasne.”

„A mówiłem, że panewka, mówiłem”.

„Słuchaj, Michał – dręczył głos Szymaniaka. – Dojdzie do tego, że jak będziesz miał jakiś paskudny defekt, to ci wtedy nikt nie uwierzy. Bo pomyślą, że znowu jakieś głupstwo, i nawet nie będziesz mógł mieć pretensji do nikogo... Tak jak z tym pastuchem, co wołał o pomoc, wiesz? No, ale jedź już, bo późno się robi. No, powodzenia...”

Powodzenie. Niech krew zaleje takie powodzenie. Niech starych na panewki ściągają. Chociażby Balcerzaka. Niech szlag trafi taką robotę... „A pomyśl sobie, jak było dawniej. Kierowca wszystko musiał sam robić. Nawet kapitalne remonty. Nie było dla ciebie warsztatu na takie rzeczy. Nie zrobiłeś, to won z roboty. Na twoje miejsce było dziesięciu, ale... dziesięciu, stu innych. A znaleźć drugą, człowieku, ty wiesz, co to było?”

Okruszyny wystukanej panewki wysypały mu się na rękę. Była pierwsza w nocy.

- Wentyle, panie szefie – powiedział Gienek do Rusteckiego. – O, niech pan zobaczy, co to teraz roboty kosztuje.

Rustecki wziął zawór do ręki.

- No i co? – spojrzał pytająco na Durczaka. – Zrobicie?

- Zrobi się. Edek zaraz podociera i będzie gites.

- Porządny chłopak – powiedział Szymaniak, gdy za Gienkiem stuknęły drzwi. – Porządny chłopak i dobry remiecha.

- I co z tego, jak nie ma czym robić?

- Co? Już wątroba z was wychodzi?

Zegar cykał monotonicznie na ścianie. Każda minuta była wypełniona tym denerwującym czekaniem. Dojedzie czy nie dojedzie? Wskazówka wlokła się po odrapanym cyferblacie. Dojedzie czy nie dojedzie?

Rustecki pochrapywał z otwartymi ustami, rozwalony piersią na stole. Głowę wsparł na kulakach. Miał te ręce jak kleszcze: zadziorowate, poczerniałe od smarów, gdzieś gdzieś przeświecała różowa blizna. Głowę miał łysą, dużą, ze szczątkami siwych włosów koło skroni. Sapał ciężko, zmordowany po całodziennej lataninie, wyciągnąwszy sztywno przed siebie protezę.

Szymaniak, zapalając papierosa, specjalnie tak trzasnął papierośnicą, że umarły by powstał. Rustecki wyprostował gnaty, ziewnął na potęgę, aż coś chrupnęło:

- Nie ma? – zapytał.

Szymaniak przecząco pokręcił głową. Nawet gadać mu się nie chciało z tego zmęczenia i zdenerwowania. Dojedzie czy nie dojedzie?

„Cyk, cyk” – monotonicznie! Zegar na ścianie. Duża wskazówka dochodziła do dwunastki. Była druga w nocy. Dojedzie? Nie, nie dojedzie. Stoi gdzieś na drodze, czekając ranka. Co mu się mogło stać? Rustecki wstał ociężale i podszedł do drzwi.

- Pójdę chyba na warsztat, zobaczę, jak z tymi wentylami.

- Cóż wy tak latacie? Czy oni dzieci są? Nie potrafią bez was czy jak?

Rustecki pokiwał głową, że niby Szymaniak ma rację, zakręcił się na pięcie i poszedł. „tego to robota kocha” – pomyślał Szymaniak.

Śnieg skrzypiał pod nogami Rusteckiego, połyskiwał martwo w świetle księżyca. Śnieżyca ustała zupełnie, niebo jaśniało. Rustecki chodził założywszy ręce do tyłu.

Gdzieś daleko mocował się z nocą samotny człowiek, szarpał się, opuszczony, bez żadnej pomocnej ręki, bez dobrego słowa. Student, ot, taki niedojda życiowy. A może sterczy gdzieś na słupie? Albo w rowie? Gorycz szarpnęła za serce Rusteckiego. Jakby mu pomóc? Jechać po niego diabeł wie gdzie, czy jak? Odpalił jednego papierosa od drugiego, aż gorzko zrobiło się w gębie i pokuszył do warsztatu. Dabler siedział na falbanku. Opychając się chlebem, mówił:

- Na Marymoncie miałem taką kobitę... A... mówię panu, panie Gieniu: lalka kobita. Jak artystka, skarż mnie Bóg! Tylko wie pan, taki już miała charakter, że po prostu nie do życia...

Urwał, zmieszany, zobaczywszy technicznego.

- No, wal pan śmiało! Co pan myśli! Że ja to nie lubię?

Wszyscy się roześmieli. Stary Lasecki, co chciał syna na księdza, powiedział:

- Ech, panie Edziu, jesteś pan... Tfy.

- Lasecki, nie tfy, nie tfy – powiedział Gienek.

- Panie szefie, niech pan zobaczy te zawory, jaka robota! Si kalafą.

Wtedy Rusteckiemu przypomniała się panewka Kosewskiego.

- Panie Gieniu – zagadnął podejrzliwie. – Powiedz pan, jak to było z tym dżemsem sto siedem?

- Studenta? No co. Zjechał na warsztat, bo mówił, że mu panewka stuka. Ale pan szef wie, jak to jest z nim. Edek sprawdził i wszystko było gites.

Oczy Dablera zrobiły się jak u sowy, jak dwa pytajniki. Rustecki od razu zauważył te oczy.

- Jak to było z tą panewką, panie Dabler? – zapytał niespokojnie.

- Ja, ja... wcale w tym dżemsie nie sprawdzałem. W siedemdziesiąt siedem to tak, ale u Studenta?

Zapanowało nieprzyjemne milczenie. Wszyscy czekali teraz ryku Rusteckiego. Rustecki milczał. „Teraz możemy go czekać” – myślał.

- To nic, panie szefie – usiłował ratować sytuację Gienek. – To, że panewka, to ja nie wierzę. O litra idę w zakład, że nie...

Rustecki pobladł z wrażenia. Już nic nie mówił: ani na Michała, ani na chłopaków z warsztatu, co już drugą noc pracowali bez fajrantu, aby tylko wozy wypchnąć.

- No, co tam macie do roboty? – zapytał.

- Tego zisa na gaźnik.

- Dawajcie go.

Wszyscy odstąpili na bok, żeby popatrzeć, jak Rustecki pracuje.

- Zapuście go.

Pracował finezyjnie, jak najprecyzyjniejszy chirurg. Pomału, po ćwierć obrotu, manipulował śrubkami na czucie.

- Gazu.

Silnik krztusił się, walił w rurę, nie mając przejścia. Pod palcami Rusteckiego nabrał wolnych obrotów, takich, że można było policzyć migające skrzydła wentylatora. Wszyscy pokiwali głowami.

- Artysta.

Rustecki wyprostował się, uśmiechnął szeroko.

- Gites. Dawajcie następnego trupa.

Na szosie Kosewski spojrział na zegarek. Była trzecia. Kończył przykręcać ostatnie śruby karteru. „A jednak dojadę, dojadę, dojadę, psiakrew. Jutro wszyscy otworzą gęby: Aaaa – powiedzą. – Dokatulał się jednak. A widzicie, że on wcale nie jest taki drętwiak, jak mówiliście – powie Szymaniak do Rusteckiego”. Wstał i zatoczył się nieprzytomnie. Tyle godzin leżenia pod wozem, na śniegu. Uczuł gwałtowny przypływ radości i siły. Chciało się krzyczeć, śpiewać, ale z gardła dobył się tylko głupawy skrzek. Tylko teraz zapalić go... silnik zamazł na mur, dobrze, że chociaż płyn w chłodnicy... A... Zresztą, to wszystko fraszka, aby do bazy. Baza stała się teraz czymś bliskim, osiągalnym za chwilę.

Włączył stacyjkę, parę wstrzyknięć benzyny do gaźnika, przekręcił korbę – nic. Trzeba go zassać. Znowu parę daremnych obrotów. „Co jest? – zaczął się gorączkować. – Może akumulator wysiadł, tyle czasu na pełnych światłach...” Zdjął kopułę rozdzielacza i spróbował iskrę. Była mała i słabiutka. Teraz, żeby zapalić, trzeba by go dobrze szarpnąć. Tyle roboty na nic. Łzy zapiekły się pod powiekami, ręce opadły. „Na nic, cholera, na nic...”

Rusteki otarł w szmaty zaoliwione ręce.

- No, chłopaki, do domu. Na dzisiaj starczy. Zdrowia, szczęścia...

Pożegnał się z każdym, żartując i śmiejąc się poklepał Gienka po obwisłym kałdunie.

- Masz pan ten śmietnik, panie Durczak, no, no...

Gwiżdżąc wykołysał się z warsztatu.

- Co jemu się dzisiaj stało, że taki wesoły? Na loterii wygrał czy co?

Rusteki szedł pomału podwórkiem. Zmęczenie dopiero teraz wychodziło z gnatów. Głowa go bolała, w gardle paliło od papierosów. Z daleka, od ulicy Wolskiej nadciągał znajomy głos, zwykle wysoki i silny. Rusteki znał ten gong. Dżems! Od razu poznał, że silnik nie pracuje na wszystkich cylindrach. Głos przybliżył się. Wóz mignął między sztachetami parkanu, zgrzytnął biegiem przed bramą i wtoczył się ciężko na podwórko. Techniczny podniósł rękę do góry, Kosewski zahamował.

- No, co chłopak? – zapytał techniczny podchodząc. – Co z tobą było?

Twarz Michała była brudna, wyostrzona zmęczeniem, oczy miał czerwone, w sinych okrągkach, wargi zapiekłe, spalone gorączką.

- Panewka, panie szefie – wychrypiał.

- Fiuuu... Wyleciała?

- Wyleciała...

Pogmerał w kieszeni, wyciągnął okruchy panewki, sypnął nimi w nastawioną dłoń Rusteckiego.

- Widzi pan?

Rustecki podniósł dłoń z wykruszynami do oczu. Małe bryłki błyszczały w świetle reflektorów.

- Tak – powiedział. – Mamy odlew, ot i wszystko.

- Mamy odlew – powtórzył w zamyśleniu Kosewski. – Mamy odlew, panie szefie. No nic, może będzie lepszy.

- Co ty, co ty?

Michał zmieszał się.

- Nie, nie. Ja tak do siebie.

- To ty na szosie robiłeś?

- No tak.

- I co robiłeś?

- Tłok wyjmowałem, co mogłem robić, panie szefie?

Głowa Kosewskiego kiwała się ze zmęczenia. Oczy Rusteckiego podchwyciły wzrok Michała i techniczny poczuł, jak żar oblewa mu policzki. Klepnął Kosewskiego w plecy:

- Ech, ty wilku, namordowałeś się, bracie. No, jedź na warsztat i powiedz Gienkowi, żeby litra dla nas szykował. No, jedź. Głowa oparta na kierownicy nie odpowiadała. Spał. Rustecki zaśmiał się. Była siódma rano. Baza zapełniała się ludźmi. Nadbiegł Szymaniak.

- Człowieku, co z tobą było?

Od Pragi nadciągał poranek. Słońce rozczzerwieniło niebo, roziskrzyło śnieg na podwórku, przebiegło po wypucowanych maskach samochodów. Kosewski ruszył, ale tak, że aż ziemia zadrżała, chociaż tylko na pięciu cylindrach. Wszyscy odskoczyli w bok.

„No – pomyślał w następnej chwili – teraz to mnie Rustecki opieprzy”. Ale nie. Dojeżdżając do warsztatu, zobaczył malejącą w lusterku postać technicznego – Rustecki uśmiechał się wesoło i przyjaźnie.

1956

ŻOŁNIERZ

Działo się to w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. W tym czasie ludzi dziwiła jeszcze cisza: cisza niepokoiła i nie ufano jej; dwa miesiące po dniu, w którym umilkły ostatnie strzały, wieśniacy wychodzili przed domy i przesłaniając oczy dłońmi, spoglądali w bezchmurne niebo; ciągnące klucze ptaków wciąż nieuchronnie przywodziły na myśl nadlatujące samoloty, a Żydzi na ulicach miast wciąż jeszcze osłaniali swe twarze i mieli trwogę w oczach.

Idący obok kobiety żołnierz mówił:

- Czy baliśmy się? Trudno jest na to odpowiedzieć. Niektórzy mówią, że odwaga siedzi na krześle, którym jest strach. Ale czy to prawda? Chyba nie. Tam trzeba było wybierać, rozumiesz? Trzeba było wybierać choćby po to, aby wiedzieć, z czym się umiera. Strach przychodził czasem, a wtedy człowiek się kurczył. Strach przychodził nawet podczas snu: czasem jedliśmy, z daleka od frontu, i nagle czułem, że się boję. Każdy z nas miał taką chwilę; niektórzy budzili się w nocy i krzyczeli. Byli wtedy jak małe dzieci...

Żołnierz przerwał i zapalił papierosa. Wyszli poza miasto; zostały już za nimi ostatnie nędzne domki i gospodarstwa ogrodników; szli teraz biegnącą wśród pól wąską ścieżką. Oślepiało ich słońce, nagrzana ziemia pachniała sianem i wiejskim mlekiem. Żołnierz milczał. Idąca obok kobieta patrzyła na twardą i surową twarz jego; czekała nań wiele lat i marzyła teraz, aby żołnierz przestał mówić już o *tamtym* i rzekła coś niezwykłego – o pogodzie, ziemi i słońcu – nie powróci już do swych wspomnień, a wtedy i jemu, i jej uda się o tym wszystkim zapomnieć. Zaciskała dłonie i w myślach poddawała mu rozmaite słowa; wiedziała, że ją kocha: powinien więc być odgadnąć jej myśli.

Lecz żołnierz mówił:

- W batalionie mieliśmy jednego takiego; był chłopcem i marzył tylko o tym, aby powrócić i uprawiać nadal swoją ziemię. Wszyscy wiedzieli o nim, że się boi. On się bardzo bał i jego strach działał na innych; to uczucie jest zaraźliwsze od tyfusu i trudniej się potem z tego wyleczyć. Kiedyś słyszałem, jak po cichu życiono mu śmierci i dopiero dzisiaj rozumiem, że było to okrutne; wtedy jednak pragnąłem żyć, a ten człowiek niósł w sobie śmierć. On się bał,

bał się tak, że przez cały czas miał białe oczy. A przecież zginął jak bohater, ba, jak batalion bohaterów! Pewnego razu szliśmy przez wieś. Uciekali zewsząd ludzie, wozy były załadowane, pędzono bydło, wieziono starców i chorych, którzy umierali na wozach; pamiętam jednego człowieka: niósł na ramieniu pług. Odchodzili zostawiając całe domy i nietkniętą ziemię; tam, gdzieśmy się bili dotychczas, z domów nie zostało ani śladu, a ziemia była zryta po trzykroć. Tutaj pozostawała nietknięta; rosło na niej kielkujące zboże. Rozumiesz? Cofamy się; on wiedział, że ziemię tę oddajemy bez walki, a ci, którzy tu przyjdą po nas, zatratują ją i zgwałcą. Wtedy w tym żołnierzu obudził się gniew. A przecież nie był to nasz kraj, było to bardzo daleko stąd. Ten żołnierz tam został, ale bił się jak diabeł, jak sto diabłów. Pamiętam, że nazywaliśmy go Grzesiem; nawet nie wiem, jak nazywał się naprawdę...

Zerwał kulę ostu i rozdmuchał ją sobie na dłoni; gorący wiatr owiewał jego twarz i żołnierz mrużył oczy. Przed nimi biegł pies, którego żołnierz przywiózł sobie z wojny; pies ten miał bardzo śmieszne uszy i kusy ogon; nazywał się Granat. Kobieta nienawidziła tego psa i zamykała oczy, ilekroć podbiegał do niej łasząc się i liżąc ją po rękach. Żołnierz przywiózł z sobą wiele rzeczy; odłamek, który uderzył o cal nad jego głową; splaszczoną na czubku kulę karabinową, która utkwiała mu swego czasu w nodze; mosiężne popielniczki ze spiłowanych gilz; papierośnica żołnierza zrobione była z aluminiowej blachy roztrzaskanego samolotu. Kobieta marzyła, aby do mieszkania ich przyszedł jakiś dziwny złodziej i pozabierał te przedmioty. Sama nie mogła zdobyć się na to, aby otruć psa i zniszczyć te rzeczy; czekała na żołnierza wiele lat i myślała przez wiele bezsennych nocy, że wszystko, co człowiek ten przywiezie ze sobą, będzie jej bliskie i drogie. Był on jednak dziś dalszy niż wtedy, gdy patrząc w ciemne niebo za oknem, myślała o dniu, w którym powróci. Dalszy i inny od obrazu tego, który nosiła w sercu, gdy żołnierz był daleko stąd. Niebo za oknem rzedło, ona myślała: „Czy wróci, czy żyje jeszcze? Jest zdrow czy ranny?” Czasem przychodziła jej do głowy niepokojąca myśl, czy może – będąc daleko od niej – nie pokocha kogoś innego. Lecz natychmiast odpędzała tę myśl, i znów powtarzała: „Czy wróci? Czy żyje? Czy zdrow jest i cały?” Pod jej oknem, na podwórku, dzień w dzień chłopcy bawili się w wojnę; cienkie ich głosiki budziły w niej nienawiść, mieli drewniane karabinki, drewniane szable i czapki z papieru. Kiedy pewnego dnia spostrzegła, że dzieci bawią się w rozstrzeliwanie Żydów, przysięgła sobie, że jak tylko on powróci, opuszczą na zawsze dom, w którym czekała na niego. Wyszli teraz na miasto, aby wyszukać miejsce, gdzie postawią sobie nowy dom. Złociły się na polach snopy zżętego zboża. W dali czerniały szczątki rozwalonego wiatraka – przypadkowy pocisk roztrzaskał skrzydła i zerwał dach. Żołnierz spostrzegł ten wiatrak i rzekł:

- Widzisz! Przypomina się mi historia, jaka opowiadał mi pewien żołnierz. Działo się to jeszcze w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. Nadchodzili Niemcy i było ich bardzo wielu. Nasi cofali się w stronę lasu. Nagle wypadły stamtąd dwa czołgi i odcięły naszym odwrót. Wtedy ten facet, który mi to opowiadał, wraz z kilkoma innymi schronili się do takiego wiatraka i stamtąd kropili z cekaemów. Nagle huknęło w wiatrak; nikomu nic się nie stało, tylko mąka zakleiła im oczy; uciekali potem na ślepo, pod ogniem i, wyobraź sobie, nikomu nic się nie stało. Żołnierz ten powiedział mi, że nigdy już nie weźmie do ust kawałka chleba ani niczego, co pachnie odrobiną mąki. Na wojnie zdarzają się także komiczne historie, jak widzisz.

- W tym wiatraku – rzekła cicho kobieta – podczas jak uderzyła w niego bomba, schroniło się wiele kobiet z dziećmi i zginęły wszystkie co do jednej. To były proste, wiejskie kobiety i dlatego schroniły się w wiatraku, bo myślały, że wróg nie będzie bić w wiatraki, gdyż w nich powstaje chleb, który jest rzeczą świętą. Ale zginęły wszystkie.

- Ba! – powiedział żołnierz. – I tak musiała to być bardzo lekka bomba, a w dodatku uderzyła z boku. To jeszcze nic. Amerykanie urządzali naloty, w których brało udział po kilka tysięcy samolotów. Każdy z tych samolotów mógł zrzucić kilka ton bomb. Trudno nawet pomyśleć, co się tam działo!! Po takim nalocie nikt nie wiedział, gdzie *kiedyś* była ulica, a gdzie domy, i sam szatan nie doszedłby tego. Pod tymi gruzami ludzie umierali po kilkanaście dni i jeszcze Bóg wie, ile czasu leżeć tam będą, zanim ich odkopią i pochowają po ludzku.

Wyszli na najwyższy wzgórek. W dali zostało miasto; teraz, w zachodzącym słońcu, poczerniałe dachówki domów wydawały się złote. Lśniły wieże kościołów i ogromnym światłem rozlewał się blask nad kopułą jedynej w mieście cerkwi. Nad dalekim lasem ciemniało już niebo, dołem płynęła rzeka, a z pól podnosiły się wilgotne mgły. Okolica była tu piękna; głośniej i swobodniej śpiewały tu ptaki, powietrze szerzej parło do płuc. Kobieta rzekła:

- Tu postawimy nasz dom.

Żołnierz milczał. Stał na wzgórk i rozglądał się na wszystkie strony. Odwrócił wzrok w stronę lasu. Następnie spojrzął w dolinę i marszcząc czoło poruszał wargami, jakby coś obliczając. Przysłonił dłonią oczy i długo lustrował całą okolicę. I nagle surowa twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Złapał kobietę za rękę i przyciągnąwszy ją do siebie rzekł:

- O, do diabła, do diabła! Pomyśl, jaka stąd znakomita obrona! Tutaj wystarczy trzy cekaemy, kilka granatników i niczego więcej nie potrzeba. Można się bronić przez kilka tygodni! Założmy, że odpieramy natarcie, które wysuwa się z lasu...

- Nie! – krzyknęła rozpaczliwie kobieta. – Nie!

Żołnierz drgnął i twarz mu zgasła. I wtedy po raz pierwszy, od chwili gdy powrócił z wojny, ujrzał, że na ziemi tej rośnie zboże, że zaorali ją pługami ludzie, że pracują na niej; nie zabijając się: przypomniał sobie, że ziemia jest nie tylko grobem, ale i życiem człowieka. I nagle po raz pierwszy od tego dnia, gdy powrócił z wojny, uczył ogromne zmęczenie: uczył, że jest stary i bardzo samotny.

1955

KANCIK, CZYLI WSZYSTKO SIĘ ZMIENIŁO

Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Dziennikarz wysiadł. Szedł wzdłuż starych i śmiesznych wagonów, trzymając w ręku skórzaną walizkę. Był chmurny dzień jesienny; na bezlistnych drzewach grubymi kroplami osiadała mgła.

Człowiek, który wysiadł z pociągu, spojrział na niebo i wzdrygnął się ze wstrętem – wyglądało jak brudna ścierka. Po peronie szedł zawiadowca z czerwoną chorągiewką; był podobny do starego, wąsatego morsa. Człowiek, który wysiadł z pociągu, zaszedł mu drogę.

- Daleko do miasta? – zapytał.

Zawiadowca przystanął.

- Pan chce iść do miasta? – powiedział bijąc się po rękę trzonkiem chorągiewki.

- Dlatego pytam o drogę – powiedział dziennikarz. – Następny pociąg mam za parę godzin, jadę dalej.

Przesunął ręką po twarzy i powiedział:

- Muszę się iść ogolić. Nie spałem przez dwie noce, mam pysk bandyty.

Szli po wilgotnym żwirze peronu. Pociąg już odjechał, w mętным powietrzu leniwie rozpływał się dym. Szyny lśniły od wilgoci. Zawiadowca powiedział:

- Daleko pan jedzie?

- Wystarczająco daleko.

- Pracuje pan może w zaopatrzeniu?

- Skąd panu to przyszło do głowy? Pracuję w redakcji.

- Mój syn pracuje w zaopatrzeniu – powiedział zawiadowca. – Jest w Warszawie. Pan też z Warszawy?

- Też.

- Majewski Kazimierz, zna pan?

- Nie.

- Oni ciągle jeżdżą.

- niepotrzebnie. Powinni siedzieć w domu.

- Dlaczego?

- Z pociągu można wylecieć. W pociągu można się zaziębić.
 - W pociągu poznałem kiedyś jedną kobietę – powiedział zawiadowca.
 - I co?
 - Nic. Pojechała dalej.
 - To szlachetnie z jej strony – rzekł dziennikarz i ziewnął. Potem spytał:
 - To co? Daleko do miasta?
 - Miasto jest zaraz – rzekł stary. Wąsy miał wilgotne. Zmrużył oko i zapytał: – Pan na pewno do fryzjera?
 - Co to pana obchodzi?
 - Myślałem, że pan może chce się napić jedną wódkę. Mam w domu.
 - Nic się nie zmienia w tych małych, zasranych miastach – powiedział z gniewem dziennikarz. – Sam urodziłem się w takiej dziurze. Czy tu także jest burdel przy kościele?
 - Nie. Apteka.
 - Słyszałem – rzekł dziennikarz – że tu się zmieniło mnóstwo rzeczy. Wybudowali wam coś niecoś. Czy to prawda?
 - Prawda – powiedział zawiadowca. – Przekona się pan na miejscu. Do miasta jest niedaleko. Piętnaście minut. Wstąpi pan do mnie?
 - Nie – powiedział dziennikarz. – Do widzenia.
- Rzeczywiście po piętnastu minutach był już w mieście. Na rynku stało kilka furmanek; konie drzemały zwiesiwszy łby w torby z obrokiem. Na ulicach walało się pełno słomy; widocznie był tu dziś targ. Deszcz padał; przechodnie kulili się z zimna.
- Gdzie jest fryzjer? – zapytał dziennikarz jakiegoś człowieka o nieokreślonej twarzy, nieokreślonym zawodzie i nieokreślonym wieku.
 - Co?
 - Fryzjer.
 - Co fryzjer?
 - Jest fryzjer?
 - Gdzie?
 - Tu.
 - Tu?
 - Tak, tu.
 - To co?
 - Gówno. Rozumie pan teraz?

- Nie – powiedział nieokreślony człowiek i na jego twarzy odbiła się męka myślenia. – Ja jestem tutejszy, panie. A fryzjer to tam zaraz. Za winklem.

- Nie za winklem, a za rogiem.

- A to ja nie znam.

- Ale ja znam – powiedział dziennikarz. – Do widzenia.

Odszedł i zaraz znalazł fryzjera. Nad drzwiami wisiał mosiężny talerz, na wystawie – lalka w uczesanej peruce wpatrywała się bezmyślnymi oczyma w szarą pustkę ulicy.

Dziennikarz wszedł.

- Dzień dobry – powiedział.

- Dzień dobry – odparł fryzjer. – Niech pan siada.

Dziennikarz usiadł i wyciągnął nogi. Parował zmęczeniem: jechał już trzecią noc, widział mnóstwo twarzy, poznał wiele faktów, wiele razy usiłowano go oszukać – marzył, aby wrócić już do Warszawy i wyciągnąć się we własnym łóżku. Miał małą, czarną dziewczynę o twarzy podobnej do Mickey Mouse; cały czas wściekał się na myśl, że w jego własnym wygodnym łóżku, z jego własną, małą dziewczyną być może śpi kto inny.

Fryzjer założył mu serwetkę na szyję i powiedział:

- Pompkę pan wyjął?

- Jaką pompkę?

- Pan nie na rowerze?

- Nie – powiedział dziennikarz. – A co? Kradną?

- E – powiedział fryzjer – żeby kradli, to nie. Ale kierownik samopomocy zgubił swoją pompkę; jego wentyl spuszcza, więc lepiej jednak wnieść. Tak to bywa w życiu, rozumie pan?

- Rozumiem – powiedział dziennikarz i spojrzał na fryzjera.

Fryzjer był stary: miał łysą głowę, pokrytą śmiesznym kaczym puchem, odstające, zwiedle uszy i bystre spojrzenie czarnych ślepek. Zapytał:

- Mycie będzie?

- Nie.

- Nie będzie – powtórzył.

Zatopił szpony we włosach dziennikarza i powiedział:

- Główkę niżej. To co? Strzyżenie czy golenie?

- Strzyżenie i golenie.

- Mycia nie będzie?

- Nie będzie.

- Ach – powiedział i na twarzy jego odmalowało się niesłychane skupienie.

Milczał przez chwilę, patrząc na dziennikarza wzrokiem chirurga, potem rzekł:

- Pana ostrzyć w kancik?

- Broń Boże. Normalnie.

- Oczywiście – powiedział. – Oczywiście, że normalnie. Panie, teraz w kancik to już nikt nie chce. Przedtem się strzygli. A przeważnie łobuzeria. Tu mieszkał taki jeden, parę domów dalej. Niejaki Loniek Maciejewszczak. Zawsze przychodził do mnie w sobotę i mówił: „No, panie Sobisiak! Ostrzyżesz mnie pan teraz legalnie, w kancik. Tylko żeby mnie się włos trzymał pięknie, bo inaczej to pan mnie znasz!” on tak mówił. Panie, to był grandus! największy w całym mieście. Mówię panu: pan by nie chciał od niego dostać w mordę. Wierzy mi pan?

- Absolutnie – powiedział dziennikarz i poprawił się w fotelu.

- On miał koleżków. Rzecz jasna, że także samo grandę. Co sobota wychodzili pod kościół i grali w taką grę „frajnakresce”. Rysowali na chodniku kreskę i kto by nie przyszedł, dawali mu blachę w czoło.

- Po co?

- A tak. Dla hecy. Teraz, to już ich nie ma. Zmieniło się.

- Zmieniło się?

- O tak – powiedział z ożywieniem fryzjer. – Samo się nie zmieniło, ludzie wszystko zmienili. Prawdę powiedzieć, to wszystko się zmieniło. Fabrykę nam tu budują, pan wie? Instrumenta muzyczne będzie się tu robić, chłopaków już posłali gdzie indziej na naukę. Przed wojną był tutaj tylko jeden fachowiec od instrumentów. Organy naprawiał. Trunkowiec. Mówiło się do niego „mistrzu”. On sam mówił: „Wy, gówniarze, musicie mówić do mnie mistrzu. Ja jestem człowiek od delikatnej roboty. Jeśli mnie tu szlag trafi, to wszyscy zdechniecie, bo kościoły zamkną – kościół bez muzyki nie ma u Boga żadnej zasługi, choćbyście nawet po dziesięć złotych na tacę dawali!” No i mówiło się do niego tak, jak chciał. Pił. Pił tak, jak tu nikt jeszcze nie pił i nigdy już pić nie będzie. Czasem trzy dni, a czasem pięć. Chodził po mieście i krzyczał: „Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam!” Ewangelię znał, ciągle w kościołach siedział. Po łacinie też się potrafił wyrazić. U mnie się strzygł. Także samo w kancik. A pana jak ostrzyć? W kancik?

- Normalnie – powiedział dziennikarz i westchnął.

Lustro, przed którym siedział, opstrzyły muchy. Dziennikarz patrzył przez długą chwilę na czarne kropki, potem zapytał:

- No i co z nim?

- Z nim? – powtórzył fryzjer. – Nic z nim. Umarł. Przed śmiercią krzychał: „Nie ma Pana Boga, wy gówniarze! Jak chcecie posłuchać muzyki, to załóżcie sobie elektrykę i kupcie radia zamiast chodzić do kościoła!” wódka go zgubiła. Teraz to już tak nie piją. Wszystko się zmieniło, czasu nie ma na łobuzerkę. Wielkie rzeczy tu idą, panie. Ludzie się pozmieniali: pracują, mają fuchy, całkiem inaczej myślą. Ja też, panie, inny człowiek jestem. Chyba rzucę to fryzjerstwo do cholery. Krem?

- Tak – powiedział dziennikarz.

Spojrzał na fryzjera i rzekł;

- Stary pan już jest. Teraz, na stare lata, fach zmieniać? Ciężko panu będzie.

- Tak – powiedział fryzjer – stary jestem. Pan nawet nie wie, jaki stary jestem; mam prawie osiemdziesiątkę. Córka moja jest w Wenezueli, mam wnuka, panie. Chce pan zobaczyć fotografię?

- Po co? – rzekł dziennikarz. – Cóż mnie, u diabła, obchodzić może pański wnuk?

- No, właśnie – powiedział fryzjer marszcząc czoło. – Co pana może obchodzić mój wnuk? A czasem by się chciało pogadać. Ale nie ma z kim. Dawniej, bywało, ludzie siadywali przed domami, gadali, plotkowali. Teraz to już nie. Nie mają czasu: albo długo pracują, albo idą gdzieś do kina, mają radia, młodziaki lubieją sport. A ja, panie, taki człowiek znowuż jestem, że najbardziej lubię towarzystwo. Słowo to jest zawsze słowo. Dawniej ludzie więcej rozmawiali z sobą niż teraz. Byli tacy, co potrafili opowiadać. Burmistrz tu był kiedyś. To on zawsze jak przychodził do mnie, mówił: „No, panie Sobisiak, opowiadaj pan!” strzygł się także samo u mnie.

- W kancik? – zapytał dziennikarz.

Fryzjer zastanowił się.

- Nie – rzekł po chwili – on był łysy jak księżyc. Ale jego żona miała kochanka. Miał piękny włos i strzygł się w kancik. Heca była z tym kochankiem, mówię panu! Wszyscy o tym wiedzieli, tylko sam gospodarz miasta nic a nic.

- Przestań pan, do diabła – powiedział dziennikarz.

Znów pomyślał o swojej Mickey Mouse i mózg ścierpł mu z przerażenia; oszukiwano go raz przez czas bardzo długi, kiedy był jeszcze nic nie znaczącym debiutantem, i teraz, gdy wybił się jakoś z niesłychanym trudem o pół cala w górę – wiedział dobrze, iż nigdy już nie będzie w stanie uwierzyć drugiej dziewczynie, że go kocha za darmo i dla niego samego.

- I pan myśli, że ja kłamię? – zapytał fryzjer.

- Nie chcę tego słuchać – powiedział dziennikarz. – W mieście, w którym mieszkam, większość kobiet myśli w tej chwili, że socjalizm zaczyna się od tyłka, a nie od głowy. Mam tego dosyć.

- Jesteś pan młody – powiedział fryzjer – i słuchaj pan, co do pana mówi stary człowiek. Tu kiedyś, panie, to miały baby kochanków. Czasem mąż nakrywał taką i wtedy całe miasto przylatywało patrzeć, jak ją tłucze obcasami po pysku. Barcikowski niejaki tu mieszkał, ry-marz. Złapał raz gacha u żonki; jego won po schodach, a ją bił cały tydzień i pytał: „Mów: to ostatnie – moje?” Bo trzeba panu wiedzieć, że oni mieli pięcioro dzieci, a ostatnie urodziło się pół roku temu i było rude. Barcikowski brunet, włos miał jak drut i nie mógł uwierzyć, że to ostatnie, to rude, to też jego. Więc bił ją i pytał: „Mów: moje czy nie moje?” Po tygodniu ona umiera i mówi do niego ostatnie słowa: „To piąte twoje, ale czworo tamtych nie”. Potem sko-nała. Barcikowski wypił butelkę, wziął siekierę i – wszystkie pięcioro. Tak, panie. Różne he-ce tu były w miasteczku. Teraz to już nie. Wszystko się zmieniło; budują, pracują, to i na głu-poty nie ma czasu. Teraz, panie, ważniejsze rzeczy każdy ma na głowie.

Przestał mówić. Odszedł o krok i przyglądał się siedzącemu na fotelu wzrokiem człowie-ka, który ukończył w tej chwili największe dzieło swojego życia. Potem powiedział:

- Gotowe. Mycia nie będzie?

- Nie będzie mycia – powiedział dziennikarz. – Nie wybiera się pan czasem do Warsza-wy?

- Stary już jestem – powiedział fryzjer pobrzękując narzędziami. – Nie dla mnie taka po-dróż, panie.

- Zobaczy pan ludzi.

- Wszędzie są ludzie.

- Tak – powiedział dziennikarz. – Dobrze, że przyszedłem do pana, panie starszy. Wraca-łem w złym humorze. W terenie ludzie bujają, boją się. Teraz będzie jakoś przyjemniej wra-cać.

- Wracać jest zawsze przyjemnie – powiedział fryzjer. – Dom to jest dom.

- Nie o to chodzi. Ale przyjemnie jest zobaczyć, że człowiek w małym, zasranym mie-ście, w takim mieście, gdzie bez przerwy pada deszcz i bez przerwy jest błoto, gdzie nie ma światła, gdzie jak jedną dziwkę boli ząb, to już nie ma nocnego życia – zupełnie zmienił się człowiek. To jest przyjemnie zobaczyć.

- Tak – powiedział fryzjer. – No, cóż? Czasy są wielkie, to i człowiek się zmienia. Ja, pa-nie, zupełnie się zmieniłem.

- Przyjedź pan kiedy do Warszawy.

- Umrę chyba niedługo.

- Jak pan chce.

Dziennikarz wyszedł i znów brnął błotem przez rynek; konie, tak, jak i przed godziną, drzemały ze zwieszonymi łbami. Na furkach spali pijani chłopci. Deszcz padał; miasto jak wstrętny, plugawy grzyb nasiąkało wilgocią. Dziennikarz idąc gwizdał.

Na stacji zawiadowca powiedział do niego:

- No i co? Ostrzygł się pan?

- Tak – powiedział dziennikarz i uchylił kapelusza.

- Zajdzie pan do mnie? – zapytał zawiadowca.

- Teraz mogę zajść – powiedział dziennikarz i wszedł za zawiadowcą do jego budki.

Zawiadowca nalał.

- Najlepszego – powiedział dziennikarz.

- Najlepszego – rzekł zawiadowca. – Ten fryzjer, co pana strzygł, to porządny chłop. Ja sam strzygłem się u niego, kiedy jeszcze miałem włosy.

- Nawet wiem, jak.

- Jak?

- W kancik.

- Skąd pan wie?

- Prasa wszystko wie – powiedział dziennikarz. – To dobry, stary facet. On ma jasny łeb i dużo rzeczy potrafi zobaczyć. – Klepnął zawiadowcę w kolano i zapytał: – Wszystko się zmieniło, tak czy nie?

- Tak – rzekł zawiadowca.

- Nalej pan jeszcze – powiedział dziennikarz. – Napijemy się za zmiany. Ja sam jestem z małego miasteczka. Jak człowiek się urodzi w takim małym miasteczku, to potem przez pół życia myśli, że nic się na świecie nie zmienia. W dupie mam małe miasteczka! Cieszę się, że wszystko się zmieniło, że ludzie się zmienili, że baby się zmieniły. Cześć!

Podniósł w górę kieliszek i wtedy zobaczył w lustrze swoje oczy. Podeszedł machinalnie i ujrzał, że jego głowa ostrzyżona jest w plugawy, ohydny kancik. Nie wypiwszy wódki, wyleciał na peron i odjechał do Warszawy. Minęło wiele miesięcy, a on ciągle myślał: „Zadrwił ze mnie ten dureń – czy nie?”

1955

PIJANY O DWUNASTEJ W POŁUDNIE

Zdarzyło się to w południe i w skwar, który każdy zakątek kamiennego miasta napełniał udręką; liście na drzewach wiotczały i gorący asfalt potężnie pachniał smołą. Ulicą szedł pijany człowiek. Kapelusz trzymał mu się na samym czubku głowy owym cudownym sposobem, w jaki potrafią nosić kapelusz tylko pijacy – trzeźwemu człowiekowi spadłby z głowy już po trzech krokach; pijak zaś przejdzie w nim przez siedem piekieł. Krok jego był równie szeroki, jak i niewymierny; najtęższy geometra okazałby się dzieckiem, gdyby kazano mu wymierzyć tę gmatwaninę rombów, elips, zygzaków. Przechodnie oglądali się za nim, a on szedł; miał przerażającą twarz obłąkanego proroka i rozpychał rękami powietrze z taką gwałtownością, jakby co chwila napotykał przeszkody. Mamrotał przy tym bez sensu.

Lecz niedaleko zawiodły go kroki; w pewnym momencie zachwiał się, zwałił na trawę i tam już pozostał. Kapelusz, oczywiście, trzymał mu się dalej na głowie; leżący miał czerwona, obrzękłą twarz – twarz ta znajdowała się teraz w pełnym słońcu. Z ust ciekła mu strużka śliny; oczy jego wywrócone były białkami ku górze; przy upadku koszula wysunęła mu się ze spodni i w widoku jego obnażonego, spoconego ciała było coś niesłychanie wstrętnego.

Pomału zaczęli schodzić się ludzie; rzecz działa się na Pradze, gdzie – jak wiadomo – jedyną atrakcją są niedźwiedzie i pijacy. Praga wciąż jest jeszcze innym miastem i często człowiek ze śródmieścia przystaje tu zdziwiony. Pełno jest tutaj ludzkich wraków – jak wyraził się pewien młody i zdolny krytyk, któremu widocznie zdaje się, że człowieka może spotkać koniec podobny do końca maszyny.

Dla ludzi, którzy patrzyli na pijanego, nie było w tym widoku nic dziwnego. Stał wśród nich człowiek w granatowym garniturze i jasnej cyklistówce. Mówił:

- Było życie? Było. Żyłem? Żyłem. Przedtem mogłem codziennie być w trumnę pijany i szwagier też mógł być pijany. Była kiedyś taka knajpa na Ratuszowej; kiedy wchodziliśmy tam ze szwagrem, orkiestra grała „Lekką kawalerię”. Litr kosztował wtedy cztery złote; i szwagier był pijany, i ja byłem pijany. Byliśmy codziennie na dymie. Ale to było kiedyś. Nie teraz. Teraz to już nie. Teraz jak jestem ugotowany raz na tydzień, to dobrze. O bardzo do-

brze. A przedtem codziennie. Ze szwagrem. Wystarczy tu, na Pradze, zapytać o Władka Majtlocha. Każdy go zna.

- Co się stało z pańskim szwagrem? – zapytał ktoś ze stojących.

Był to niski, zasuszony człowieczek z łysą, ogorzałą czaszką.

Ten w granatowym garniturze obrócił się ku niemu.

- Cóż to pana obchodzi? – zapytał ostro.

- Może ja znałem pańskiego szwagra – powiedział niski, zasuszony człowiek. – Ja dwadzieścia lat na Pradze mieszkam. Znam tu całą kupę ludzi.

- Heńka Jabłonowszcza pan znał? – zapytał człowiek w granatowym garniturze.

- Tego z Białostockiej?

- Nie. Tego, co na Ząbkowskiej miał warsztat.

- Nie – powiedział człowiek z ogorzałą czaszką. – Tego nie znałem.

- To po cholere się pan miesza? – powiedział ten w granatowym garniturze. – Strasznie nie lubię takich cwaniaków, którzy wszystko chcą wiedzieć o życiu. U mnie jest taka zasada: mordę trzymać krótko.

Pijany człowiek leżał w słońcu; ludzi wokół niego przybywało. Stała wśród nich dziewczyna, miała zadarty nos i jasne włosy; mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Dziewczyna mówiła:

- Jak on mógł tak się upić? Czy nie wstyd mu? Robi z siebie bydlaka, marnuje zdrowie za własne pieniądze. Wcale mi go nie żal. Chciałabym, żeby zabrała go milicja i żeby potrzyimali go przez noc. Czy on nie może żyć inaczej? Może. Może pracować, mieć dom i rodzinę. A może on ma rodzinę? I tamci na niego teraz czekają? On może jeszcze się uczyć; teraz nawet starzy ludzie mogą się jeszcze uczyć.

- Skąd pani wie – powiedział ktoś stojący z tyłu – że jemu chce się uczyć? Może jest sam? Może go nikt nie kochał i nie kocha? Może mieszka sam i nie chce mu się wracać do pustego domu? Może jest zupełnie samotny?

Dziewczyna odwróciła się, popatrzyła chwile na mówiącego i wybuchnęła śmiechem.

- Jaki pan strasznie dziecinny – rzekła. – Nikt go nie kochał, samotny... Powinien sobie znaleźć cel w życiu. Cel, rozumie pan? A samotność? Tego nie ma. Teraz nikt nie jest samotny ani nieszczęśliwy. Tego nie ma.

- W porządku – powiedział ten, który zwrócił się do dziewczyny uprzednio. – Dziękuję pani.

Do dziewczyny zbliżył się jakiś chłopak; był ubrany w przedziwną koszulę, a głowę ostrzyżoną miał krótko – włosy sterczały mu śmiesznie.

- Pójdzie pani do kina? – zapytał chłopak. – Mam dwa bilety.
- Na co?
- Nie wiem – powiedział chłopak. – Prawdopodobnie, że o miłości.
- Czy to będzie bardzo głupie? – zapytała dziewczyna.
- Nie wiem – odpowiedział chłopak i wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że w miarę.

Chodźmy: zaraz się zaczyna.

Wziął ją za rękę i odeszli.

Człowiek w granatowym garniturze i jasnej cyklistówce przymknął oczy, mówił:

- Na szóstym komisariacie był jeden znajomy sierżant. Bywało, zabrali nas: mnie i szwagra. Znów dwadzieścia cztery godziny. To ten sierżant mówił do szwagra: „Panie Heńku, ja pana wsadzę. Panie Heńku, pan będziesz u mnie siedzieć. Panie Heńku, niech mnie nagła, zła krew zaleje, ja pana upieprzę”. Ale nie siedzieliśmy nigdy dłużej jak dwadzieścia cztery godziny. Żyliśmy z nimi na blat, ja i mój szwagier.

- Pański szwagier to pewnie porządna świnia – powiedział ktoś z tyłu.

Był to jakiś niski człowiek w wyszmelcowanych spodniach, które nawet w piekle zdradziłyby montera; był ubrany w sportową koszulkę, a na lewym ramieniu miał wytatuowanego węża. Był niski i krępy jak niedźwiedź; patrząc na jego szerokie plecy i grube ramiona czuło się w nim dużą siłę – budził zaufanie. Pochylił się nad leżącym i brutalnie nim potrząsnął. Pijany otworzył jedno oko i natychmiast je zamknął. Człowiek w spodniach montera wyprostował się.

- Sukinsyn – powiedział. – Uchłał się w samo południe. Co teraz zrobić z takim bydlakiem?

- Wstydziliby się pan – powiedział ktoś z boku; był to człowiek o twarzy nauczyciela. – Wstydziliby się pan tak mówić. Tu stoją kobiety i dzieci: jak pan tak może? Na pewno w każdą niedzielę wygląda pan tak samo.

- Ja znam tego pijaka – powiedział inny mężczyzna. – Kiedyś na Brzeskiej był bar. Nazywał się „Schron u Marynarza”. Właściciel ważył przeszło dwieście kilo; przyjeżdżali z daleka, aby go oglądać. U niego nigdy nie było awantury; goście bawili się grzecznie jak dzieci w przedszkolu. Ja tam przychodziłem czasami; ten marynarz to tak potrafił opowiadać, że miałeś pan wszystko wyrysowane przed oczami. Ten dzidzius, który leży tu na ziemi, też tam przychodził. Stawał przy bufecie i mówił: „Panie gospodarzu, ja stąd wyjadę. Wyjadę stąd i wszyscy zapomną, że żyłem w tym mieście. Ale pan będzie mnie pamiętać, co? To nieważne, że ja jestem pijaczek. Codziennie piłem u pana. Piłem nawet w niedzielę. Cały tydzień czekałem, że pójde gdzieś w niedzielę, lecz w niedzielę nie chciało mi się nigdzie iść. Ci, do któ-

rych chciałbym pójść, nie mają niedzieli. I przychodzę do pana. Czy pan będzie mnie pamiętać w życiu?”

- Czy on był wariatem? – zapytał mężczyzna z wytatuowanym węzem. – Dlaczego on tak dziwnie mówił?

- Każdy człowiek mówi dziwnie – powiedział ten, który spotykał się z leżącym w „Schronie u Marynarza”. – Każdego człowieka trudno zrozumieć. Ale on nie był wariatem. To był kiedyś bardzo fajny i porządny chłop.

- Wiele ludzi się rozpiło – powiedział jakiś pan o szczupłej twarzy, w okularach. – Gdyby ludziom dać to wszystko, co im potrzeba do dobrego życia, to by nie pili. Za mało zarabiają.

- Panie! – powiedział właściciel węza. – Panie, komu pan to mówisz? Mnie? Jak ja zarabiam tysiąc złotych, a mam kobitę i dwoje dzieci? Mnie pan to mówi? – Odsapnął chwilę i rzekł: – Niech pan mi pomoże. Odprowadzimy tego faceta.

- O, nie! – powiedział pan w okularach i wznosił palec do góry. – Przepraszam, ale to zbyt wstrętne. Nie będę odprowadzać pijanego bydlaka. Zresztą nie jestem z Warszawy; nie przyjechałem tutaj, żeby odprowadzać pijanych bydlaków.

- To lepiej – powiedział człowiek z węzem. – Pan tu przyjechał, żeby zobaczyć miasto i naszą Częstochowę. Niech pan stąd odejdzie. Teraz lato: powinien się pan poprawić i opalić. W szpitalu nie będzie pan miał słońca. Jakież on jest bydlak dla ciebie?

Pan w okularach oddalił się mazurowym krokiem. Mężczyzna w granatowym garniturze i jasnej cyklistówce powiedział:

- On zaraz będzie rzygać. Szwagier...

- O, do cholery! – powiedział ktoś z tyłu. – Panie Majtloch, poznajesz mnie pan? Ja znam pana i pańskiego szwagra. Siedzieliśmy kiedyś na Gęsiówce, tak?

- Zgadza się – powiedział ten w granatowym garniturze. – Bo co?

- Bo to – powiedział człowiek z tyłu – że odejść pan stąd do diabła. Siedzieliście ze szwagrem za kanty. Oszukiwaliście ludzi.

- A pan? Za niewinność pan siedziałeś?

- Siedziałem za to samo, co i wy. Ale teraz pracuję; mam dobrą robotę i spokój. Żałuję, że wam kiedyś uwierzyłem. Odejść pan stąd, bo jak pana puszczę zębami w trotuar, to panu łeb pęknie.

- W porządku – powiedział mężczyzna w granatowym garniturze – spotkamy się jeszcze. Ale wtedy zaszczekasz na księżyc.

Wzruszył ramionami i oddalił się. Pijany leżał dalej bez ruchu i wszyscy patrzyli na jego czerwoną twarz. Pochylił się nad nim mały chłopiec i kijkiem dotknął jego nosa. Kobieta, stojąca w kręgu ludzi, szarpnęła chłopca za rękę i krzyknęła:

- Odejdź, on cię uderzy!

- On już nikogo nie uderzy – powiedział inny, stojący z tyłu człowiek.

Mógł mieć lat około czterdziestu, wyglądał zdrowo, nosił cwaniacki wąsik i kolorową wełnianą czapkę, tak niegdyś popularną na przedmieściach Warszawy; obecnie noszą już takie czapki tylko ostatni gołębiarze na Marymoncie i Palcowiźnie. Człowiek z wąsikiem ubrany był w bryczesy i skózaną kurtkę, której rękawy podwinął. Wypluł niedopałek i powtórzył:

- On już nikogo nie uderzy. Tacy jak on nie biją. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że już kiedyś spotkałem tego faceta; było to dawno i jakoś cholernie dziwnie.

- Wszystko, co było dawniej, wydaje się dziwne – powiedział jakiś człowiek w mundurze kolejarza. – Czasem wydaje się, że tego w ogóle nie było. Czasem wydaje się to wszystko straszne, czasem śmieszne, czasem głupie. Ale nie takie, jakie było naprawdę.

- Powinieneś pan zasunąć na księdza – powiedział ten w skórzanej kurtce. – Po jakiego diabła został pan kolejarzem?

- Jestem impotentem od urodzenia – powiedział człowiek w mundurze kolejarza – i dlatego nie mogłem zrobić tego, o czym pan mówiłeś: ci faceci są ostrzy w tych sprawach. Jestem dobrym katolikiem, ale w tym miejscu Pan Bóg nie zbudował mnie tak, jak potrzeba: widocznie zajęty był zbawianiem świata lub jakimś innym świństwem. Poza tym chciałem przejechać kawałek świata.

- Rozumiem to – powiedział człowiek w skórzanej kurtce. – Jestem szoferem i sam lubię drogę. Kiedy spotkałem tego pijaka, leciałem akurat wozem. Była to już noc i późna godzina. Lubię szybką jazdę i wtedy też przyduszałem gaz: pamiętam jak dziś, że miałem na liczniku z pięćdziesiąt mil – wtedy jeszcze latało się na wozach z demobilu. Ten pijak wyskoczył mi nagle z ciemności i szczupakiem zasunął pod wóz. Wdepnąłem tak hamulec, że myślałem, iż mi noga na zawsze wlezie w tyłek. Wóz zarzucił, wyskoczyłem z kabiny i do niego. „No i co – mówię – co mam z tobą zrobić?” Patrzył na mnie przez chwilę, miał zakrwawioną gębę, potem rzekł: „Co chcesz”. „gdybym zrobił z tobą to, co teraz chcę – mówię do niego – to bym posiedział za człowieka, a zabiłbym gnidę. Jesteś zalany?” „Nie” – mówi. Popatrzyłem na niego i widzę: trzeźwy, tylko cały się trzęsie. Żal mi się go zrobiło: zawsze człowiek. „Dlaczego pan to chciał zrobić? – mówię. – Gdzie pan mieszka? Podrzucę pana”. Staliśmy w ciemnościach, naprzeciwko nas był jakiś plac ogrodzony deskami; pamiętam, że latem chło-

paki grają tam w piłkę. On milczy. Pytam jeszcze raz: „Dokąd pan chcesz iść?” Zaśmiał się jakoś idiotycznie, złapał mnie za rękę i mówił: „Człowiek, który odszedł od swoich, nie ma dokąd pójść. Wszędzie, gdzie pójdzie, zostanie pusty plac”. I pokazał ręką na te parkany. Po-tem odszedł; trzymał się za głowę, ale już nic nie mówił. Nie widziałem go od tego czasu.

Człowiek w skórzanej kurtce skończył mówić; wyciągnął papierosa i począł się klepać po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Nie znalazł; zwrócił się do człowieka z wężem i powie-dział:

- Ma pan zapalki?

- Zapalniczkę – powiedział człowiek z wężem; wyciągnął olbrzymią, mosiężną zapal- niczkę własnej roboty i przypalił.

Człowiek w skórzanej kurtce zsalutował i odszedł.

- Inteligentny mężczyzna – powiedziała jakaś paniusia. – Wcale nie ma wyglądu szofera.

- Niech pani poleci za nim – powiedział człowiek z wężem. – On się pani odda bezintere- sownie, jeśli nie będzie się bał spać z nieboszczką.

- Ta pani – powiedział jakiś chłopak – wierzy w życie pozagrobowe. Pożycz pani dwa- dzieścia złotych: po śmierci pani oddam.

Kobieta odeszła. Idąc kołysała szerokimi biodrami, nogi miała proste i grube jak słupy.

- Jezu – powiedział chłopak – ale ona ma smutne nogi.

- Kiedy byłem szczeniakiem – powiedział jakiś staruszek i popatrzył na zebranych spło- wiałymi oczyma – wmawiano we mnie, że wszystkie Polki są piękne. Ale i to złudzenie szlag trafił.

- Co zostało? – zapytał chłopak.

- Prysznic – powiedział staruszek. – Codziennie rano biorę prysznic.

- To wszystko?

- Jasne. Nie mogę dwa razy dziennie brać prysznicu. Mieszkam jako sublokator, a moja gospodyni to taka zołza, że nawet w piekle daliby jej osobny pokój.

Staruszek chrząknął i odszedł wspierając się na lasce.

Człowiek, który spotykał się z pijanym w „Schronie u Marynarza” na Brzeskiej, powie- dział do człowieka z wężem:

- Ten pijany to był kiedyś fajny chłop. Przed wojną pracował na tramwajach, robił tam strajk. Przechowywał ludzi podczas okupacji: miał u siebie całą żydowską melinę i śmiał się z Niemców. I mówił do nas: „Przyjdzie zwycięstwo, to zobaczycie, jak będziemy żyć. Będzie- my mieli wszystkiego do cholery i nigdy nam już niczego nie zabraknie. Nie będzie już żad-

nej biedy. Odkujemy się za wszystką nędzę, cośmy wycierpieli w życiu. Będziemy opalać brzuchy: musimy tylko czekać”.

- Ja wiem, co było dalej – powiedział niski mężczyzna z wytatuowanym węzem. – Potem przyszło zwycięstwo. I trzeba było drzeć się o wszystko, pracować tak, jak nigdy jeszcze w życiu, zaciskać zęby i przewiązywać je paskiem. Inni jakoś wyrastali, szli do góry, on został w tyle. Może był za mało zdolny, może za mało rozumiał? Wtedy nie wytrzymał: zaczął co innego mówić w nocy do żony, a co innego na egzekutywach. Potem zaczął się bać.

- Tak – powiedział znajomy pijanego – potem zaczął się bać. Bał się, że w końcu inni zrozumieją, jaki z niego partyjniak naprawdę. I żył już tylko samym strachem. Nie rozumiał partii.

- Partyjny – powiedział mężczyzna z węzem – który swoje wątpliwości przeżywa poza partią, dość szybko zamienia się w kupę tchórzliwego gówna. Miał serce i mało nadziei. Mało pragnął: pragnienie zastąpił mu strach, kiedy patrzył, jak męczą się ludzie. Są tacy faceci, którzy myślą, że wszystko, co dzieje się w tym kraju, dzieje się w ich sumieniu i na konto ich sumienia. Ten też był taki: miał malutkie serce i dlatego tu leży jak stara kurwa w wielki czwartek. Potem wylali go z partii.

- Skąd pan wiesz o tym wszystkim? – zapytał znajomy pijanego.

- Sam podnosiłem legitymację, żeby go wyrzucić – powiedział człowiek z węzem. – Spoktałem go kiedyś wieczorem. Czepiał się mojej ręki i mówił: „Dlaczego szczęście mieszka tak daleko? Kiedy my tam dojdziemy? Będziemy szli, zaciskali zęby, dzień wyda nam się nieraz nocą, ale czy jak kiedyś dojdziemy, będziemy mieli siłę się uśmiechnąć? Nie: będziemy po prostu cholernie zmęczeni. Po wielkim wysiłku nawet sukces wydaje się koszmarnym snem”. „W porządku – mówię do niego wtedy – jutro jest zebranie: wstaniesz i powiesz to wszystko. Po cholere masz to dusić w sobie? Wszyscy są cholernie zmęczeni, ale milczeć nie wolno. Milczenie nie jest złotem. Milczenie jest paskudnym kłamstwem. Milczenie jest najpaskudniejszym ze wszystkich kłamstw”. Spojrzał na mnie jakoś dziwnie: nigdy nie widziałem takiego wzroku. Roześmiał się głupio i powiedział: „Coś ty? Ja tylko żartowałem. Chciałem tylko zobaczyć, czy ty jesteś dobrym partyjniakiem. Bo ty cos ostatnio...” Dałem mu wtedy w pysk. Ocierał krew z warg i milczał.

Człowiek z węzem przestał mówić. Zaśmiał się krótko i nieprzyjemnie.

- Czego się pan śmieje, do cholery? – zapytał znajomy pijaka.

- Bo wiem – powiedział niski mężczyzna z węzem – wiem, że wszystkich takich facetów kiedyś tak zobaczę jak i jego. Gość partyjny, który nie idzie tam, gdzie jego partia, musi zamienić się w takiego jak on. Lecisz pan już?

- Tak – powiedział znajomy pijanego. – Co tu będę stał? I tak mu w niczym nie pomożemy.

Szli ulicą. Zakurzone drzewa wyglądały żałośnie i brzydko. Na rogu chudy mężczyzna w brudnym kitlu sprzedawał lody – tłoczyła się przy nim gromadka dzieci; rozpuszczone lody spływały im po palcach. Piszczwały trzymając w wyciągniętych rękach drobne pieniądze.

- Czy pan go na pewno znał? – zapytał znajomy pijanego ze „Schronu u Marynarza”. – Mnie się zdaje, że pan buja. To niemożliwe, żebyśmy go wszyscy znali.

Człowiek z wężem przystanął. Patrzył na tamtego. Tamten powiedział:

- Dopiero teraz widzę, że pan ma strasznie porozbijaną twarz. Czy pana bili kiedyś?

- Bili.

- Dawno?

- Mnie się zdaje, że to było wczoraj – powiedział człowiek z wężem. – Ja to jeszcze czuję, jak całkiem świeże. Ale naprawdę to było dwadzieścia lat temu. I też był trzydziesty kwiecień. I też było tak strasznie gorąco, nie można było oddychać.

Milczeli patrząc na siebie. Przejeżdżały tramwaje i ciężarówki, szybko przechodzili ludzie. Znajomy pijanego zapytał z rozdrażnieniem:

- Więc znał go pan czy nie?

Człowiek z wężem podniósł głowę i spojrzał na niebo. Było puste, jasne, ślepe; przypominało oczy umarłego.

- Znałem wielu ludzi – rzekł.

Ruszyli dalej. Znajomy pijanego z baru „Schron u Marynarza” na Brzeskiej gwizdał, niski mężczyzna szedł w milczeniu i poruszał nerwowo olbrzymimi szczękami. W pewnym momencie przystanął.

- Zapomniałem, cholera – rzekł patrząc spokojnie na tamtego. – Muszę się wrócić: kobita mi kazała, żebym zaszedł do teściowej. To w tamtej stronie.

- W porządku – rzekł tamten. – Zaczekałbym na pana, ale też nie mam czasu. Cześć – przytknął palcem w cyklistówkę i odszedł.

Kiedy zniknął już za rogiem, niski mężczyzna zawrócił w stronę pijanego. Pochylił się nad nim i z wysiłkiem wciągnął go na siebie: pijany leciał mu przez ręce jak bezwładny wór. Niski mężczyzna prowadził go i mówił z żalem:

- Dlaczego się uchlałeś? Dlaczego się uchlałeś w samo południe?

ODLATUJEMY W NIEBO

Wesołym dniem jest sobota. W sobotę ludzie całego kraju wcześniej kończą pracę; w sobotę fabryki wszystkich przedmieść wyją o dwie godziny wcześniej; tokarze, frezerzy, monterzy i elektrotechnicy obcierają zatłuszczone ręce w pakuły, wypowiadając jednocześnie sakramentalne słowo „fajerant”. Biura, hale fabryczne, rusztowania, stocznie i porty pustoszeją: ludzie, ziewając ze zmęczenia, wracają do domów zatłoczonymi tramwajami, leniwie wymyślają sobie w autobusach, do których żywią wieczną urazę, drzemią w podmiejskich pociągach, ciesząc się perspektywą niedzielnej trawki. W sobotę, co chyba każdy zauważył, ludzie stają się lepsi i miłsi. Żadnego innego dnia w tygodniu nie zobaczymy tylu uśmiechów, ile widzi się sobotniego popołudnia; łysiejący księgowi uśmiechają się na myśl o tym, że będą mogli przez całą niedzielę chodzić w kałesonach po mieszkaniu; amatorzy sportu oblizują wargi na myśl o emocjach, których zaznają na boiskach; powiatowi aktywiści partyjni łudzą się nadzieją dwóch godzin snu dłużej; dziewczeczki przymykają oczy, myśląc o rozkoszach, których zażyją podczas niedzielnych przechadzek po lesie; sportowcy, oficerowie bezpieczeństwa, zrutyniali urzędnicy rad narodowych, profesorowie uniwersytetów, starcy, dzieci, majstrowie fabryk, lotnicy i dentyści – wszyscy najczęściej uśmiechają się w sobotę, w dniu, w którym najwięcej ma się planów, ambicji i nadziei.

Kraj żyje niedzielą. I tylko bazy transportowe nie są ogarnięte powszechnym zadowoleniem w ostatnim dniu tygodnia. Tam – wręcz przeciwnie – w sobotę pracuje się nieraz o wiele dłużej. W ostatnim dniu tygodnia w bazach transportowych kierowcy, ogarnięci szalem czystości, ustawiają się w długie kolejki przed hydrantami i myją swoje samochody; potem spryskują je ropą naftową i wycierają miękkimi szmatami, starając się, aby odrapane transportówki, wożące przez cały tydzień cegłę, wapno lub cement, błyszcząły jak lustro. W sobotnie popołudnie szoferzy pochylają się nad silnikami i usiłują doszukać się w nich urojonych i rzeczywistych defektów; czyszczą platynki przerywaczy, żarzą w ogniu świece, likwidują osad w kubkach filtrowych, przesuwają zapłon na wcześniejszy, wymieniają membrany w pompach benzynowych, lutują przewody paliwne, regulują luz zaworowy. Klóćą się przy tym zawzięcie z warsztatowcami – ludźmi, którzy nie potrafili sami zostać kierowcami i dlatego

usiłują naprawiać samochody. Sobotniego popołudnie, podczas dokonywania tych czynności, kierowcy dochodzą do szczytów geniuszu w kwestionowaniu legalnego przyjscia na świat swoich pomocników, kierownika bazy, majstrów warsztatu i dyspozytorów – faktycznych panów ich życia, śmierci i zarobków. Potem, obrzuciwszy wzrokiem pełnym żalu i tęsknoty rzędy wypucowanych, sprawnych do jazdy samochodów, raz jeszcze mówią: „Złamane życie Felka – szofera; trzeba było zostać stolarzem, tak jak ojciec radził...” – i jeśli to nie dzień wypłaty, rozchodzą się do domów. Ale i tu jeszcze usiłują wytłumaczyć swym żonom, na czym polega różnica między suchym sprzęgłem a terenową skrzynką biegów – mało jest zawodów na świecie, które tak silnie wciągałyby człowieka i tak nierozzerwalnie łączyły się z jego dniem i nocą, jak właśnie zawód kierowcy; a żadnego chyba nie kocha się i nienawidzi tak jak tego. Tak mniej więcej przebiega sobotnie popołudnie w każdej bazie transportowej. Nicco inaczej jest tylko w dni wypłat.

W dzień wypłaty – pewnej czerwcowej soboty dnia pogodnego i ciepłego – kierowca Tadeusz Jabłoński wrócił do swojej bazy około godziny drugiej i wolno jechał długim podwórkami, trzymając wbrew przepisom nogę na sprzęgle. Rozglądał się bacznie wzdłuż rzędu stojących samochodów, a w pewnym momencie zwrócił się do swego pomocnika:

- Gdzie go postawić?

- Tam – rzekł pomocnik, ryży chłopak o dobrodusznej twarzy. Wskazał ręką: – Za tym studrem. Jest miejsce.

- Tam zawsze stoi Boratyńszczak – rzekł Tadeusz. – Zastawię mu miejsce i będzie darł mordę, jak to on. Nie lubię się kłócić. Wszyscy tak wcześniej dziś pojeźdzali...

- Wypłat – rzekł krótko pomocnik.

- Racja – rzekł Tadeusz.

Przejechał jeszcze kilkanaście metrów, potem włączył lewarek na luz i zatrzymał samochód. Wyskoczył z kabiny; był wysokim, szczupłym chłopakiem; włosy miał jasne, krótko ostrzyżone, twarz banalną, bez specjalnego wyrazu, lecz dobrą i miłą.

- Postaw go koło ursusów – rzekł do pomocnika.

Trzymał nogę na stopniu, rękę wciąż opierał na kierownicy; silnik pracował na wolnych obrotach i koło sterowe drżało jak zmarznięty pies. Powiedział:

- Przesmaruj tylko przeguby i płyn do chaty. Jakby towot nie chciał przechodzić, to wykręć kalamitki i przepchaj je drutem. Nie ambaluj silnika. Trzymaj się.

Zdjął nogę ze stopnia i chciał odejść.

- Panie Tadziu – rzekł pomocnik. – No, jak tam?

- Z czym?

- Robimy coś?

- Nie mam czasu – rzekł Tadeusz. – Umówiłem się z kobitą, nie mogę przyjść na flicie.

Innym razem.

- Jak pan chce – rzekł pomocnik. Na twarzy jego odbiło się rozczarowanie. Pokręcił głową i powtórzył: Jak pan chce...

Włączył bieg ze zgrzytem i niewprawnie spuszczaając pedał sprzęgła, odjechał. Tadeusz stał chwile nieruchomo i patrzył za swym samochodem. Była to duża, wojskowa, amerykańska ciężarówka marki GMC „Banjo”. Warszawscy kierowcy nazywają te samochody „Dzems”. Są one duże i piękne, wygląd mają bojowy – odkryta kabina, daleko wysunięty, potężny zderzak zrobiony z grubej szyny, dziesięć kół, trzy dyferencjały; głos ich silników jest donośny i głęboki – taki głos mają potężne dzwony. Teraz mało tych samochodów znajduje się w eksploatacji, lecz w latach czterdzieści pięć – pięćdziesiąt Dzems był marzeniem każdego młodego kierowcy.

Tadeusz wsadził ręce do kieszeni i przeszedł do dyspozytorni. Oddając kontrolkę dyżurnemu dyspozytorowi, zapytał:

- Jest forsa?

- Owszem – powiedział dyspozytor; siwy, tęgi mężczyzna o rozlanej twarzy; dyspozytorami są prawie zawsze starzy kierowcy, którzy stracili zdrowie na wozach, a nie mogąc rozstać się z zawodem, wypełniają kontrolki innych i opowiadają długie historie o defektach samochodów, na których jeździli.

- Ile tam jest? – zapytał Tadeusz.

- Starczy – powiedział dyspozytor wodząc grubym palcem po liście płacy.

Zmrużył domyślnie oko i powiedział:

- Czuję, że popłyniesz pan dzisiaj jak gondola.

- Nic podobnego – rzekł Tadeusz.

Przestępował z nogi na nogę, gdyż śpieszyło mu się bardzo.

- Dzisiaj nie piję nic. Ile tam jest?

- Sześćset dwadzieścia cztery i trzydzieści groszy – powiedział dyspozytor mocując się z ołówkiem, okularami i olbrzymią płachtą papieru. – O, tu. Kwituj pan.

Tadeusz przeliczył pieniądze i pokwitował. Oddał dyspozytorowi listę płacy ze śladami brudnych palców i powiedział:

- Do widzenia, panie Konopka. Do poniedziałku. O której wyjazd?

- Szósta. Już pan lecisz? Co pan taki nerwowy? – dyspozytor podniósł okulary na czoło. – Teraz te młodziaki takie nerwowe. Dawniej człowiek był stalowych nerw. Panie, nerwy to grunt. Pamiętam, w dwudziestym ósmym roku, lecę z Piotrkowa do Częstochowy...

- Panie Konopka – rzekł z wściekłością Tadeusz. – Ja mam cholernie ważną sprawę do załatwienia i ja pana...

W tym momencie ze wszystkich głośników rozwieszonych na placu rozległ się głos: „Uwaga, uwaga! Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści w sali świetlicy związkowej prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi pogadankę pod tytułem „Jak i kiedy polecimy na księżyc”. Wykład ilustrowany będzie przezroczami. Po prelekcji dyskusja. Powtarzam. Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści...”

- Żeby można było papudze zamknąć ten pysk – powiedział ze złością dyspozytor. – Krzyczy, jakby się Żyd miał urodzić. Człowiek wyplaca, a ten o gwiazdach. Jak się pomylę, to kto za mnie będzie płacił? Tak czy nie, panie Tadiusz?

- Znaczy się – powiedział ktoś z tyłu zamyślonym głosem – jest możliwość...

- Czego?

- Lecieć na gwiazdy.

- Tere, fere, kuku – leniwie i bez przekonania powiedział Tadeusz.

Odwrócił się powoli do mówiącego i nagle jego oczy stały się czujne i złe.

- Czego ty chcesz, Zawadzki? – zapytał.

Wyjął ręce z kieszeni i poczerwieniał.

- Chodź – rzekł Zawadzki.

Był to człowiek niski i krępy, twarz miał suchą i nerwową, oczy małe i bardzo jasne.

- Czekałem na ciebie – powiedział patrząc na Tadeusza. – Zjechałem już dwie godziny temu i czekam na ciebie.

- Czego chcesz? – ochryple powtórzył Tadeusz.

Jego ciemna twarz czerniała z chwili na chwilę; w przełyku czuł chłód dławiący, jak zwykle, kiedy przychodzi do zwady.

- Nie tutaj. Wyjdziemy, porozmawiamy. Szanowanie, panie Konopka.

- Szanowanie, panie Konopka – machinalnie powtórzył Tadeusz.

Myślał o jednym: aby zachować zimny spokój, za wszelką cenę zimny spokój.

Wyszli za bramę i kroczyli obok siebie w milczeniu: Tadeusz – jak napięta struna, Zawadzki – spokojny i chłodny; tylko baczny obserwator mógłby dostrzec, że na jego suchej twarzy nieco silniej zarysowały się błękitne żyłki.

- Pójdziemy na łączkę – rzekł Zawadzki po pewnym czasie.

Tadeusz drgnął wyrwany z zamyślenia.

- Na łączkę – powtórzył Zawadzki. – Najlepiej tam będzie pogadać. Szwagier zresztą czeka.

Tadeusz zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Dwóch na jednego, co?

- Nie bądź głupi, Tadek – powiedział Zawadzki i spojrzał na niego z pogardą. Pokręcił głową. – To nie o to chodzi.

- A o co chodzi? – krzyknął Tadeusz. Znow wyjął ręce z kieszeni.

- Powiem ci – rzekł Zawadzki. – Chodź.

- Tylko niedługo.

- Ja z tobą romansować nie chcę.

Skręcili z ulicy i szli przez łączkę. Nie była to właściwie łączka, a pusty plac, rozciągający się tuż za terenem bazy. Pełno tu był potłuczonych butelek, puszek od konserw, pudełek po papierosach i wszelkich innych śmieci. Pod płotem, na kunsztownie ustawionych ceglach i kamieniach, siedzieli ludzie. Pito tego – to właśnie sobota. Nie niedziela jest prawdziwie świętem w życiu robotnika. Wrzeszczano i całowano się, wymyślano sobie i przekonywano się, ktoś śpiewał ochryłym barytonem: „Nie zapomnę twoich oczu gorących...” Przy każdym prawie zakładzie znajduje się taki ohydny plac zwany „łączką”.

- Tadek! – krzyknął ktoś spod płotu. – Dołóż dychę i zrobimy coś. Panie Zawadzki, pozwól pan na moment...

- Cholera – rzekł Zawadzki. – Kiedy skończy...

Tadeusz nie dosłyszał jego słów. „Uwaga, uwaga! – zaryczały głośniki. – Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści w Sali świetlicy związkowej prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi odczyt pod tytułem „Jak i kiedy polecimy na księżyc”. Prelekcja ilustrowana będzie przezrociami. Po prelekcji dyskusja. Powtarzam. Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści...”

- Czego chcesz? – zapytał Tadeusz, kiedy umilkły już głośniki.

- Powiem przecież. Usiądźmy tam.

Na trawie przy samym końcu płotu, leżał jakiś mężczyzna. Podeszli do niego i usiedli na ceglach. Wtedy mężczyzna zerwał się; chwilę patrzył nieprzytomnie, przecierając oczy rękami, potem zapytał:

- Robimy flakon?

- Poczekaj, Rysiek – rzekł Zawadzki i mężczyzna położył się posłusznie; był mały i pękaty. Zawadzki patrzył na Tadeusza.

- Wiem wszystko – powiedział po chwili.

Tadeusz milczał. Serce biło mu ciężko i boleśnie. Obliznął wargi i zapytał z trudem:

- Kiedy ci powiedziała?

- Dzisiaj.

- Sama?

- Nie biłem jej przecież. Róbcie, jak chcecie.

- Tak zrobimy – powiedział Tadeusz.

Odzyskiwał już pewność siebie. Oparł się o płot i swobodnie wyciągnął długie nogi.

- Nie masz żalu, Zawadzki?

- Nie – powiedział cicho tamten.

Zerwał źdźbło trawy i począł je przeżuwać. Trawa była gorąca, pachniała słońcem i wydeptaną ziemią.

- Tadek – rzekł patrząc przed siebie pustymi oczyma. – Czy wy wiecie, co chcecie zrobić?

- Wiem, że ją kocham. I to jest wszystko, co mnie obchodzi. Ja wiem, że ty jesteś dobry człowiek, i mnie jest cholernie przykro, że to twoja żona. Nie mogę ci patrzeć w oczy. Ale zrozum: życie to jest życie. Nie ma dla mnie bez niej życia. Wolę się rąbnąć. Ale jak masz do mnie żal, to mów od razu, co tu długo rozmawiać.

- Tadek – powiedział Zawadzki patrząc w ziemię. – Mnie jest w życiu wszystko jedno. Ja już swoje przeszedłem i wrogowi tego nie życzę. Ale posłuchaj: weźmiesz mi kobietę z dzieckiem i co dalej?

- Będę z nią. Musi się ułożyć.

- Nie – powiedział Zawadzki.

Zrywał trawę i rzucał ją; szwagier jego znów popadł w drzemkę.

- Nie – powtórzył. – Życie się cholernie rzadko układa ludziom. Nic z tego nie wyjdzie. Ty masz mieszkanie, Tadek?

- Mieszkanie nie najważniejsze. Będziemy mieszkać w hotelu.

- Tak – powiedział Zawadzki – w hotelu. W hotelu, gdzie na jednej Sali mieszka po pięć osób. W hotelu, gdzie po nocy wracają pijani z dziwkami; w hotelu, gdzie nie ma dnia bez awantury; w hotelu, gdzie nie będziecie się mogli pocałować bez dziesięciu świadków; w hotelu, gdzie będziecie tęsknić do siebie jak psy; w hotelu, gdzie będziecie się nocami spoty-

kać na korytarzu; w hotelu, gdzie inni będą bez przerwy zaczepiać twoją kobietę... Będziecie mieszkać w hotelu, Tadek?

- Kochamy się. Dużo można wytrzymać. Czego mnie straszysz? Ja się życia nie boję – powiedział Tadeusz.

Umilkł; spod całego płotu drażniąco dolatywały wrzaski. Na bliskiej bocznicy kolejowej zgrzytały przetaczane pociągi i piszczały trąbki manewrujących kolejarzy. Zawadzki patrzył w ziemię i twarzy jego Tadeusz nie widział. Szwagier ocknął się i zapytał:

- Robimy flakon?

Zawadzki przysunął się do Tadeusza; twarz miał spoconą.

- Ty mi nie mów, ile można wytrzymać – powiedział cicho. – Ja wytrzymałem więcej, niż myślisz. Byłem w obozie i widziałem takie rzeczy, o których dzieci będą się uczyć za sto lat. Ja cię nie biorę pod litość i nie mówię ci, że ta kobieta i dziecko to dla mnie wszystko. Ja mam w dupie twoją litość. Ale ty tego nie wytrzymasz, Tadek. Jesteś młody chłopak, potrzebujesz żyć i zabawiać się. A to już klops. Czas jest ciężki. Dostaniesz od niej dziesięć sportów na dzień i dychę na wypłatę, żebyś mógł odpić flaszkę z kolegami na mahoniowym powietrzu. I nie będziesz mógł postawić kolegom kielicha, bo będziesz wiedział, że w domu czeka żona, że masz obce dziecko, na które musisz trochę dawać, że ona nie może pracować, bo jest uwiązana, i będzie ci cholernie, cholernie przykro. A pewnego dnia powiesz sobie: „Do cholery z tym wszystkim”. I pójdziesz w cug z kolegami, bo się zbuntujesz i powiesz: „Gdzie młodość! Gdzie życie?” To twoje święte prawo i nikt do ciebie pretensji mieć nie może. A ona ci będzie robić wymówki, płakać i błagać, aż w końcu przyjdzie dzień, że popatrzysz na nią z nienawiścią; zobaczysz, że zbrzydła, postarzała się; i wtedy po raz pierwszy, niewinnie uderzysz moją żonę.

Umilkł; oglądał w zamyśleniu swoje ręce pokancerowane i poprzężerane smarami. Wciąż zgrzytały pociągi.

Pod płotem zawodziło już wielu solistów; wśród nich siłą głosu wyróżniał się jeden śpiewający tango „Czy pamiętasz, moja ukochana?” Warczały ostatnie zjeżdżające do bazy samochody. Słońce zbiegło już poza domy miasta, dachy były złote i czerwone, cienie – fioletowe i długie. Rozsypane po placu stłuczone butelki i puszki od konserw lśniły jak diamenty. Nagrzana ziemia pachniała anemiczną wilgocią. Wiatr był lekki i suchy; pachniał wapnem, smołą i mokrym piachem – budowano tu niedaleko wielkie osiedle. Na ciemniejszym niebie stygły w słońcu czerwone chmury. Szwagier Zawadzkiego podniósł się i zapytał:

- Robimy flakon?

Nie zdążyli mu odpowiedzieć. W ciszy spokojnego przedwieczoru rozległ się potężny głos: „Uwaga, uwaga! – ryczały głośniki. – Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści w Sali świetlicy związkowej prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi odczyt pod tytułem „Jak i kiedy polecimy na księżyc”. Prelekcja ilustrowana będzie przezroczami. Po prelekcji dyskusja. Powtarzam. Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści...”

- Dorzućcie dychę – powiedział szwagier, kiedy zapanował znów cisza – i zrobimy flaskon.

Wziął pieniądze i odszedł.

- Ja tego nie wytrzymam – powiedział z rozpaczą Tadeusz. – Nigdy nie miałem nikogo, ani matki, ani kumpli... Zawsze wierzyłem w miłość. Nie wiem, jak będę żyć bez niej. Jak? Po co? – Spojrzał na Zawadzkiego przekrwionymi oczyma. – Ty teraz powiesz, że jestem młody i znajdę sobie sto innych, tak? Powiesz mi czy nie? Mów! – krzyknął. – Mów! Dlaczego nie mówisz?

- Rany jedyne Boga! – powiedział Zawadzki. Wskazał ręką przed siebie i zatoczył nią koło. – Ile czasu będą jeszcze te łączki, te ludzie pod płotem, te hotele, te składki na flaszkę po pięć złotych, te tablice bumelantów, tłok w tramwajach, te kolejki po masło? Ile jeszcze czasu zakochani nie będą mieli gdzie mieszkać, ile czasu jeszcze ludzie będą rozchodzić się z sobą, bo mieszkanie, pranie, sraty – taty? Gdyby nie to, że wiem, jak było przedtem, pomyślałbym, że znalazłem się w piekle. Nie wierzę w inne piekło, ale jeśli nawet jest coś takiego, to te flaszki, te faceci pod płotem, te kolejki po mięso, dziewczyny w hotelach – to jest gorszym piekłem.

Tadeusz podniósł głowę. Miażdżył trawę obcasem. I teraz dopiero jasno zrozumiał, że jego miłość, jego pragnienia i najświętsze słowa przepadają nie przez zdradę, rozłąkę czy śmierć, lecz przez te wszystkie małe, uprzykrzone i nędzne sprawy, o których mówił tamten człowiek.

- Chryste! – wybełkotał ochryple. – Chryste...

Czerwona mgła przesłoniła mu oczy. Wyprostował się i rozejrzał nieprzytomnie. Potem począł biec przed siebie. Potykał się o pudełka od konserw, przebiegał po zaimprovizowanych naprędce stolikach, rozbijając ludziom butelki, miażdżąc ogórki, śledzie, bułki i kiszoną kapustę; przewracał się, wstawał i biegł dalej. Kiedy usłyszał rozwścieczone wrzaski, zrozumiał, że gonią go ludzie; skręcił gwałtownie; biegł w stronę bocznic kolejowej, tam, gdzie wciąż przetaczano pociągi. Dopadł wreszcie toru i zobaczył, że nadjeżdża akurat pusta lokomotywa. „To wszystko nieprawda! – pomyślał. – To nieprawda!” Ludzie już nadbiegali; zdawało mu się, że czuje na karku ich gorące oddechy. Wyprężył się jak kot i chciał rzucić się

pod koła, lecz wtedy ktoś z nadludzką siłą krzyknął: „Uwaga!” Tadeusz machinalnie zatrzymał się – lokomotywa przejechała, dojrzał jeszcze spoconą twarz maszynisty. „Uwaga! – mówił głośno. – Dziś o godzinie szesnastej trzydzieści w Sali świetlicy związkowej prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wygłosi odczyt pod tytułem „Jak i kiedy polecimy na księżyc”. Prelekcja ilustrowana będzie przezroczami. Po prelekcji...” Nie usłyszał już nic więcej, gdyż w tym momencie dopadli i powalili go ludzie.

1955

PIERWSZY KROK W CHMURACH

Jerzemu Ćwiertni

W sobotę centrum miasta wygląda tak samo jak w każdy inny dzień tygodnia. Jest tylko więcej pijanych; w knajpach i barach, autobusach i bramach – wszędzie unosi się zapach przetrawionego alkoholu. W sobotę miasto traci swoją pracowitą twarz – w sobotę miasto ma pijaną mordę. Natomiast w centrum miasta, w sobotę, nie ma ludzi, którzy lubią obserwować życie: stać w bramach, włóczyć się po ulicach, siedzieć na ławce w parku godzinami, i to tylko po to, aby za lat dwadzieścia móc sobie przypomnieć, że tego a tego dnia widziało się mniej lub bardziej dziwny traf życiowy. Tak jak wysłańcy chadzający jeszcze podczas okupacji w czerwonych czapkach, tak jak handlujący suchym piaskiem, jak podwórzowi śpiewacy o przepitych tenorach – w centrum miasta wymarli obecnie obiektywni obserwatorzy życia.

Obserwatorów można spotkać jedynie na przedmieściu. Życie przedmieścia zawsze było i jest bardziej zagęszczone; na przedmieściu w każdą sobotę, kiedy jest pogoda, ludzie wynoszą krzesła przed domy; odwracają je tyłem i usiadłszy okrakiem, obserwują życie. Upór obserwatorów nosi czasem znamiona genialnego obłądu; czasem siedzą w ten sposób przez całe życie i nie widzą nic prócz twarzy obserwatora z przeciwka. Potem umierają z głębokim żalem do świata, z przekonaniem o jego szarzyźnie i nudzie, gdyż rzadko kiedy przyjdzie im na myśl, że można podnieść się i pójść na sąsiednią ulicę. Obserwatorzy życia na starość stają się niespokojni. Miotają się, patrzą na zegarki; jest to jeden z śmiesznych nawyków starych ludzi – pragną ratować czas. W pewnym okresie chciwość życia i wrażeń staje się u nich silniejsza niż u dwudziestolatków. Dużo gadają, dużo myślą: uczucia ich są dzikie i tępe zarazem. potem gasną szybko i spokojnie. Umierając wmawiają wszystkim, że żyli szeroko. Impotenci chwalać się sukcesami u kobiet, tchórze – bohaterstwem, kretyni – mądrością życia.

Pan Gienek – z zawodu malarz pokojowy – od czterdziestu lat mieszkał na Marymoncie i od tyluż lat obserwował życie swej dzielnicy. Owej soboty pan Gienek także siedział przed swoim domem w ogródku i bezmyślnie patrzył w ulicę. Od czasu do czasu spluwał i oblizywał spieczoną wargi; wygasający dzień był upalny i dręczący. Pan Gienek był rozdrażniony;

nie zdarzyło się nic ciekawego w dniu dzisiejszym, nikt nie złamał ręki, nikt nikogo nie pobił i pana Gienka ssało uczucie pustki i nudy – kopnął psa, który nawinął mu się pod nogi, i ponuro ziewając patrzył na ulicę. Była pusta, przejeżdżające z rzadka samochody podnosiły tu-many rozparzonego piasku. Kiedy stracił już całą nadzieję na ujrzenie kawałka życia, uczuł, że ktoś trąca go w ramię. Podniósł senne oczy i zobaczył sąsiada, Maliszewskiego.

- Chodź pan – powiedział Maliszewski.
- Gdzie?
- Niedaleko.
- Po co?
- Chcesz pan coś zobaczyć? – powiedział Maliszewski.

Był to niski człowiek o dobrodusznej twarzy i chytrych oczach. Ruchy jego – mimo pozornej ociężałości – były szybkie i zwinne jak ruchy młodego kota.

- Co jest? – zapytał pan Gienek; ziewnął, był zmęczony upałem.
- Chłopak – powiedział Maliszewski.
- I co z tego?
- Satyra – powiedział Maliszewski. – On jest z dziewczyną. Już pan rozumiesz?
- Jasne – rzekł pan Gienek.

Podniósł się; w serce jego wstąpiła nadzieja. Zapytał z ożywieniem:

- Ładna?
- I ładna, i młoda – rzekł Maliszewski. – Mówię panu, dobra robota tam odchodzi.

Nagle zniecierpliwiał się:

- Idziesz pan czy nie? – zapytał.
- Nic z tego nie będzie – powiedział pan Gienek. – Zanim tam dojdziemy, to oni skończą.

Mówię panu, że nic z tego nie będzie.

- Oni nie mają po pięćdziesiątce tak jak pan – powiedział Maliszewski. – Mogą się bardzo długo bawić w ten sposób. Ja, jak byłem młody, to też mogłem się w ten sposób bawić godzinami. Naprawdę tak było. Wstąpimy po mojego szwagra i podskoczmy tam, chce pan? On już wrócił z roboty i chętnie pójdzie z nami. O, patrz pan, już idzie!

Rzeczywiście, ulicą szedł młody, tęgi mężczyzna. Rękawy koszuli miał podwinięte, w zębach trzymał trawkę. Oczy jego były senne i drwiące, powieki – ciężkie.

- Heniek! – zawołał Maliszewski. – Pozwól tu na chwilkę!
- Heniek zbliżył się i oparł o płot. Czoło jego było mokre od potu.
- Cześć – powiedział. – Co u pana, panie Gienku?
 - Heniek – powiedział Maliszewski – chodź z nami.

- Gorąco – powiedział Heniek; oblizał wargi i westchnął:
- Nie ma czym oddychać. W taki upał nawet świętemu by nie stanął. Gdzie chcecie skoczyć?

- Byłem na działce – rzekł Maliszewski. – Widziałem chłopaka z dziewczyną.
- Szmata? – zapytał Heniek.

Wypluł trawkę, potem zerwał nową i przygryzł ją mocniej zębami.

- Skąd – powiedział Maliszewski. – Mówię ci: młoda i ładna.
- Możemy podskoczyć – powiedział Heniek. – Ty mnie znasz: ja lubię popatrzeć na życie. Jeśli dziewczyna będzie brzydka – zwrócił się do Maliszewskiego – to ty coś dzisiaj postawisz.

Ruszyli i szybko poszli wśród działkowych ogródków. Ludzie przychodzili tu po pracy, aby doglądać swych kartofli, pomidorów i marchwi. Teraz jednak było pusto: parny, drętwy dzień zmęczył wszystkich – ludzie siedzieli w domu.

- Duszno – powiedział Heniek. – Ja nic nie mogę robić w taki dzień. Głowa mnie boli cały czas.

- Tamtym też chyba gorąco – powiedział Gienek.

- Myślę – rzekł Maliszewski. – My ich ochłodzimy. Tak, Heniek?

- W zeszłym roku – powiedział Heniek – tutaj też przychodził taki jeden gość z dziewczyną. Całe lato tu przychodzili.

- I co?

- Nic. Pewnie nie mieli mieszkania.

- Pobrali się? – zapytał z wysiłkiem Gienek; marzył o szklance zimnego, gorzkawego piwa.

- Nie wiem. Może i tak, że się pobrali. Też była ładna dziewczyna.

- Blondynka? – zapytał znów Gienek; nic a nic go to nie obchodziło. W dalszym ciągu czuł dręczącą pustkę i niesmak.

- Brunetka – rzekł Heniek. – Pamiętam jak dziś. Ten facet był blondyn. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna chodzi z takim łachudrą.

- Nie wiem – mruknął pan Gienek.

Splunął gęstą śliną. Był zły na Heńka: przypomniał mu, że on sam ma brzydka i dość głupią żonę. Powiedział:

- Pewnie jakaś szmata.

- Może?... Teraz cicho – rzekł Maliszewski.

Poszedł przodem, oni ruszyli za nim wolno, starając się nie robić hałasu. Było już szarawo: słońce uciekało, na trawie kładły się błękitnawe cienie. Maliszewski w pewnym momencie odwrócił głowę i zawołał cicho:

- Chodźcie!

Poszli na palcach kilka kroków i zobaczyli chłopaka z dziewczyną. Leżeli obok siebie. Dziewczyna oparła swoją głowę o ramię chłopaka i przytuliła się do niego całym ciałem. Leżeli zmęczeni miłością i upałem, byli młodzi i ładni oboje – jedno ciemne, drugie jasne. sukienka dziewczyny była uniesiona; miała długie, mocno brązowe nogi.

- Ładna – rzekł Heniek. – Bardzo ładna.

- Mówiłem – powiedział szeptem Maliszewski.

Stali w milczeniu: pan Gienek znów oblizwał wargi i pomyślał o swojej żonie z dreszczem nagłego wstrętu. Maliszewski uśmiechnął się głupkowato. Heniek jeszcze bardziej opuścił ciężkie powieki i przestępował z nogi na nogę. Nagle zapytał z rozdrażnieniem:

- Robimy coś?

- Ty – powiedział Maliszewski. – Zrób im coś takiego, żeby się nie pozbiali ze śmiechu do końca życia. Ty to możesz zrobić, Heniek.

- Heniuś – powiedział pan Gienek – najlepiej ich nastraszyć.

Prztyknął palcami i powtórzył:

- Ona jest strasznie ładna. Już dawno nie widziałem takiej lalki. Jeszcze dziecko. Nie powinni tego robić.

Nagle zniecierpliwiał się i rzekł do Heńka:

- Zrób im pan coś, bo jak nie, to ja im bombę zasunę.

- Czekaj pan – powiedział Heniek. – To już lepiej ja.

Patrzył chwile na brązowe uda dziewczyny i na twarzy jego malowała się męka. Potem wyszedł zza drzewa i stanął przed młodymi. Zmrużywszy oczy rzekł:

- W tatę i mamę się bawicie? Smacznego!

Maliszewski i pan Gienek wybuchnęli śmiechem. Chłopak zerwał się na nogi i wyjąkał:

- Czego pan chce?

- Niczego – powiedział bardzo wolno Heniek.

Stał przed chłopakiem i kołysał się na nogach. Gryzł w dalszym ciągu trawkę i spluwał zielonkawą śliną. Potem powiedział:

- Uważaj, jak jedziesz, kochany. To ci przyszedłem powiedzieć. Zawsze uważaj jak jedziesz.

Maliszewski wyszedł zza drzewa i stanął obok Heńka.

- Ładna dziewczyna – powiedział patrząc na nią burymi oczkami. – Ja bym sam chciał taką zapoznać. Może się zapoznamy, proszę panią.

- Idiota – powiedziała dziewczyna.

Stanęła za chłopakiem; była czerwona i zdenerwowana; pan Gienek patrzył, jak drżą jej szczupłe plecy i raz jeszcze pomyślał ze wstrętem o swojej brzydkiej, grubej i nieforemnej żonie.

- Ty, ty, szmata – powiedział Maliszewski; oczy nabiegły mu krwią z wściekłości.

Rzekł szybko, jakby się dusząc:

- Ty jesteś zwyczajna kurwa, rozumiesz? Ja mam córkę starszą od ciebie, ty kurewko.

- Niech pan stąd odejdzie – powiedział chłopak, błagalnie patrząc im w oczy. – Ja pana proszę, niech pan stąd odejdzie. Myśmy panu niczego nie zrobili. Ja pana strasznie proszę.

- Kogo ty prosisz, Janek? – powiedziała dziewczyna. – Tego starego durnia?

- Zamknij swojej pani mordę – powiedział Heniek – bo inaczej ja jej zamknę. I sam też nie pajacuj. Mówię ci, zamknij mordę.

- Sam masz mordę – powiedziała dziewczyna.

Patrzyła na niego z pogardą. Była nieprzytomna ze zdenerwowania, lecz usiłowała się rozeźmiać szyderczo.

- Bydlak – powiedziała i wybuchnęła płaczem.

- Ej, ty – powiedział Heniek i szarpnął ją za rękę. – Komu ty wymyślasz? Przychodzisz się tutaj puszczać i jeszcze coś mówisz?

Chłopak szarpnął się; uderzył Heńka w twarz – raz i drugi. Stało się to tak szybko, że Heniek zdążył tylko zamrużyć oczami. Lecz w następnej chwili złapał chłopaka za włosy i trzasnął twarzą w swoje kolano. Potem uderzył go pięścią w usta i rzucił na ziemię.

- Dosyć, proszę klienta? – zapytał. – Jak nie dosyć, to mogę klienta obsłużyć dodatkowo. Taryfa ulgowa; tu jest bardzo miły cmentarz.

I wybuchnął stekiem najplugawszych obelg. Zamknął oczy, lecz ciągle widział brązowe, długie nogi dziewczyny.

- Chodź, Janek – powiedziała dziewczyna.

Otarła chłopakowi twarz z krwi. Rzekła do nich:

- Policzymy się jeszcze. – I kiedy odeszli już parę kroków, krzyknęła histerycznie:

- Jesteście stare szmaty, nie mężczyźni!

Wracali do domu. Znów szli wśród ogródków działkowych.

- Parno – powiedział Heniek. – Prawdopodobnie, że będzie padać.

Westchnął i rzekł:

- To była ładna dziewczyna. Dlaczego jej powiedziałeś, że jest kurwa? Przecież jej nie znasz. Skąd mogłeś wiedzieć?

- Ja przecież nie powiedziałem, że ona jest taka – rzekł Maliszewski. – To ty powiedziałeś.

- Ja?

- Ty.

- Nie wygłupiaj się. Ja jej wcale nie znałem.

- Ja ją znałem – powiedział Maliszewski. – Ja już ich tutaj widziałem nie pierwszy raz.

Oni się bardzo kochają.

- Co będzie dalej? – zapytał pan Gienek.

- Nie wiem, co będzie dalej. Ale wiem, że oni z sobą chodzą. I wiem, że oni dzisiaj pierwszy raz ze sobą.

- Skąd? – zapytał leniwie pan Gienek.

- Słyszałem, jak ją prosił. I on się bał, i ona się bała. Słyszałem, jak się namawiali. Bali się dziecka, tak mówili. Ale chyba bardziej siebie.

- Tak zawsze bywa ten pierwszy raz – powiedział Heniek. – Ja też się bałem.

- Każdy się bał tego pierwszego razu – powiedział Maliszewski. – Ale po co ty go zaprawiłeś?

- Sam chciałeś.

- Nie wiedziałem, że to tak wyjdzie. On do niej tak dziwnie mówił...

- Jak?

- Nie pamiętam.

- Chmurzy się – powiedział pan Gienek.

- On właśnie coś mówił o chmurach – powiedział Maliszewski. – Jakiś wiersz. Mówię wam, oni się kochają.

- Już teraz nie będą się kochać – powiedział pan Gienek. – Będą się mieli dosyć na zawsze. Po takim czymś nie będą mogli patrzeć na siebie. Niepotrzebnie to wszystko wyszło.

- Ja już wiem – powiedział Maliszewski. – Przypomniało mi się. On tak jej mówił, że jak on ją tego, to będzie ich pierwszy krok w chmury. On to mówił, tylko, że do wiersza. A ona tylko: „Boję się. Boję się” i płakała.

- Może się bała bólu?

- Nie myślę – rzekł Maliszewski. – Nie myślę, żeby się bała bólu. To przychodzi potem. Życie, inni ludzie, plotka. Ale ten pierwszy raz, to naprawdę jak w chmurach. Zakochani niczego nie widzą.

- My też? – zapytał Heniek.

- Oni teraz już nie będą się kochać – powiedział pan Gienek. – Ja sam wiem, że jakby mnie coś takiego spotkało, tobym już potem nie kochał dziewczyny.

Zmarkotniał nagle: znów ssala go pustka. Wyszli z ogródków i znów szli ulicą.

- Nie – powiedział Heniek. – Oni już teraz nie będą się kochać. Mnie też spotkało kiedyś coś takiego. I nie kochałem już potem tej dziewczyny.

- Każdego z nas spotkało kiedyś coś takiego – powiedział Maliszewski. – Ale po co ty mu dałeś w japę?

- On mnie pierwszy uderzył – rzekł Heniek. – Zajdziemy na piwo?

- Możemy zajść. Ta dziewczyna to już chyba nie przyjdzie.

- Chyba nie – powiedział pan Gienek. – I za co pan ją tak nazwał?

- Moją dziewczynę też tak ktoś kiedyś nazwał – powiedział Maliszewski. – I jak Boga kocham, do dziś nie wiem za co.

- I nie kochałeś się pan już potem?

- Nie – powiedział Maliszewski.

Milczał, potem rzekł z nagłą złością:

- Dajcie mi spokój, do cholery! Nie wierzę w żadną miłość. Kobiecie swojej też nie wierzę. Nikomu nie wierzę.

- Głupia sprawa – powiedział Heniek.

Spojrzał w niebo i powiedział:

- Chmurzy się. To jak on tam mówił?

- Zdaje się, że krok w deszcz czy coś takiego – powiedział zmęczonym głosem Maliszewski. – Chodźcie na to piwo... Albo o deszczu, albo o burzy... Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam. Nie chcę niczego pamiętać. Gdybym nie pamiętał, nie byłoby tej całej awantury.

- Będzie jutro deszcz – powiedział Heniek.

- Zawsze w niedzielę pada deszcz – powiedział pan Gienek.

Skrzywił się: raz jeszcze pomyślał o swojej ohydnej żonie, o chłopaku, o dniu jutrzejszym, o ślicznej dziewczynie, o jej długich, brunatnych nogach, o jej piersiach, o jej czerwonych, świeżych ustach, o jej opalonym, silnym karku, o jej zielonych przerażonych oczach i powtórzył bełkotem, gdyż musiał coś powiedzieć:

- W niedzielę zawsze pada deszcz...

ŚLICZNA DZIEWCZYNA

Była to rzeczywiście śliczna dziewczyna. Ludzie przychodzący do tego parku – nawet tacy, którzy czynili to od lat – nie pamiętali, aby zjawiała się tutaj kiedykolwiek choć jedna taka, która mogłaby stanąć koło niej. Ta dziewczyna podrywała wiarę w materialność świata; przechodzący obok ławki, na której siedziała, doznawali wrażenia, iż przeszli pięć kroków w innym świecie. Nawet staruszek, od lat łąjący tędy z laską zakończoną szpikulcem, otworzył usta i szedł tak aż do końca alejki. A staruszek ten wiele widział, wiele mógł powiedzieć o majowych nocach, kiedy – dusząc się ze złośliwej satysfakcji – wypłaszał stąd ubogich kochanków.

Dziewczyna siedziała na ławce z chłopcem. Chłopiec nie mógł mieć więcej lat od niej – to znaczy dziewiętnaście lub dwadzieścia. Był także ładny, lecz ona gasiła go każdym, nawet najbardziej nieznacznym ruchem lub spojrzeniem. Ta dziewczyna miała w sobie kawał słońca – tak myśleli przechodzący tędy. W pewnym momencie rzekła:

- Późno już. Muszę iść.
- Jak chcesz – powiedział chłopiec. – Mnie tutaj dobrze.
- Zrobisz to, o co cię proszę, czy nie?
- Już ci powiedziałem.
- Będziesz żałował.
- To moja sprawa – powiedział chłopak.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów: przytknął w denko, wyciągnął jednego i zapalił. Potem schował paczkę z powrotem.

- Ja też palę – rzekła dziewczyna.
- To bardzo niedobrze. Nikotyna szkodzi na zdrowie. Poza tym człowiek brzydnie.

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Oczy miała brązowe, ciemne: migotała w nich miodowa gwiazdka. Chciała coś powiedzieć, lecz przechodził koło nich jakiś mężczyzna w granatowym, kiepskim garniturze.

Był to nieznacznym urzędnik: nie osiągnął w życiu niczego, gdyż brakło mu i talentu, i wytrwałości. Jak każdy tego rodzaju człowiek, uważał się jednak za skrzywdzonego i niezrozu-

mianego. Popatrzył na śliczną dziewczynę i pomyślał: „Mój Boże! Gdybym ja miał taką! Może by to wszystko zaczęło być inne? Taka kobieta może odmienić wszystko; może dla niej wziąłbym się jeszcze za coś? A tak – złamane życie. Ech, cholera! Muszę iść do kina. Człowiek zaczyna się rozklejać...” Posmutniał i przyspieszył kroku.

Skoro tylko przeszedł, dziewczyna zapytała chłopca:

- Dasz czy nie?
- Nie lubię się powtarzać – odparł.

Patrzyła na niego swymi ciemnymi oczyma i rzekła cicho:

- Ty skurwysynu.

Roześmiał się. Kopnął czubkiem buta kamyk leżący na ścieżce i powiedział bardzo cichym, melodyjnym głosem:

- Popelniasz małą omyłkę: nie jestem twoim dzieckiem.
- Gdybyś był moim dzieckiem – rzekła – wiedziałabym, co tobą zrobić.

Spojrzał na nią z ukosa i odparł:

- Dlaczego więc radzisz się mnie, co zrobić ze swoim?
- Jest także i twoje.

- Ty bardzo pięknie mówisz – rzekł – i na pewno bardzo wzruszająco. Ale ja nie byłem wtedy sam. Był i Mietek, i Roman, i jeszcze paru innych. Dlaczego przychodzisz do mnie po forszę? Czy ja jestem świętym Mikołajem?

- Ja z tamtymi nic nie miałam.
- Wychodziłaś z nimi na dwór.
- Po to, żeby odetchnąć i przejść się kawalek. Była wtedy taka piękna noc...
- Ach tak – powiedział obojętnie.

Zgasił papierosa i oparłszy ramiona o poręcz ławki, przeciągnął się. Patrzył chwilę na wygasające niebo, potem rzekł:

- Przykro mi, ale ja już dawno przestałem wierzyć w cuda. Jeszcze nie słyszałem, aby dziewczyna szła w nocy nad rzekę z mężczyzną li tylko po to, aby popatrzeć na księżyc. Zwykle księżyc w takim wypadku kapuje na nich.

Dziewczyna uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Milczała; w rękę miażdżyła małą gałązkę. Ręce miała takie, jakie miewają Madonny na starych obrazach: długie, szczupłe, nerwowe, żyjące własnym, pięknym życiem. Człowiek, który w tej chwili przechodził koło nich, spojrzał na nią, potem na jej ręce i zaparło mu dech. Był on młodym pisarzem i marzył o napisaniu wielkiej, miłosnej powieści, na którą tak bezustannie i boleśnie oczekują ludzie. W tej chwili – z przerażającą jasnością – ujrzał całość; od wielu miesięcy już trzepotały mu się po

głowie sceny, dialogi, twarze, lecz dopiero w tej chwili ujrzał swoje dzieło jako myśl skończoną. „Już mam – kombinował gorączkowo. – Teraz już mam. Oni spotkali się przypadkowo na ławce w tym parku. Zawiązuje się romans, pierwsza miłosna noc... Traktują to wszystko cynicznie, sportowo, gdyż tak sobie postanawiają, aby uniknąć komplikacji i rozczarowań. Lecz z czasem – przychodzi miłość. Wielka, obezwładniająca, rzucająca na kolana. Ale oni nie mogą w to uwierzyć; dręczy ich cyniczny początek. Lecz w końcu rozumieją; pozostaną już razem, na zawsze złączeni uczuciem. To będzie rzecz pełna gniewu!...” Uradowany pogalopował do domu.

Dziewczyna powiedziała do chłopaka:

- Dobrze. Jak chcesz. Ale ja cię załatwię. Inni też dowiedzą się o naszej słodkiej tajemnicy. Wylecisz na zbity łeb. Zapomnisz, że chciałeś zostać inżynierem, mój drogi. Już ja ci pomogę.

Nie drgnąwszy odparł:

- Miła, zaczynasz być śmieszna, a to źle. Ja osobiście niczego w życiu nie boję się tak jak śmieszności.

- Mimo to będziesz śmieszny.

- Niezupełnie. Ja także mogę ci przypomnieć o pewnych faktach. Na przykład taki: jest noc, pewien chłopak będący w wojsku myśli o swej dziewczynie i marzy o chwili, kiedy będą razem. Pełni oczywiście wartość... Ładne, prawda? Tymczasem... – Zbliżył ku niej twarz i powiedział twardo: – Tymczasem dziewczyna bawi się w „Kameralnej” z dwoma podtatusiały mi facetami, którzy mają jeszcze sklepiki na ulicy Chmielnej i sflaczały nogi. Ta dziewczyna jedzie potem do jednego z nich, a jest zupełnie zalana. I potem ta dziewczyna barłoczy się z tamtymi facetami do rana. Rano oczywiście opowiada wzruszającą historyjkę o tym, że jej ojciec siedzi niewinnie w więzieniu i że ona z matką cierpią głód. Potem pożyczka od jednego z nich pięćset złotych i kupuje sobie dwie pary nylonów. Życiowe, co?

- Tak sobie. Znam bardziej ciekawe bajeczki. Słyszałam historię o takim młodym chłopaku, który sfalszował pewne dane w ankietach, aby dostać się na studia, i wygłaszał wzruszające rzeczy do czasu, kiedy było mu to potrzebne. Nauczył się nawet mówić gwarą podwarszawską, gdyż utrzymywał, iż jest autentycznym proletariuszem. Tymczasem tatunio przysyłał mu paczki z Nowego Jorku, tak, że chłopak był nawet nieźle ubrany, gdyż tatunio umiał i tam robić ciekawe interesy. Tatunio, ten bezrobotny tokarz z ankiety. Jak myślisz: interesujące?

- Dam ci połowę – rzekł. – O resztę postaraj się sama.

- Nie, miły – rzekła. – Dasz wszystko, albo...

- Albo co? – przerwał, brutalnie ścisnąwszy jej rękę.

- Nic. Nie będę się powtarzać. Nie chcę być śmieszna. Ja także niczego nie boję się tak, jak śmieszności.

- Dobrze – rzekł twardo.

Popatrzył na nią ciężko; uśmiechnęła się szyderczo.

- Dam ci forszę za dwa tygodnie – powiedział.

- Wcześniej. To już i tak za późno.

- Trzeba było uważać, psiakrew!

- Komu ty to mówisz?

- nie na wszystko trzeba się zgadzać, ty...

- Ciszej – syknęła.

Obok nich przechodziła para staruszków; byli siwi i zgarbieni. Przeżyli z sobą już wiele lat: byli wierzący i uważali, iż każdy dzień na tej ziemi darowany im jest od Boga. Dziękowali mu za to. Staruszka spojrzała na dziewczynę i rozplakała się nagle.

- Co ci jest? – zapytał mąż.

- Dlaczego Bóg nam nie dał takich pięknych dzieci? – rzekła. – Dlaczego nam nie dał takich dzieci?

Staruszek uściśnął jej pomarszczoną i wiotką dłoń.

- Kochaliśmy się – rzekł. – było nam dobrze. Bóg nam przebaczy, że nie zostawiamy nikogo. To przecież nie z naszej winy.

- Tak – powiedziała z trudem. Otarła łzy i westchnęła: – Jednak byłoby o wiele lepiej...

Zgarbieni odeszli w zielone alejki. Chłopak rzekł:

- Ja ci to zorganizuję. – Chwilę milczał, potem dodał: – Poczekam aż wyjdiesz za mąż.

- To co wtedy?

- Będziesz miała dzieci, dom, męża.

- To co wtedy?

- Nic. Zайдę czasem do was, poznasz nas ze swoim mężem... Pogada się czasami o starych dziejach.

- Więc w przyszłym tygodniu?

- Tak.

- Dobrze – rzekła.

Podniosła swoją wspaniałą twarz do góry i na chwile rozświetliło ją zachodzące słońce; każdy jej włos, każdy kawałek skóry, jej oczy, usta, ramiona, wszystko było przesiąknięte słońcem i pełne słońca. Patrzyła na zielone kopyły drzew, potem rzekła cicho:

- Długo będziesz czekał.
- Na miłość się czeka.
- Ach, tak – szepnęła.

Nie rzekła już ani słowa; na twarzy jej gasła zorza, gdyż słońce uciekało za drzewa. W ostatnich jego promieniach ujrzało dziewczynę dwóch mężczyzn spieszących z pracy do domu. Obaj byli starszymi ludźmi; mieli porwane twarze i siwe włosy na skroniach. Jeden z nich, niższy, spojrział na dziewczynę i na jego twarzy odmalował się ból.

- Co ci jest? – zapytał wyższy.

- Głupstwo – rzekł niższy starając się uśmiechnąć. Przesunął ręką po czole ruchem człowieka bardzo zmęczonego i powtórzył: – Głupstwo. Wiem dobrze, że nie powinienem mieć smutnej gęby. Ale nie masz pojęcia jak czasem trudno się cieszyć.

- Kiedy siedziałem przed wojną swoją dziesiątkę – powiedział niższy – to marzyłem, że jak skończy się walka, tak będą właśnie wyglądać nasze dziewczyny. Kiedy mnie wpakowali do pudła, byłem jeszcze bardzo młody, taki chyba jak ten chłopak, który z nią siedzi. Byłem naiwniakiem i w taki mniej więcej sposób wyobrażałem sobie komunizm. Dopiero jak mi zatańczyli po żebrach, moja wizja się nieco zmieniła.

- Więc dlaczego masz smutną gębę?
- Czasem jednak ciężko pomyśleć, że nigdy się nie miało takiej dziewczyny.
- Głupstwo – rzekł drugi.

Dał sójkę w bo niższemu i powiedział:

- Czy to w końcu ważne? Najważniejsze, że one są, że są takie piękne, że kochają swoich chłopaków i że są kochane.

1955

NAJŚWIĘTSZE SŁOWA NASZEGO ŻYCIA

Obudzili się o świcie tak mocno przytuleni do siebie, iż pierwszym uczuciem, jakiego doznali, było zdziwienie, że całą noc spali twardym i zdrowym snem, w którym nie przeszkadzała im bliskość. Chłopak poruszył się i podniósł na łokciu; patrzył przez chwilę na dziewczynę gorącymi oczyma, potem rzekł:

- Powiedz coś głośno, jeśli to wszystko naprawdę.

Dziewczyna roześmiała się. Objęła jego głowę nagimi ramionami i przytuliła go do siebie; była ciepła jak chleb. Przez chwilę słuchał twardego bicia jej serca, potem ona rzekła bardzo cicho:

- Myślisz, że to sen.

- Nic nie wiem – rzekł. – Ty nie wiesz, ile razy przez całą noc byłaś ze mną, mówiłaś do mnie, śmiałaś się do mnie; wyznawałaś mi takie rzeczy, o których marzyłem, a kiedy przychodziło rano i budziłem się, widziałem obok siebie puste miejsce. – Dotknął ręką jej twarzy i powiedział: – Kto wie?

- Ciągle myślisz, że to sen?

- Mówię ci: kto wie?

Patrzyła na niego zmrużonymi oczyma. Wiedział, że chce mu coś powiedzieć i waha się. W nagłym strachu ścisnął jej rękę. Wtedy odezwała się:

- Więc wiesz, co zrobić? Wstań i podejdź do lustra.

- Po co?

- Wstań, mówię ci.

Chłopak wstał. Podeszedł do okna i odsunął firankę; dzień był jasny i czysty, dachy lśniły rosą; godzina była wczesna – zgrzytały dopiero pierwsze tramwaje. Chwilę patrzył w pustą ulicę, potem rzekł:

- Trochę się boję.

Wyskoczyła z łóżka; wzięła go za rękę i pociągnęła do lustra.

- Wierzysz teraz? – zapytała. – Sny gryzą duszę, ale nie szyję, mój drogi.

- Nie żałujesz tego?

- Czego?

- Nocy.

- Gdybym żałowała, nie wyglądałbyś tak, jak wyglądasz. Czy myślisz, że można kogoś tak kochać, jeśli się go nie pragnie?

- Myślałaś o mnie przedtem?

- Często.

- Chciałaś tego?

- Na pewno tak samo jak ty.

Uśmiechnął się gorzko.

- Skąd wiesz – rzekł – jak ja ciebie pragnąłem?

- O, wiem. Ja też muszę jakoś owinąć szyję, żeby ludzie nie zobaczyli.

Ogarnęło go straszne, żalosne wzruszenie – prawie żal.

- Tyle czasu – wybełkotał – czekałem na to wszystko, marzyłem... Aż strach pomyśleć, że to wszystko już się stało.

Podszedł do okna i znów spojrzął na ulicę. Nie chciał mówić, bał się słów. Z domów wychodzili do pracy pierwsi ludzie; znał ich wszystkich, była to mała, piaszczysta uliczka – na takiej ulicy ludzie do dziś wzajemnie znają swoje sny. Wypełniony dziwnym, ciężkim uczuciem szczęścia, w które nie mógł jeszcze do tej chwili uwierzyć, milczał. Odwrócił się dopiero na dźwięk jej głosu. Stała za nim i dotykając twarzą jego pleców, mówiła:

- Pachniesz mlekiem jak mały piesek, tak śmiesznie. I oczy masz dziwne...

Wzięła w rękę jego twarz i powiedziała:

- Naprawdę jesteś małym pieskiem. Żeby tak mogło zostać na zawsze. Z żadnym mężczyzną nie byłam taka szczęśliwa. Z nikim nie było mi tak dobrze jak z tobą. Przysięgam ci, nie śniło mi się nawet, że będę kiedyś taka szczęśliwa.

- Było ci dobrze? – zapytał czując, że serce z przerażenia podeszło mu aż do gardła.

- Och, nie pytaj – powiedziała. – Teraz mnie się zaczyna zdawać, że to wszystko jest po prostu złym snem.

- Złym?

- Bo żal tylko dobrych snów, kiedy one się kończą.

- Powiem ci, co masz zrobić.

- Podejść do lustra?

- Właśnie.

Roześmiali się oboje. Chłopak powiedział:

- Muszę już lecieć do roboty.

- Zjedz śniadanie.

- Nie mogę – rzekł i pokręcił ze smutkiem głową. – Ty wiesz, jak to jest, kiedy się człowiek spóźnia do roboty.

- Poczekaj, naszykuję ci coś, to weźmiesz z sobą.

Począł się ubierać; nie śmiał przy tym dotknąć własnego ciała. Czuł ją ciągle przy sobie; aż po czubki włosów wypełniony był owym dziwnym, cięższym od ołowiu, boleśniejszym od męki umierania, słodszy od najpiękniejszych wierszy uczuciem, jakie daje noc z kimś, na kogo czekało się przez tysiąc chwil, kogo pragnęło się przez wiele bezsennych nocy, kogo widziało się w każdej na ulicy spotkanej twarzy, kogo oczekiwało się przy każdym pukaniu do własnych drzwi; przez kogo nienawidziło się nieba, ziemi i ludzi; i przez kogo kochało się wszystko.

- Kiedy przyjdiesz? – spytała dziewczyna.

- Wieczorem. Będziesz czekać?

- Po co pytasz?

- Ciągłe się boję.

- Przyjdę pierwsza do domu.

- Zaświeć światło, odsuń firankę i czekaj na mnie.

- Zaświecę światło, odsunę firankę i będę czekać na ciebie. A teraz powiem ci coś: nie będziemy się żegnać.

- Dlaczego?

- Nie chcę się z tobą rozstawać ani na moment.

Zamknął za sobą drzwi i zbiegł jak burza po schodach. Na ulicy zachłysnął się świeżym powietrzem. „Aaaa” – mruknął. Podniósł głowę do góry i machnął ręką. Potem ruszył szybko naprzód; do pracy miał spory kawałek drogi, a że było późno, musiał się śpieszyć. Przed jednym z domów przystanął i krzyknął:

- Heniek, chodź no tutaj, chodź no! – A że jak każdy warszawski cwaniaczek mówił jakby bez zębów, więc brzmiało to: „Enek, ono tutaj, ono!”

Wyszedł Heniek; był niski, krępy, twarz miał dobroduszną i szeroką. Ubrany był tak jak i chłopak – w czarny monterski kombinezon; kolorową koszulę rozpiętą miał na twardej szyi.

- Sie masz – powiedział. – Leciem, leciem. Wskoczmy jeszcze po Malinowszcza i po pana Ceńka. Leciem, leciem. Już się w tym miesiącu dwa razy spóźniłem do roboty.

Szli szybko. Słońce stało już wysoko na niebie; drzewa, dachy, liście i trawa szybko ob-
sychały z rosy. Ulicą szły kobiety; miały włosy w nieładzie, palta narzucone pośpiesznie na szlafroki, w rękach trzymały butelki, garneczki i dzbanki na mleko. Heniek powiedział:

- Wpadnij do nas dziś wieczór. Fanfan przyniesie adapter. Będzie flaszką.
- Nie mogę dziś wieczór – powiedział chłopak. – Dziś wieczór jestem zajęty.
- Będziesz u Baśki?
- Nie twoja głowa.
- Ach, Boże – powiedział marzycielsko Heniek. – Jaka to kochana dziewczyna. Ach, Boże, jak ja ją kochałem. Ona zawsze do mnie mówiła: „Ty pachniesz mleczkiem jak mały kotek”.

- Kłamiesz, chamie!
- Żebym ja tak szczęście w życiu miał, widzisz! Ty przecież wiesz, że ja nigdy nie zasuwam satyry. Ona mówiła, że jestem podobny do małego, puszystego pieska. Spokojna twoja czaszka: ona starsza kurwa jak my złodzieje. Ach, Boże, jak ja ją kochałem! I rzuciła mnie.

- Nie mogła do ciebie tak mówić.

- Nie?

- Nie. A bo co?

- Poczekaj.

Stanęli przed jakimś domem. Heniek krzyknął:

- Malinowski, wychodź!

Malinowski wyszedł. Był to młody człowiek pełen werwy i gracji; nie trzeba dodawać, że jak wszyscy chłopcy czesał się na Fanfana, a że miał najładniejsze włosy, jemu to właśnie przypadł ów zaszczytny przydomek.

- Sie masz – powiedział Fanfan.

- Fanfan – rzekł Heniek. – Powiedz jemu, co ci mówiła Baśka, jak ci robiła fleta.

- Późno – powiedział Fanfan. – Mnie powiedzieli, że jak się jeszcze raz spóźnię, to podadzą mnie pod sprawę. Zawsze człowiek się późno kładzie i to wszystko z tego. Baśka to porządna dziewczyna, Heniek. Ja na nią nie dam złego słowa powiedzieć.

Heniek się zniecierpliwił.

- To nie o to chodzi – powiedział z zadyszką; szli szybko, a on miał najkrótsze nogi. – Czy ja ci mówię, żebyś na nią złe słowo powiedział? Ty wiesz, dlaczego ona mnie rzuciła. Ale ona tak zawsze pięknie mówiła.

Fanfan poczochnął czuprynę i rzekł:

- Ty jesteś moim małym, miodowym niedźwiadkiem.

- A o piesku?

- Pewnie, że był piesek – powiedział Fanfan. – Ona mówiła, że pachnę jak piesek, jak mały piesek.

Zwrócił się do chłopaka:

- Ty, przyskocz do Heńka dziś wieczór. Pożyczę od szwagra adapter.

- Nie mogę – powiedział cicho chłopak. – Jestem zajęty dziś wieczór.

- Idzie pan Ceniek – powiedział Fanfan i krzyknął: – Panie Ceńku, poczekaj pan moment!

Pan Ceniek, mężczyzna idący przed nimi, zatrzymał się. Twarz miał kompletnie przepiętą, oczy – krwawe.

- Sie masz – powiedział prztykając palcem w daszek czapki.

- Sie masz.

- Sie masz.

- O, Boże najdroższy – powiedział ochryple pan Ceniek. – Jak mnie strasznie pali. Żeby można było gdzie kupić piwa.

- Późno już. I tak będziemy jechać na cyckach. O tej porze tłok jak śmierć – powiedział chłopak.

Pan Ceniek popatrzył na niego przekrwionymi oczyma i rzekł ze współczuciem:

- Co ci jest kochany? Romans na tle osnuty, tak?

- Płyn pan dalej – powiedział chłopak.

- On się zrobił ostatnio bardzo dziwny – powiedział pan Ceniek z wyrazem męki na twarzy; dręczyło go ponure uczucie przepicia. Rzekł:

- Musisz sobie ładną dziewczynę skosić. Przejdzie.

- Fakt – rzekł Fanfan i splunął.

- On ma ładną dziewczynę – rzekł Heniek. – Pan zna tę jego lalkę, panie Ceńku?

- Która? Chryste, jak mi się pić chce.

- Ta z rogu.

- Baśka?

- Fakt.

- Mowa – powiedział pan Ceniek i jego skrzywiona twarz wypogodziła się przez chwilę. – Żebyś ty tyle zdrowia miał, ile ja na niej straciłem. To najładniejsza lalka tutaj, na Marymoncie. Czeka, czeka. Jak ona zawsze do mnie mówiła?... Jezu, ja zdechnę z pragnienia!

- Mleka, panie Ceńku. Najlepsze po przepiciu mleko – powiedział Fanfan.

- Niech to cholera weźmie – zachrypiał pan Ceniek i znów skrzywił twarz jak po wypitym occie. – Właśnie o mleku. Wszystkie one coś mówią. Jak byłem w waszych latach, to akurat zaczynałem kosić. Wtedy jeszcze każda dziewczyna mówiła, że jesteś drugi. Mowa. A pierwszy to był zawsze jakiś partyzant, który zginął, ma się rozumieć, w lesie. A już rok później, jak się las skończył, to one mówiły, że ten partyzant albo siedzi w kiciu, albo go UB roz-

łupało. Mowa. „Kiedy byłam młoda, spotkałam żołnierza, który codziennie patrzył w oczy śmierci, a ja mu chciałam dać trochę szczęścia, bo przecucie mnie mówiło, że zginie...” I tak dalej. Mowa. Śliczne historyjki! Mnóstwo takich słyszałem w życiu. Wtedy każda dziewczyna miała swojego porucznika Bogdana w AK. Tamta tego nie miała, bo jest za młoda. Ale też do mnie wstawiała takie słodkie gadki, że ją kosiłem i płakałem; jestem trunkowy, mam miękkie serce. Mowa, trawa, Warszawa.

- To nie o to chodzi – powiedział z rozpaczą chłopak. – To nie o to wszystko chodzi. Ale panie Ceńku, czy ona panu mówiła, że z żadnym mężczyzną nie było jej tak dobrze jak z panem? Mówiła?

- Mówiła – powiedział pan Ceniek.

- Mówiła – powiedział Fanfan.

- Mówiła – powiedział Heniek.

- Czy mówiła, że nawet jej się nie śniło, że może być tak szczęśliwa z mężczyzną?

- Mówiła.

- Mówiła.

- Mówiła.

- Czy żegnała się z wami, jak wychodziliście rano do roboty?

- Nie – powiedział Fanfan. – Myśmy się nigdy nie żegnali.

- Nie – rzekł Heniek i jego brzydka twarz zrobiła się smutna.

- Nie – powiedział pan Ceniek. – Czekaście: krzyknę na szwagra. Późno już, późno, cholera.

Stanęli przed jakimś domem. Był to stary, ohydny, obdrapany dom; jeden z tych domów, przed którym wystarczy, abyś stanął i raz spojrział, a zobaczysz kupę nieszczęść i marzyć będziesz, aby drzwi tego domu na zawsze były zamknięte przed tobą. Przy piaszczystych i krzywych ulicach dzielnicy zwanej Marymont jest jeszcze wiele, wiele takich domów.

- Ja już pójdę – powiedział chłopak. – Mam jeszcze coś załatwić. Nie będę czekał na pańskiego szwagra. Na razie, do wieczora.

- Miałeś przecież nie przyjść – powiedział Heniek. – Miałeś coś sobie załatwić wieczorem.

- Przyjdę – powiedział chłopak. – Załatwię to teraz. Najwyżej mnie wyleją z roboty.

- Ważna sprawa?

- Nie twoja głowa. Skombinuj ten adapter, Fanfan. Sie masz! – powiedział i odszedł w kierunku, skąd przyszli.

- Sie masz – rzekł Fanfan.

- Sie masz – rzekł Heniek.

- Sie masz – powiedział pan Ceniek i znów skrzywił się straszliwie. Potem rzekł kręcąc głową:

- Co mu się stało, do cholery? Taki był z niego chłopak – równiacha... Pomóżcie mu jakoś. On sobie musi znaleźć jakąś dziewczynę, żeby go pokochała, żeby mu powiedziała coś dobrego, coś świętego. Jak Boga kocham, że mu jest potrzebna taka dziewczyna. Pomóżcie mu. Jesteście jego kolegami czy nie, do cholery?

1956

LOMBARD ZŁUDZEŃ

W naszym mieście jest wiele pięknych ulic i placów. Napisano o nich wiele pięknych wierszy, poematów, piosenek i książek; tak wiele, że zbytecznym już jest rozwodzić się nad urodą miasta. Jest tu jednak pewna taka ulica, że gdybyś szedł nią nie wiadomo jak spodlony, jej piękno i wdzięk każą ci trzymać łeb do góry; kiedy patrzysz na te wszystkie piękne, dziwne i małe domy, przychodzi ci do głowy niedorzeczna myśl, że powinni tu mieszkać sami dobrzy i szczęśliwi ludzie. Doprawdy, człowiek ma czasem ochotę przejść tą ulicą na kolanach. Na samym końcu owej ulicy, w kamieniczce ozdobionej pięknymi, brązowymi smokami, mieści się kawiarnia, o której wiedzą tylko wtajemniczeni, co w praktyce oczywiście oznacza, że wie o niej połowa miasta. Przychodzą tu jednak tylko ci, którzy mają do tego niepisane jakby, lecz ściśle przestrzegane prawo; ci, którzy coś zrobili.

W tej kawiarni, przy jednym z misternie wykonanych stolików, siedział pewien młody pisarz z dziewczyną. Dziewczyna była bardzo młoda: miała śmieszna twarzyczkę dziecka, w której dziwiły czarne, poważne oczy. Miała na sobie jasną sukienkę w kratę, gdyż było to lato; nogi jej były długie, szczupłe i opalone; na te nogi zerkał już od pewnego czasu pewien staruszek z metafizyczną bródką siedzący przy oknie. Obserwacja jej nóg do tego stopnia zaabsorbowała jego wyobraźnię, iż zupełnie zapomniał, że na jutro ma ukończyć miłosny wiersz do jednego z poczytnych tygodników. W pewnym momencie staruszek ocknął się, oblizał wargi i pochylił się nad kartką papieru; zrozumiałwszy zaś po jakimś czasie, że nie jest to już opowieść o szukaniu stonki, której pisanie ukończył był przedwczoraj, począł układać gorące strofy.

Pisarz i dziewczyna milczeli; przed kilkoma minutami ukończyli właśnie rozmowę, która oszołomiła i ją, i jego; tak zawsze bywa, kiedy ludzie wyznają sobie nad wyraz dobre i szczęśliwe rzeczy. Oboje bali się teraz pierwszego słowa; rzucali na siebie krótkie spojrzenia; młody pisarz od czasu do czasu chrząkał, wiedząc jednocześnie, że chrząkanie jest rzeczą idiotyczną i niedającą absolutnie żadnych perspektyw. Wreszcie – zdławiwszy w sobie z najwyższym trudem olbrzymie ilości niepotrzebnych słów – zapytał:

- Nie wierzysz mi?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- To nie tak – powiedziała. – Wierzę ci, lecz trudno mi uwierzyć w to, co mówisz. To tak niespodziewanie... Nawet nie potrafię ci wytłumaczyć...

- Nie tłumacz mi – szepnął gorąco. – Wcale nie chcę, żebyś mi tłumaczyła. Chcę tylko, żebyś uwierzyła temu, co mówię.

- Wierzę.

- Zaufasz mi?

- Chyba tak – powiedziała zaplatając z chrzęstem palce.

- Chyba, czy tak?

- Więc tak...

Na twarzy młodego pisarza odmalowała się niesłychana ulga. Bawiąc się filiżanką od kawy, powiedział:

- Nie masz pojęcia, jak strasznie trudno jest zaczynać wszystko od początku.

- Pomogę ci – rzekła.

- Wszystko, co mi możesz pomóc, to tylko mnie kochać. Zrobię, co będę mógł, żebyś była szczęśliwa.

- Będę szczęśliwa, jeśli tobie będzie dobrze.

- Muszę teraz iść – rzekł po krótkiej chwili milczenia. – Poczekasz na mnie tę godzinę, dobrze?

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego oczami. Uścisnął jej rękę i odszedł. Dziewczyna została sama. Usiłowała skupić się i na zimno pomyśleć o tym wszystkim, co zaszło; o wszystkim, co jej powiedział; lecz wciąż jeszcze zdawało się jej, że słyszy po prostu jego głos, że miejsce naprzeciw niej wypełnione jest jego ciałem i że patrzą wciąż na nią jego oczy. Lecz nagle obraz ten się zamazał; potem wszystko poczęło się przecierać tak jak na ekranie i w pewnym momencie ze zdumieniem zauważyła, że naprzeciw niej siedzi żywa kobieta. Była także młoda, lecz wyglądała na zmęczoną ponad swój wiek; oczy miała mroczne i pełne smutku; po jakimś czasie oczy takie stają się pełne zapiekłego żalu.

- To miejsce jest zajęte – powiedziała uprzejmie dziewczyna.

- Na tym polega cały dowcip – rzekła kobieta. – Moment. Mówiłam już do pani dwa razy, lecz wyglądała pani na bardzo zamyśloną. Bałam się, że jak się odezwę głośniejszym głosem, to przestraszę panią. Nie będę pani długo nudzić. Naprawdę nie mam o czym długo mówić. Kilka słów.

- Proszę – powiedziała jękając się dziewczyna.

W serce jej wdarło się złe przecucie. Patrzyła ze strachem na obcą kobietę i nagle zapragnęła z całej siły, aby tamta odeszła nie powiedziawszy ani słowa. Wszystko by w tej chwili za to oddała, tak jak człowiek, który boi się nieświadomionego nieszczęścia.

- Niech pani posłucha – rzekła serdecznie kobieta. – Pani siedziała tu przed chwilą z pewnym młodym mężczyzną. Tak się już nieszczęśliwie składa, że ten rzekomy mężczyzna jest moim mężem i że z tego powodu znam go co nieco. Wiem, że panią kocha, bo to jego ulubiony pretekst od wielu miesięcy; nareszcie może chlać. Zresztą, niewykluczone, że kocha panią naprawdę. Moja rada jednak: niech się pani zastanowi.

- Nad jego miłością?

- Nad sobą. Ludzie, którzy kochają trzy razy w roku, nie czynią tego nigdy naprawdę, nawet wtedy, kiedy sami są o tym przekonani. A potem strasznie jest patrzeć jak miłość umiera.

- Musi umrzeć?

- Czy on mówił panie, że całe życie czekał na kobietę taką jak pani?

- Tak.

- Czy mówił, że od miesięcy nie może napisać ani słowa, bo bez przerwy myśli o pani?

- Tak.

- Czy mówił, że jeśli pani zależy na tym, co on może dać ludziom, aby pani z nim została?

- Mówił.

- Niech pani posłucha – rzekła po raz drugi kobieta. – Wszystko więc się zgadza. Ale mnie się to już absolutnie znudziło. Kilka razy już pocieszałam te wszystkie nieszczęsnice, a raz nawet, za własne pieniądze załatwiłam jednej z nich pewien kłopotliwy drobiazg. Byłoby mi bardzo głupio, gdyby pani również w pewnym momencie przyszła do mnie po słowa pociechy, wygląda pani sympatycznie. Proszę mnie posłuchać jeszcze przez chwilę. Kiedy pierwszy raz weszłam do tej kawiarni, byłam równie ładna jak pani. Tak, proszę nie patrzeć na mnie jak na idiotkę. Wysłuchałam tych samych słów, a ponieważ on jeszcze wtedy miał własne zęby, słowa te brzmiały tym częściej. Radzę ci, nie wygłupiaj się. Przez pierwsze trzy miesiące będziesz zapewne bardzo szczęśliwa, że towarzyszysz człowiekowi w jego poszukiwaniach twórczych i w jego cierpieniach. Potem on popadnie w maleńką melancholię; zacznie szukać i cierpieć sam. Natomiast ty zaczniesz znajdować ślady szminki na jego koszułach, będziesz mu o trzeciej w nocy robić herbatę z cytryną, aby go ratować od kaca, a w końcu przyjdzie dzień, kiedy on stanie przed tobą i powie ci: „Wybacz, pomyliłem się. Moje życie to ciągłe błędzenie. Muszę błędzić i szukać; gdybym nie szukał, ludzie zapomnieliby o

mnie. Poznałem kobietę; nie wiem, czy będę z nią szczęśliwy, lecz dopiero teraz, przy niej, odnalazłem siebie i jeśli ona nie zostanie ze mną, nie napiszę już ani słowa...” I tak dalej.

Przerwała. Milczała przez chwilę, rozglądając się po Sali. Potem położyła swoją dłoń na dłoni dziewczyny i rzekła:

- A kiedy w pani życiu zrobi się już takie piekielko, że odda się pani pierwszemu lepsze-
mu durniowi, aby choć przez sekundę mieć złudzenie, że leży pani koło mężczyzny, ci wszyscy
ludzie zrobią z pani taką kurwę, że rzeczywiście zacznie pani o sobie tak myśleć, słysząc,
że „człowiek szarpie się, dręczy i męczy”, a pani nie jest go w stanie zrozumieć. Jestem już
wrakiem, na który nie popatrzy żaden mężczyzna, i radzę pani, niech pani zamknie drzwi i
zapomni o tym lokalu. To lombard; zastawi pani swoje złudzenia, marzenia i pragnienia, ale
nie będzie pani miała już za co tego wykupić. Te wszystkie inteligentnie wyglądające panie,
siedzące tutaj, wleżą nie tylko w pani łóżko, ale w każdą myśl; będzie się pani o sobie dowia-
dywać takich rzeczy, od których cierpną zęby. Będą rozpruwać pani życie jak pierzynę. Niech
pani pomyśli nad tym. W życiu warto mimo wszystko od czasu do czasu pomyśleć o sobie: to
nie takie głupie, jakby się zdawało. Ma pani ładną suknię. Skąd?

- Cepelia.

- Jakby się pani ktoś zapytał, skąd, niech pani powie, że ma pani wuja w Paryżu. Dobre
entree. Do widzenia.

Wyszła. Dziewczyna siedziała przez chwilę z zapartym tchem. Staruszek spod okna cią-
gle patrzył na nią; w pewnym momencie spojrzenia ich spotkały się i staruszka zatkało. W
kącie ktoś głośno mówił: „Brykalski się skończył”. „Jak to? – zapytał ktoś inny. – Przecież to
jego debiut. Nie wiadomo, co jeszcze napisze.” „Nic już nie napisze – cerkiewnym basem
krzyknął pierwszy. – Ta książka jest końcem początku”. Dziewczyna posiedziała jeszcze
chwilę i wyszła. Staruszek spojrział za nią ze smutkiem i wrócił do swego poematu.

Na ulicy było duszno. Środkiem jezdni jechała polewaczka sikając strumieniami wody.
Szofer wychylił się do dziewczyny i krzyknął: „Lalka, uważaj, bo ci z pupki garaż zrobię!
Przechodź wolniej”. Ludzie na chodnikach zaryczeli uszczęśliwieni. Polewaczka odjechała z
szumem. Jakiś starszy, wykwintnie siwiejący pan, powiedział do dziewczyny:

- Niech pani naprawdę przechodzi uważniej przez jezdnię, bo może się pani nabawić ka-
lectwa na całe życie...

- Ach, idź pan do stu diabłów – powiedziała dziewczyna żelaznym głosem. – To panu by
się przydało, żeby panu obie nogi równo obcięło; siedziałby pan wtedy w domu i myślał o
wieczności zamiast szwendać się po ulicach bezmyślnie i pleść androny.

Wykwintnie siwiejącemu panu w sposób apoplektyczny zsiniał kark, a dziewczyna odwróciła się w drugą stronę i odeszła. Minęła wiele ulic, zeszła wielu rozmaitymi schodami i, sama nie wiedząc kiedy, znalazła się nad Wisłą. Długo szła zielonym brzegiem, aż w końcu, zmęczona, usiadła wyciągając przed siebie swoje wspaniałe nogi. Słońce zachodziło; rzeką płynęła zastygła miedź. Takie obrazy można kupić na placu Szembeka; można tam zobaczyć również najwytworniejszych mężczyzn i wszystkie trzy ładne kobiety mieszkające w Warszawie.

Łąki dymiły rosą. Po drugiej stronie Wisły brzegami wałęsały się mgły i nic już dojrzeć nie było można. Światło dnia wygasło i nagle dziewczyna pomyślała, że jeśli nie odezwie się do kogoś, to zapłacze jak małe dziecko; a była twarda i nie znosiła łez. Obejrzała się rozpaczliwie w bok i zobaczyła, że niedaleko niej siedzi mały, piegowaty chłopiec z książką na kolanach. Przysunęła się do niego i rzekła:

- Ty pewnie chcesz zostać pisarzem, co?

- Marynarzem – odparł niegrzecznie piegowaty.

- Ile masz lat?

- Co cię to obchodzi?

- Nie możesz odpowiedzieć, bęcwale?

- Przyczepiłaś się i nie dajesz mi czytać – odpowiedział ze złością piegowaty. – Zupełnie jakbyś mi chciała dać na kino. Osiem. Zaraz się zrobi ciemno i będę musiał wracać do chaty.

A tam już nie mogę czytać.

- Dlaczego?

- Matka mi każe robić lekcje.

- Co masz na jutro zadane?

- Matematykę.

- Matematyka – powiedziała z głębokim przekonaniem dziewczyna – to rzecz idiotyczna.

- Absolutnie.

- Posłuchaj – rzekła dziewczyna. – Dam ci na kino albo nawet dwa razy na kino, ale musisz mi przyrzec jedną rzecz. Dobrze?

- Nie bądź taka cwana – powiedział piegowaty i obejrzał ją podejrzliwie od stóp do głów. – Ja jestem z tych niedzisiejszych. Powiedz najpierw, o co ci chodzi.

- Dam ci na kino – powiedziała dziewczyna – ale pod tym warunkiem, że jak staniesz się dorosłym człowiekiem, to będziesz pisarzem.

Piegowaty zaśmiał się szatańsko.

- Gówno – rzekł krótko.

- Słuchaj, błaznie – powiedziała dziewczyna i z niespodziewaną siłą ścisnęła jego rękę. – Dla mojej przyjemności, to możesz nawet zostać proboszczem w Pikutkowie. Ja chcę tylko, żebyś powiedział: „Zostanę pisarzem”. I za to ci dam na kino.

Piegowaty spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Idiotka – rzekł z niesłychanym zdumieniem w głosie. – Czy nie rozumiesz, że słowo to jest słowo?

- Napiszysz książkę – rzekła. – Opiszysz tam miłość zwykłej, młodej dziewczyny do zdolnego pisarza. Opiszysz uczucie litości, które zawsze bierze górę nad miłością i które tyle kobiet doprowadziło do klęski. Opiszysz ich pierwszą, miłosną noc, kiedy facet stoi przed drzwiami i skamle, żeby go wpuścić do pokoju, a kiedy go się wreszcie wpuszcza, tarza się przed łóżkiem i grozi, że podetnie sobie żyły. Opiszysz zdobywanie kobiet za pomocą szantazowania pijaństwem. Opiszysz kawiarnię, w której siedzą kobiety piękne, może najlepiej ubrane w Warszawie, o mentalności bajzelmamy z Płońsk. I wiele innych ciekawych rzeczy. No?

- Daj mi spokój ze swoim pisarzem – powiedział groźnie piegowaty i zamknął z trzaskiem książkę. – W ogóle idź stąd i daj mi święty spokój. Jak ja raz powiedziałem, że zostanę marynarzem, to tak już być musi. Ja mam nawet nazwę statku: „Albatros”. Tylko ty jesteś baba, masz piersi i nigdy tego nie zrozumiesz. Wracaj sobie do swoich lalek, a mnie daj spokój.

- Cóż ci z tego przyjdzie, kapitanie?

- Głupia – powiedział i jego piegowata mordka rozciągnęła się w szczęśliwym uśmiechu. – Będę jeździł po całym świecie. Zobaczę wszystkie kraje. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Jak będziesz pisarzem, to także możesz podróżować. I lądem, i morzem.

- A potem będę wracał z rejsu – ciągnął piegowaty nie zwracając najmniejszej uwagi na słowa dziewczyny – i będę zachodził do gospody „Pod Zardzewiałym Trupem”. Ludzie będą siadać koło mnie, a ja będę im opowiadać o wszystkim, co widziałem. I to będzie wspaniałe.

Dziewczyna podniosła się i otrzepała sukienkę.

- Jesteś durniem – rzekła. – Ilu ludziom opowiesz? Dziesięciu? Dwudziestu? Stu? I co z tego? Umrze szybko twoja gadka; jutro przyjdzie inny marynarz, opowie ciekawszą i zapomną o twojej. Gdybyś był niezłym pisarzem, twoją książkę czytałyby setki tysięcy. W każdym razie na pewno więcej, niż by na to zasługiwała. Sięgaliby do niej. Pamiętaliby każde twoje słowo. Dzieci by się z niej uczyły w szkołach. Mówiłbyś do wielu, wielu ludzi na całym świecie. Ale jak chcesz. Jesteś takim samym durniem jak każdy z was. Żegnaj, kapitanie.

Odeszła; słońce już dawno wpadło za drzewa, daleko ktoś wył pijanym tenorkiem. I kiedy uszła już kawałek, piegowaty wrzasnął z całych sił:

- Dobra! Zostanę pisarzem!...

Dziewczyna drgnęła. Spojrzała na zachodzące słońce i poczęła szybko, aż do utraty tchu, biec w stronę pięknej ulicy.

1955

PĘTLA

„Z DOBRĄ KOBIETĄ – NIE BOLI ŻYCIE,
OD DOBREGO JADŁA – NIE BOLI BRZUCH,
OD DOBREGO TRUNKU – NIE BOLI GŁOWA”

Jedno z przysłów, które są mądrością narodu

I

Obudził się o ósmej rano. Czuł jeszcze pewną ociężałość, lecz nie było to już owo dławiące, straszne uczucie, którego doznawał tak często – nie był to katzenjammer. Wstał i podszedł do okna. Dzień był szary, pełen zimnych i lepkich mgieł; późna jesień odarła miasto z kolorów i wdzięku. Oparty ręką o framugę okna, patrzył na mokre dachy domów; przypomniało mu się miasto, z którego pochodził, dzieciństwo, szkoła, pierwsza dziewczyna; posiadał ją w taki właśnie dzień, a przedtem długie dni chodził pod jej oknem – znał każdą szczelinę w asfalcie koło tego domu, gatunek tytoniu, który palił stróż, każdą cerę na brudnych firankach wiszących w oknie na pierwszym piętrze.

- Dawno – powiedział cicho do siebie. – Boże, jak strasznie dawno...

W tym momencie zadzwonił telefon. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się. „Punktualna” – pomyślał. Podniósł słuchawkę i zapytał:

- To ty, Krystyno?

- Nie poznajesz?

- Nic przecież nie powiedziałaś – rzekł.

- Więc o szóstej?

- Tak – powiedział cicho. – Będę czekać w domu. Teraz jest dopiero wpół do dziewiątej. Strach mnie ogarnia, jak pomyślę, że to jeszcze tyle czasu. Siedzę tutaj sam... Boję się, że będą dzwonić... Chciałbym, żeby już było po wszystkim.

- Musisz siedzieć w domu – powiedział kobiecie głos. – Musisz siedzieć i czekać na mnie. Nie wolno ci zrobić nic z tego, co chcesz, rozumiesz?

- Rozumiem – rzekł. – Będę czekać w domu. Tylko chciałbym, żeby już była szósta.

- Kuba – powiedział kobiecie głos bardzo miękko i cicho. – Przecież ty wiesz, że cię kocham. Nie mogę myśleć o tym, co się z tobą dzieje. Mam ochotę zrobić z sobą coś złego, kiedy mi ludzie powtarzają o tobie rozmaite rzeczy.

- To się skończy.

- To się musi skończyć, Kuba. O szóstej przyjdę po ciebie i pójdziemy tam razem. Ale przedtem chcę ci coś jeszcze powiedzieć.

- Słucham.

- Jeśli mi zrobisz jakiś kawał, to naprawdę koniec z nami, Kuba. Tak już nie można dłużej. Przynajmniej ja nie mogę, doszłam do jakiegoś kresu, musisz to zrozumieć.

- Po co to mówisz?

- Chcę, żebyś o tym wiedział. Teraz do widzenia. Czekaj na mnie o szóstej. Do widzenia, Kuba.

- Do widzenia – powiedział i odłożył słuchawkę.

Znów podszedł do okna i oparł głowę o chłodne szkło. Ulicą, kuląc się z zimna, przemysłali ludzie. Stąd, z wysokości szóstego piętra, wyglądali tak smutno i przykro, że nie można było na nich dłużej patrzeć – nieuchronnie przywodzili na myśl krzątające się owady. Zabolala go ta myśl; usiadł na fotelu i wyciągnawszy wygodnie nogi, marzył, aby nadeszła już godzina szósta. Zadzwoił telefon. Drgnął; na twarzy jego odbiło się przerażenie. Stał chwilę bez ruchu i szeptał do siebie: „Przecież wczoraj nie piłem. Nigdzie się nie szwendałem, nigdzie nie piłem, nikt mnie nie widział...” Telefon zadzwonił po raz drugi, potem po raz trzeci. Wtedy zdecydował się nagle. Podszedł szybko i podniósł słuchawkę.

- Tak – powiedział; skurcze serca czuł w gardle.

- To ty, Kuba? – zaskrzeczał głos w słuchawce. – Serwus, tu Janek. Poznajesz mnie?

- Jasne.

- Cholerna pogoda dzisiaj – skrzeczał głos w słuchawce. – Zdaje się, że będzie lało. W nocy pewnie padało, co?

- Nie wiem – rzekł. – W nocy nie wychodziłem z domu.

- Nie wychodziłeś?

- Nie.

- A gdzie byłeś?

- W domu.

- W domu?
- Tak. W domu.
- To niemożliwe.
- Jednak.

Chwilę trwała cisza. Potem głos w słuchawce zaskrzeczał:

- Nie piłeś wczoraj?
- Nie.
- Nie wygłupiaj się!

- Daję ci słowo – powiedział. – Nie będę już więcej pić. Postanowiłem jeszcze raz spróbować. Albo się uda, albo nie. Jeśli nie, to też będę wiedział, co ze sobą zrobić. – Zaczął mówić coraz szybciej: – Już nie mogę tak dłużej. Pójdę na kurację. Albo pomoże, albo nie. Powinno pomóc, co?

- Niektórym pomaga.

- To mnie też pomoże. Będę brał pastylki; po takiej pastylce nie wolno pić, bo człowieka może szlag trafić. Straszne rzeczy dzieją się z człowiekiem po takiej pastylce. Jeśli nie będę pił, to przez rok ludzie zapomną o mnie, co?

- Nie trzeba roku, aby zapomnieli o tobie.

- Ja też tak myślę – powiedział. – To dobrze. O szóstej przyjdzie po mnie Krystyna. Pójdziemy razem do tej przychodni. Ona tam weźmie dla mnie te pastylki. Mnie by samemu nie dali, rozumiesz? Biliby się, że nie będę ich połykał, że będę je wyrzucał. A tak ona weźmie i będzie mi je dawać. Przestanę pić; nie będę pił przez rok, a potem nie będę już czuł pragnienia. Ludzie zapomną, że byłem pijakiem, tak?

- Tak – powiedział skrzeczący głos. – Życzę ci wszystkiego najlepszego. Do widzenia.
- Do widzenia – powiedział i odłożył słuchawkę.

Poszedł do kuchni; całe ciało wypełniało mu mocne, męskie szczęście. Patrzył w niebieski, wymykający się spod czajnika płomyk gazu i myślał o dniu, w którym na zawsze złamie się przeklęty krąg upokorzeń i wstydu, o dniu, w którym już nie poczuje pragnienia, nikt już nie nazwie go pijakiem, nikt nie odwróci się od niego na ulicy, nikt nie okaże mu współczucia, którego nienawidził, troski, którą się brzydził, i żalu, że jest zdolny młody, zdrowy i pije. W tym momencie telefon zadzwonił po raz trzeci. Wrócił do pokoju i podniósł słuchawkę. Nie zdążył jednak powiedzieć słowa, gdyż głos człowieka z drugiej strony przewodu rozległ się szybciej, niż przypuszczał.

- To ty, Kuba – terkotała słuchawka. – Tu Wiśniewski, dzień dobry, złotko! Kochany, nie masz pojęcia, jak się diabelnie cieszę! Mój drogi, no, naprawdę! Nie wiesz, ile ja się gryzłem z tego powodu! Ach, mój Boże, jak to wspaniale!...

- Cóż się stało? – zapytał korzystając z krótkiej przerwy; widocznie człowiekowi z tamtej strony zabrakło tchu.

- Dzwonił do mnie Janek – skrzeczał głos z szybkością kulomiotu. – Mówił, że przestajesz pić. Czy to prawda?

- Prawda – rzekł. – Nie będę już pić od dzisiaj. Mam dosyć tego wszystkiego. Ty wiesz, jak mi się życie strasznie pokręciło przez wódkę. Nie mam bliskich ani przyjaciół; wszyscy się ode mnie odwrócili. Zacznę żyć inaczej. Musi się udać.

- Idziesz z Krystyną o szóstej po te pastylki, tak?

- Tak – odpowiedział. – Tak żeśmy właśnie z nią postanowili.

- Krystyna to wspaniała kobieta – terkotał głos. – I ona cię tak kocha. Tyle razy odchodziła od ciebie i zawsze wracała. Nie każda kobieta potrafiłaby to wszystko wytrzymać, Kuba. Mój Boże, jak dobrze, że zrozumiałeś to w końcu. Czy ona będzie brać dla ciebie te pastylki?

- Oczywiście – powiedział. – Mnie by przecież nie dali. Ktoś musi ze mną pójść, komu lekarze uwierzą. Przeważnie chodzą kobiety. Masz rację, że Krystyna mnie kocha. Nie każda kobieta by tam poszła. To nie musi być dla niej przyjemne, co?

- Oczywiście – potwierdziła słuchawka. – Ale Krystyna to dzielna kobieta. No, ja ci nie będę zawracał głowy. Powodzenia, słyszysz?

- Dziękuję.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

- Aha, słuchaj, jak się nazywają te pastylki?

- Jakie? – zapytał zdumiony, nie rozumiawszy w pierwszej chwili.

- Te, które mają ci dawać.

- Antabus.

- Antabus? – powtórzył bezmyślnie głos w słuchawce. – Antabus... Antabus, autobus... Muszę sobie zapamiętać. No, to cześć!

- Cześć – powiedział.

Odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni. Nalał sobie herbaty i pijąc ją, myślał o wszystkim, co zniszczyła w jego życiu wódka. Przypomniawszy sobie kobiety, które porzuciły go, gdyż brzydziły się jego pijaństwem; przyjaciół, którzy odchodzili od niego, gdyż brakło im sił do

perswazji; szanse, których nigdy już nie powtarzało życie; posady, które tracił; ukłony, na które nie odpowiadali ludzie – i nagle zimny strach zdławił jego mózg. Pomyślał: „Nigdy nie przestanę pić, jeśli będę wspominać tamte sprawy. Muszę o nich zapomnieć, nie wolno mi o tamtym wszystkim pamiętać. Wspomnienia przygniotą mnie; jeśli pozwolę, aby wracały, nie obronię się przed nimi. Nie wolno mi mieć tych wspomnień. W moim życiu musi być pusty plac, na który nie powinienem wracać...” Wypił duszkiem resztę herbaty i począł nalewać sobie następną szklankę. I wtedy zobaczył, że drżą mu ręce. „Nie wolno mi się denerwować – pomyślał. – Wszystko te złe myśli. Od dziś musi się to zmienić...” Tok jego rozmyślań prze-rwał ostry, natarczywy dzwonek telefonu. Podszedł, podniósł słuchawkę i powiedział zmienionym głosem:

- Słucham.

- Jak się masz, Kuba! Dzień dobry, tu Ryszard. Wyobraź sobie, leżę jeszcze w łóżku, a tu dzwoni Malinowski. „Słyszałeś?” – pyta. „Niby co miałem słyszeć?” – ja mówię. A Malinowski mi mówi: „Wiesz, kto do mnie dzwonił? Wyobraź sobie, Wiśniewski. Znasz przecież Wiśniewskiego. Bracie, pojęcia nie masz, co on mi powiedział. Myślałem, że skonam!” „No, mów wreszcie – wołam w słuchawkę. – Co się stało, u diabła?” Malinowski chwilę milczał, potem mówi do mnie: „On – przestał pić. Tak mówił dzisiaj rano Wiśniewski; podobno dzwonił do niego. Ale chyba nie wytrzyma, co?” „E, tam – mówię. – Dlaczego ma nie wytrzymać?” I proszę ciebie, zamknąłem mu twarz. Ale co, wytrzymasz?

- Wytrzymam.

- O to chodzi – zaryczała słuchawka. – Najgorsze te pierwsze dni. Ale potem już fraszka. Cha, cha, cha! Pamiętasz, jak się rozrabiało w „Kameralnej”? Tam był wtedy taki barman, pan Edzio. Niski, szczupły, jednym sztosem nalewał do sześciu kieliszków... Mój Boże, ale się piło! Pamiętam, jak pewnego razu obrazileś żonę Miedzińskiego. Ona z tobą chciała po-flirtować, a ty do niej: „Zamknij mordę, ty stara, ruda idiotko!” I potem skandal. Miedziński do ciebie, a ty go w pysk. Cha, cha, cha! A potem nas wszystkich zaprowadzili na komisariat, tam gdzieś na Bednarską. Straszna rozróbka! Słuchaj, to po tym cię wywalili z partii?

- Tak. To było właśnie po tym...

- Ejże – powiedział z niedowierzaniem głos w słuchawce. – Czy to możliwe? Mnie się zdaje, że cię wtedy wywalili, ale z pracy, tam gdzie poprzednio pracowałeś. A z partii to wtedy, jak przyszło wezwanie do sądu; pobileś jakiegoś majora w mundurze kiedyś, tak? Cha, cha, cha! Mów, wtedy, czy nie wtedy?

- Nie pamiętam – zaczął mówić śpiesznie, gorączkowo; czuł, iż wszystka ziemia ucieka mu spod nóg. – Niczego nie pamiętam. Nie chcę niczego pamiętać... – Nagle zawył: – Nie chcę, rozumiesz? O szóstej przyjdzie Krystyna i to wszystko się skończy.

- Czego krzyczysz? Ja do ciebie jak do człowieka, a ty jak do wroga... No, do widzenia! Wszystkiego najlepszego. Pozdrów ode mnie Krystynę. Swoją drogą, to ona ma z tobą krzyż pański. Moja żona to czasem mówi: „Żeby on jej tylko życia nie zmarnował przez to swoje picie. Dziewczyna niknie w oczach”. No, do widzenia... do widzenia... Cha, cha, cha! Antabus, autobus... Cześć!

Kuba odłożył słuchawkę i podszedł do lustra. Na czole miał grube krople potu, oczy lśniły mu dziko. Patrzył na swoją pobladłą twarz i nagle – objąwszy rękami ramę lustra – przytulił czoło do chłodnej tafli szkła. Serce trzepotało mu się bezładnie. „Żeby już była szósta” – pomyślał. Wypełniony nagle tym dręczącym pragnieniem, powtórzył raz jeszcze: „Szósta, szósta...” Podszedł do biurka, wziął stamtąd fotografię dziewczyny i patrząc na nią, zaczął przemawiać do siebie takim głosem, jakim się mówi do małego dziecka, które wyjadło konfitury.

- Nie mogę tego zrobić – mówił. – Nie mogę zrobić tego, co bym chciał. O szóstej przyjdiesz i pójdziemy tam. A przedtem nie wolno mi niczego wypić. Nawet piwa; nawet gdybym wypił piwo, to po zażyciu tych pastylek mogłoby się to dla mnie źle skończyć. O szóstej przyjdiesz po mnie i pójdziemy tam razem. Poproszę ciebie i ty im powiesz, żeby mnie o nic nie wypytywali, żebym nie musiał odpowiadać na te wszystkie pytania, na które już tyle razy odpowiadałem. Może się nawet uda tak zrobić, abym nie wchodził do środka? Na rogu tej ulicy jest taka mała kawiarenka i tam mógłbym na ciebie poczekać. Ty tylko przyjdiesz i weźmiesz te pastylki. Potem mi dasz i ja je zażyję; będę je zażywać co dzień i przestanę w końcu mówić, że jestem pijakiem. Tylko nie wolno mi tego zrobić, muszę poczekać do szóstej...

Kiedy znowu zadzwonił telefon, zaczął cicho płakać. Nie wypuszczając z rąk fotografii, podszedł do aparatu i stanął nad nim. Patrzył z nienawiścią na czarną, lśniącą skrzynkę. Wyciągnął rękę, lecz cofnął ją z powrotem. Znow odezwał się dzwonek. Kuba czuł, że pot spływa mu już nie po czole, lecz po całym ciele – po piersiach, ramionach i nogach. Trząśł nim zimny strach; raz za razem wyciągał rękę w kierunku słuchawki i cofał ją. „Przestań – prosił w myślach nieznanego rozmówcę. – Proszę cię, przestań. Odłóż słuchawkę i nie dzwoń. Odłóżcie słuchawki i zapomnijcie o mnie. O szóstej przyjdzie Krystyna i pójdziemy razem. Proszę cię, przestań...” Lecz telefon był nieubłagany; dzwonek powtarzał się raz po raz. Kuba

patrzył na czarną skrzynkę aż do kłującego bólu w oczach: potem małpim, nagłym ruchem porwał słuchawkę i wykrzyknął:

- Pomyłka, to nie ten numer...

Rzucił ją na widelki; nie mógł wyłączyć aparatu, gdyż sznur był wmontowany w małe, ebonitowe pudełeczko na ścianie. Poszedł do łazienki i stanął przed lustrem. Począł szybko namydlać twarz, wycisnąwszy na nią nieco kremu z tuby, lecz gdy usiłował osadzić żyłkę w maszynce, nie był w stanie, tak drżały mu ręce. Starł mydło z twarzy i zaczął ubierać się pośpiesznie. „Pójdę do fryzjera – myślał. – Ogołę się tam, może nawet każę umyć sobie głowę. Potem wrócę i nie ruszę się aż do szóstej, aż do chwili, kiedy przyjdzie Krystyna...”

Wiążąc krawat, przyjrzał się swojej twarzy i nagle zobaczył, iż nie zachodzi żadna potrzeba golenia jej – zarost miał jasny, niemocny, jak to zwykle bywa u blondynów; wystarczyło, że golił się co drugi dzień. Przypomniawszy sobie także, że nie ma potrzeby mycia głowy; ostatni raz głowę mył przed trzema dniami – była zupełnie czysta. Lecz na dnie jego wszystkich myśli wylęgać się zaczęło pragnienie, którego nie chciał sobie uświadomić zupełnie jasno, w całej ostrości – myśl o tym, co mogłoby się stać, ścięła mu oddech w gardle. Resztką woli postanowił, że nie wyjdzie z domu i tu czekać będzie na Krystynę. Lecz wtedy znów w ciszy pustego mieszkania rozległ się brzęk telefonu. „Szósta” – pomyślał rozpaczliwie. Chwilę stał nieruchomo. Potem – podcięty nowym dzwonkiem – rzucił się do drzwi.

II

Na ulicy, przed domem, stał dozorca. Był to młody człowiek o dobroduszej, tęgiej twarzy. Przypominał południowca – miał podłużne, gorące oczy, niebieski zarost, śniadą cerę i wspaniałe zęby. Kochały się w nim wszystkie ekspedientki okolicznych sklepów. Dozorca wkręcał żarówkę do trójkątnej lampy wiszącej nad emaliowanym szyldzikiem z numerem domu. Kiedy zobaczył wychodzącego Kubę, wypluł niedopałek, który trzymał mu się cudem w kąci pulchnych ust, i powiedział:

- Szanowanie. Ale pogódka, co?

- Jesień.

- W tym roku będzie cholerna zima – rzekł dozorca i zmrużył oczy; były one jednak tak wspaniałe, iż powieki nie zdołały przesłonić blasku. – Tak podobnie zapowiadali przez radio. Ale oni się zawsze mylą... Nie można im wierzyć. Do roboty pan leci?

- Nie – powiedział Kuba. – Zrobiłem sobie dzisiaj urlop. Mam do załatwienia ważną sprawę.

Dozorca roześmiał się; odsłoniwszy w uśmiechu zęby, mrużył jednocześnie oczy – za to go właśnie tak kochały; miał w sobie bez troskę i wdzięk Cygana.

- Do kogo ta pieśń? – rzekł. – Ja też wczoraj trochę pochlałem i wstałem dzisiaj późno. Przyszedł do mnie szwagier; on butelkę, ja butelkę, on flaszkę, ja flaszkę i już gotowi... Warszawa w kwiatkach, a my w rynsztoku. Pan zna Kostka, mojego szwagierskiego?

- Chyba nie... Nie przypominam sobie.

- On pana zna – powiedział piękny dozorca i uczynił uspokajający ruch ręką. – Nie bój się pan nic! On zawsze mówi do mnie: „Zenek, a co się dzieje z tym twoim lokatorem z szóstego piętra? To inteligentny człowiek. Wiozłem go raz z „Kamery” i obrzygał mi wózek. Ale dał stówę, honorowo, inteligentnie...” Szwagier pana lubi. Jeździ na wózku, pan wie. Swój chłopak, mówię panu. Życiowy, przejściowy, podejściowy. Jak pan chce, to możemy kiedy do niego podskoczyć na flaszkę.

- Teraz chyba nie – powiedział usiłując się cwaniacko uśmiechnąć. – Nie będę miał czasu, panie Zenku.

- Jak pan będzie miał czas – rzekł dozorca – to wpadnij pan do nas. Pan wie, jak to jest; trunkowy człowiek z trunkowym człowiekiem musi trzymać blat. Co pan taki cholernie blady? Może mi się zdaje? Ale nie, blady pan jesteś...

- Źle się czuję.

- Napij się pan kwaśnego mleka – poradził dozorca. – Najlepsze po chlaniu jest kwaśne mleczko. Potem zaprawka, zjeść na gorąco i można abaronto. Kwas z ogórków też dobrze robi. Poczekaj pan; skoczę do domu, może będzie jeszcze trochę.

- Nie – rzekł. – Dziękuję panu. Bardzo się spieszę, załatwię to na mieście. Cześć!

Odszedł przytknąwszy palcem w kapelusz. Szedł wolno; wirowało mu w głowie, dusiło go powietrze. „Szósta! – myślał. – Aby tylko do szóstej...” Zacisnął ręce aż do bólu paznokci. Musiał być istotnie bardzo blady, gdyż usłyszał za sobą rozmowę, którą prowadziło dwóch mężczyzn.

- Z samego rana gotów – mówił jeden.

- Ja go znam – rzekł drugi. – Mieszka w tym samym bloku, gdzie krawiec. Kawał ochlap-tusa.

- Życie Romana na tle chryzantemy – uzupełnił pierwszy. – A dlaczego my trzeźwe jesteśmy Janek?

- Tak to bywa w życiu Warszawy – skomentował drugi.

Przystanął i odwrócił się. Jeden z mężczyzn był starszym człowiekiem w mundurze tramwajarza; drugi nie mógł mieć ponad dwadzieścia lat, blondynek z perkatym nosem

- Czego chcecie, do cholery? – wykrztusił Kuba. – Przecież jestem trzeźwy...

Tramwajarz popatrzył na niego uważnie i powiedział:

- No, no! Pijaczek! Przejdź pan dalej!

- I nie zaczepiaj pan nieznajomych – dodał blondynek; zadarty nos skurczył mu się ze złości.

- Trzeba mieć trochę inteligencji. Na takich chuliganów, to ja kładę i dalej jadę.

Odsunęli go szorstko i przeszli. Patrzył za nimi z nienawiścią; gdyby miał władzę i mógł mordować, ci dwaj zostaliby przez niego zdeptani. Przymknął oczy i zobaczył ich zmasakrowane twarze z pustymi oczodołami. Pragnął przekazać im swoją nienawiść; pragnął, aby choć na chwilę odwrócili się. Tamci zniknęli za rogiem, a jemu zdawało się, że słyszy ich szyderczy śmiech. Machinalnie ruszył naprzód. Przechodzący obok niego mężczyzna rzekł do swojej towarzyszki:

- Chodźmy szybciej. Już po dziesiątej.

Kuba przesunął ręką po czole i począł przemawiać do siebie w myślach: „Już dziesiąta. Muszę wytrzymać jeszcze osiem godzin. Nie mogę iść teraz wcześniej, bo musiałbym iść bez niej; musiałbym odpowiadać na wszystkie te pytania, które będą mi zadawać, musiałbym mówić o sobie wszystko... Kiedy zacząłem pić, dlaczego piję, ile piję, jak wiele muszę wypić, aby być pijanym... Nie pójdę sam. To tylko osiem godzin. Potem pójdziemy tam i nie będę już potrzebował bać się czasu. Dadzą mi ten proszeczek i koniec. Nie będzie mi już wolno więcej tego robić. Nawet, kiedy obudzę się w nocy i nie będę mógł zasnąć. Kiedy nie będę miał apetytu. Kiedy będzie mi się śnił pusty plac, pełen dołów z wapnem. Wtedy tak łatwo się napić. Ale ja już nie będę mógł. Ta pastylka będzie mnie trzymać; ja sam nie będę potrzebował nic robić, ona tego wszystkiego dokona za mnie. Będę musiał jej być posłuszny, gdyż inaczej zaczną dziać się ze mną straszne rzeczy. Szoki, zapaście, a przecież mam słabe serce, mogę nawet wykitować. – Ta myśl ucieszyła go szczególnie i powtórzył: - Mogę przecież wykitować przez to cholerne serce. A ja mam bardzo niedobre serce, lekarze mi to niejednemu raz mówili. Może mnie naprawdę szlag trafić, jeśli po niej wypiję. Ona będzie mnie trzymać...”

Rozpogodziło się nieco. Wiatr osuszył chodnik, rozgonił mgły i oczyścił niebo. Nad miastem ukazało się słońce; przechodnie unosili twarze i rozpinali kołnierze palt. Kuba szedł z rękami w kieszeniach i patrząc w kamienie chodnika, myślał: „Potem będzie już zupełnie inaczej. Jeśli w ogóle do czegokolwiek można wrócić, wrócę do życia. Nie wiem, czy będę szczęśliwy, ale może nie będzie mi najgorzej. Będę razem z ludźmi; to już dużo. Nie jako pijaczek. Jako normalny człowiek. Ci, którzy nie są chorzy, nie są pijakami, nie wiedzą, ile to

naprawdę warte – być normalnym człowiekiem. Takim, który odpowiadać musi za każdy swój czyn, za każde swoje słowo i gest. Takim, któremu wolno tylko tyle, co każdemu. Którego nie usprawiedliwia żadna wyjątkowość, żadne przeszłe życie, żaden nałóg i choroba. Ludzie tego nie rozumieją. Ale ja będę takim człowiekiem...”

Na skrzyżowaniu ulic przystanął. Stał razem z grupką ludzi, lecz tak bez reszty pochłonięty własnymi myślami, że nie rozumiał nic z tego, co się dzieje dookoła. W pewnym momencie podniósł wzrok i zobaczył, że czerwone światło pali się tak jak i przed kilkoma chwilami. Ktoś stojący za nim mruknął:

- Czego nie przepuszczają?

I ktoś drugi natychmiast odpowiedział:

- Nie widzi pan? Wypadek...

Kuba zobaczył, że na jezdni tłoczy się grupka ludzi. Nie dojrzał niczego więcej, gdyż gęsto zbite plecy ludzkie przesłaniały mu wszystko. Odwrócił się i zapytał człowieka z tyłu:

- Co się właściwie stało?

Przyjemnie wyglądający oficer w mundurze lotnika odpowiedział mu:

- Nie mam pojęcia, proszę pana. Chodźmy, podejźmy tam...

Przeszli przez jezdnię i podeszli do tłumu. Oficer zapytał któregoś ze stojących ludzi:

- Wypadek?

- Wjechał jeden na drugiego – odpowiedziała jakaś kobiecina patrząc zalotnie na oficera.

– Ci kierowcy tak nieostrożnie jeżdżą, że aż strach przechodzić czasem przez jezdnię...

- Był zalany – uzupełnił twardo jakiś pan w cyklistówce.

- Zalany?

- Ma się rozumieć. Kierowcy naród trunkowy.

- Kary na łobuzów nie ma...

Kuba stał w milczeniu. Wytrzeszczał oczy na ludzi i nie widział ich. Nagle szarpnął oficera za rękaw.

- Pijany był? – zapytał prawie szeptem.

- Skądże ja mogę wiedzieć – odparł zdumiony oficer, delikatnie uwalniając rękaw. – Jestem przechodniem tak jak pan.

- Wszyscy jesteśmy przechodniami – powiedział Kuba. – Ale myślałem, że pan coś wie.

Oficer spojrział na niego uważnie i mruknawszy coś odszedł. Do Kuby zbliżył się jakiś pan o wyglądzie starego ziemianina i powiedział:

- Z tymi wypadkami samochodowymi to, melduję panu, już niemożliwe. Co dzień jakiś wypadek. Czytał pan ten artykuł w „Trybunie Ludu”? Melduję panu, proszę pana, że dziennie zdarza się kilka wypadków z powodu pijaństwa kierowców.

Dreptał koło Kubby i wymachując ogromnymi rękami, ryczał donośnym basem:

- Pijaństwo, melduję panu, to straszna rzecz. A najgorsze, że właśnie piją kierowcy. Pijany kierowca ma zmniejszony refleks i to z tego właśnie wszystko. Wie pan co? Ja napiszę otwarty list do „Trybuny Ludu” z propozycją, aby wprowadzono karę śmierci dla kierowców, którzy po pijanemu zabijają człowieka. Inaczej, melduję panu, nie damy rady. Co dzień wypadki; przedwczoraj na Targówku pijany szofer wjechał przez płotek do jakiegoś ogródka i zabił dziecko leżące w kołysce. Tak! Albo wie pan co? Jesteśmy, melduję panu, obywatelami i działamy w dobrej sprawie. Jest pan na pewno człowiekiem inteligentnym; napiszemy ten list wspólnie! Zacniemy od słów: „Na ulicach miast codziennie giną niewinni ludzie...” Albo nie, inaczej: „Miasto pije. Co dzień widzimy tarzających się w zwierzęcym stanie ludzi...” I dalej w tym sensie! A postulat ostateczny: kara śmierci dla kierowcy, który po pijanemu zabija człowieka! Ot co, melduję panu!

Stary ziemianin wyglądał na człowieka uszczęśliwionego. Lecz nagle uśmiech zgasł na jego dobrodusznej twarzy. Zobaczył tuż przed sobą białe, nieprzytomne ze wściekłości oczy Kubby.

- Ścierwo! – zasyczał Kuba. – Odejdź, bo zabiję!...

Odszedł i znów odezwało się w nim owo pragnienie, przed którym musiał się rozpaczliwie bronić jeszcze przez kilka godzin. Każdy człowiek idący naprzeciwko niego ulicą mrużył – zdawało się – oko i mówił: „No, nie wygłupiaj się, wypij sobie kielicha. Wszystko przestanie cię dręczyć, będzie inaczej. Pójdiesz tam jutro. Zdążysz. Zdążysz. Zacznij od jutra. Od jutra. Zdążysz. No powiedz: zdążysz czy nie zdążysz? Wypijesz i skończą się twoje złe sny. Ten wypadek wyda ci się zabawny. Twój stróż – po prostu głupi. Twoi znajomi, którzy w koszmar zamienili ci poranek, wydadzą ci się godni politowania ze swoją głupią troską. Pójdiesz tam jutro. Zmarnowałeś już tak wiele dni, cóż ci pomoże ten jeden? No powiedz? Pomoże ci ten jeden dzień? Życia nie uda ci się odkupić tym jednym dniem, mój drogi! Temu kierowcy też się nie uda. Życie to wiele dni. Wiele dni ci jeszcze pozostało. Zdążysz; nie możesz tam pójść w takim stanie. Jesteś przecież zupełnie wykończony nerwowo...” Odpowiadał im: „Przechodźcie dalej. Muszę wytrzymać do szóstej. O szóstej ona przyjdzie. Gdyby była w mieście, poszedłbym teraz do niej. Ale ona wróci dopiero po piątej; jest teraz za miastem, jej pociąg przychodzi piąta siedem. Dlaczego mnie namawiacie? Przecież wiecie, że ona pojechała za miasto, że pojechała tam załatwić mieszkanie dla nas. Tam będziemy miesz-

kać – ona i ja. Będę z daleka od miasta. Od knajp. Od was. Będę tam razem z nią. Ona będzie się mną opiekować. Ona – i te pastylki. Wszystko to zacznie się od szóstej. Przechodźcie dalej, przechodźcie dalej...”

Ulica rozjątrzyła go, dygotała. Każda napotkana twarz budziła w nim pomieszane uczucie wściekłości i przerażenia. „Uciekać!” – pomyślał. Rozejrzał się nieprzytomnym spojrzeniem i zobaczył, że znajduje się w pobliżu kawiarni; o tej porze powinno być tam przyjemnie i cicho. „Kawa – pomyślał z ulgą. Oczywiście, kawa!” Wszedł i usiadł przy stoliku; pachniało dymem, kawą, pluszami – wszystkie te zapachy łączyły się w jeden dziwny, słodki i tak trudny do określenia zapach kawiarni.

- Duża – powiedział do kelnerki, młodej dziewczyny w jasnym fartuszk.

- Duża – powtórzyła. Uśmiechnęła się przyjemnie i odeszła.

Po chwili wróciła stawiając przed nim filiżankę dymiącego płynu.

- Tak szybko? – powiedział zdziwiony.

- Podjęliśmy zobowiązanie – oświadczyła. – Goście skarżyli się na nas. Teraz jest trochę lepiej... - Uśmiechnęła się figlarnie i dodała: - Nasza praca świadczy o nas.

- Co takiego? – rzekł rozbawiony Kuba.

Nagle wrócił mu dobry humor. Zmrużył oko i powiedział do dziewczyny:

- Powinna pani nosić na szyi taką maleńką tabliczkę. Mogę pani przynieść srebrny łańcuszek...

- Jaką tabliczkę?

- Wie pani, taką, jakie co krok wiszą na mieście.

- U nas też wisi – rzekła.

- Gdzie?

- Nad bufetem. Niech pan popatrzy.

Kuba odwrócił głowę i spojrzał. Rzeczywiście, nad bufetem wisiało kilka tabliczek: „Nasza praca świadczy o nas”, „Picie wódki nie zakupionej w lokalu wzbronione”, „Osobom w stanie nietrzeźwym wstęp wzbroniony”, „Psów wprowadzać nie wolno”.

- Dziękuję pani – powiedział. – Śliczne tabliczki.

- Była jeszcze jedna – rzekła kelnerka i znów uśmiechnęła się figlarnie do Kuby. – Widzi pan przecież, ta o psach jest inna od pozostałych. Dopiero wczoraj ją zmienili. Parę dni temu przyszedł ten pijak, malarz Lewandowski, i stłukł ją laską, bo powiedział, że zaraz po pierwszym kupi sobie kaganiec, ale do tego czasu będzie pić kawę, więc żeby mu nie robić trudności. Mówię panu, kino było. Pan zna chyba pana Lewandowskiego. Pan wie, jaki on ma głos: jak zaczął krzyżeć, to goście pouciekali...

- Niech pani stąd ucieka – powiedział brutalnie, zrzucając jej rękę ze stolika. – Proszę się wynosić do swoich tabliczek. Ale już!

Dziewczyna popatrzyła na niego chwilę i odeszła; plecy jej lekko drżały. Spojrzał za nią i uczył coś w rodzaju satysfakcji; w myślach powtarzał najgorsze słowa pod jej adresem. Przymknął oczy i zobaczył tę dziewczynę oddającą się siedmiu mężczyznom naraz; i to ona była oczywiście pijana. Jak każdy pijak, Kuba miał plugawe wizje erotyczne; nawet kiedy leżał z kobietą, wystarczyło przymknąć oczy, a natychmiast wszystko wydawało mu się ohydne. Wreszcie uspokoił się jako tako. Wyciągnął rękę po filiżankę z kawą, lecz cofnął ją zaraz – tak drżała, iż bał się, że rozleje wszystek płyn. „Spokój – mówił do siebie – spokój... Nic się nie stało. Głupi przypadek, ot i wszystko. Ta mała też niczemu nie winna. Muszę ją przeprosić. Zrobię to zaraz, jak się tylko trochę uspokoję. Kupię jej jakieś kwiatki, koniecznie kwiatki. Powiem jej, że byłem zdenerwowany. – Natychmiast w głowie jego powstał plan kłamstwa. – Powiem jej – myślał – że matka mi umarła albo coś takiego. Albo, że mnie wywalili z pracy. Nie, lepiej matka... – Przymknął oczy i zobaczył siebie idącego w pochmurny, jesienny dzień za trumną matki: nikogo oczywiście nie ma, tylko on sam; ma bladą twarz i podsinione oczy. A może dziecko? – pomyślał. – Mała, trzyletnia córeczka? Nie, jednak lepiej matka...” Nagle rozczulony uspokoił się. Wziął do ręki filiżankę i pił parząc sobie wargi.

Do kawiarni weszła jakaś kobieta. Stała w drzwiach; mrużąc oczy, rozglądała się po Sali. Nagle spotkali się wzrokiem; na twarzy jej odbiła się radość i zdumienie. Szybko podeszła do stolika, przy którym siedział.

- To ty? – powiedziała nie dowierzając jakby. – Boże, co za spotkanie. Można?

- Siadaj, oczywiście – wybełkotał unosząc się z krzesła.

Był zdziwiony i uradowany jak i ona. Kobieta usiadła. Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, z owym szczególnym wyrazem zdziwienia i niedowierzania, jaki mają na twarzach ludzie spotykający się niespodziewanie po latach. Potem Kuba rzekł:

- Jesteś taka ładna jak wtedy.

- Jesteś taki miły jak zawsze.

- Skąd wiesz? Nie widziałas mnie tyle czasu.

- Są ludzie – powiedziała kobieta z uśmiechem – którzy potrafią oprzeć się temu wszystkiemu, co z innych czyni zgorzkniałców.

- Naturalnie – bezmyślnie powiedział Kuba.

Znów zapadło kłopotliwe milczenie. Potem kobieta rzekła:

- Cieszę się, że cię spotkałam. – Położyła dłoń na jego ręce i powiedziała raz jeszcze:

- Naprawdę, nawet pojęcia nie masz, jak się cieszę.

Uśmiechnął się. I nagle powróciło wszystko dobre, co przeżył kiedyś, będąc w tym samym mieście co i ona. Spojrzał na nią roziskrzonymi oczyma.

- Ja także diabelnie się cieszę – powiedział serdecznie i prawdziwie; wszystko, co przeżył dzisiejszego ranka, wydało mu się nikłe i nieważne. – Kiedy widzieliśmy się ostatni raz?

- Dawno – powiedziała. – Jakies siedem lat temu. Potem wyjechałeś.

- Musiałem – rzekł ze smutkiem. – Nie mogłem wytrzymać w tej dziurze... Ty tam ciągle mieszkasz?

- Mieszkam. Ale tam się wiele zmieniło. Odbudowali stare miasto, jest kupa świeżych ludzi. Nie miałbyś ochoty wrócić?

- Trudno mi powiedzieć – odparł niezdecydowanie. – Miałem tam dobre chwile. Ale nie chciałbym wracać tylko po to, aby się przekonać, że żadna z nich nie wróci... Czy ten stary kościół za rynkiem odbudowali?

- Częściowo – powiedziała zamyślnym głosem. – To był bardzo piękny kościół, trudno go doprowadzić do poprzedniego stanu. Powiedz, co u ciebie?

- Nie zadawaj takich zdawkowych pytań.

- Chciałabym się dowiedzieć.

- Pracuję. Mieszkam. Wszystko na ogół dobrze.

- Pamiętasz jeszcze coś z tamtych czasów?

- Wszystko.

- Mnie?

- Także.

- To dobrze – rzekła. – Chciałam, abyś o mnie pamiętał. Kobiecie jest to potrzebne. Ale wątpię, czy pamiętasz wszystko...

- Na pewno. Możesz mnie zapytać, o co chcesz.

Chwileczkę milczała. Potem rzekła:

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy mnie odprowadzałeś do domu po kinie?

- Wiele było takich wieczorów.

- Ale tamten był tylko jeden.

- Więc już wiem, który.

- Na jakim filmie byliśmy wtedy?

- Nie uda ci się. Mam dobrą pamięć. „Niepotrzebni mogą odejść”. Pamiętam do dziś twarz tego aktora.

- James Mason.

- To genialny aktor. Nie widziałem już potem nic tak wielkiego.

- Ja też. A pamiętasz, którędy szliśmy wtedy do mnie?

- Nad Odrą. Było cicho i ciepło, skrzeczały żaby, rybacy już odchodzili. Miałaś jasną sukienkę bez rękawów. Miasto było jeszcze wtedy w proszku. Księżyc pętał się nad ruinami. Dlaczego tak się czepiasz tamtych czasów?

- Kochałam wtedy.

- Milczałaś wtedy. Gdybyś powiedziała choć jedno słowo, wszystko byłoby inaczej.

- Bałam się – rzekła. – Bałam się tego, co mówią ludzie. Nie miałam odwagi. Teraz żałuję. Może rzeczywiście wszystko byłoby inaczej. Ale wtedy byłam tchórzem. Ludzie ostrzegali mnie i straszili. Teraz dopiero widzę, że to było niesłuszne. Teraz żałuję. Tak zawsze bywa, jeśli pomiędzy dwoje ludzi wtrącają się życzliwi; życzliwi odchodzą, zostaje żal. Ale nie mówmy już o tym. Wypijemy tę kawę i pożegnamy się.

- Przed czym cię ostrzegali?

- Przed tobą.

- Jestem taki straszny czy co, do diabła?

- Przed wódką – powiedziała wolno, nie patrząc na niego. – Mówili, że za dużo pijesz, że możesz zostać pijakiem. Tego się bałam. Mój ojciec zmarnował mojej matce życie. Ciągle czekała na niego, ciągle obiecywał poprawę. Potem przychodził pijany. Nie mam dobrych wspomnień z dzieciństwa, Kuba. Wszystko, czym żyję, to tamte dni z tobą... – Zawahała się, na moment, potem mówiła dalej: – Pamiętam, jak miałam dziesięć lat, pewnego wieczoru ojciec przyszedł pijany i stłukł matkę. Nie mogłam zasnąć. W środku nocy wstałam, podeszłam do niego i rąbnęłam go nożem. Byłam zbyt słaba, aby mu coś zrobić; skończyło się na pogotowiu i wrzaskach. Ale ja tej nocy nie mogę zapomnieć do dziś. Tego się bałam, Kuba; bałam się, że możesz przychodzić pijany i przypominać mi tamtą noc... Zresztą, po co ja to wszystko mówię? Chciałam tylko, żebyś wiedział, że cię wtedy kochałam. I że ogromnie żałuję, że nie jestem z tobą. Możesz zresztą nie pamiętać tego. Jak ci będzie wygodniej.

Odpowiedział po chwili:

- Zapomnij o tym wszystkim i nie żałuj niczego.

- Sama sobie zgnoić życie – rzekła cicho; twarz miała gorzką i starą.

Mówiła nie patrząc na Kubę:

- Rzygać mi się chce, kiedy mój mąż zbliża się do mnie. Zdradzam tego durnia co drugą niedzielę. Żeby się chociaż domyślał. Ponure, potulne bydlę. Nie wiem, po co żyję, jeśli nie kocham nikogo...

- Śliczna historia – powiedział Kuba.

Uśmiechnął się ponuro:

- Mnóstwo takich słyszałem w życiu. Kochali się, kiedy byli młodzi; noce, słowiki i tak dalej. A kiedy spotkali się po latach, ona była dziewczką, a on złodziejem. Nic mnie to nie obchodzi... – Nagle zrozumiał, że kłamie w sposób najohydniejszy, i począł mówić jeszcze śpieszniej: – Nie chcę żadnych wspomnień. Myślałem, że chociaż wtedy było coś dobrego, ale okazało się, że to tak samo wstrętne jak wszystko.

Pomyślał, że jeśli tego, co mu powiedziała, natychmiast nie zniszczy, stanie się z nim coś złego; znów będzie miał w życiu, poza sobą, jedną świętą sprawę bez powrotu. Uśmiechnął się szyderczo i mówił:

- Jestem trupozem. Chcę wszystko zniszczyć, mam to wszystko gdzieś. Jestem trupozem. Nie chcę niczego żałować ani zostawiać poza sobą.

I nagle, zdawszy sobie sprawę z tego, co zrobił, umilkł.

- Kuba – powiedziała rozpaczliwie kobieta. – Kuba...

Mówiła jeszcze coś, lecz on nie rozumiał tego. Patrzył na poruszenia jej ust, lecz słowa uchodziły jego uwagi. Nagle wstał i bez pożegnania ruszył do wyjścia. Zegar umieszczony nad bufetem, między tabliczkami, wydzwonił godzinę pierwszą.

III

Na ulicy zatrzymał się. Przeszedł parę kroków, lecz znów osadził go w miejscu okropny ból pod czaszką. Nie mógł zrozumieć, skąd wyszedł i dokąd idzie. Ludzie przechodzący patrzyli na niego z uśmiechem; był trupio blady, miał przekrzywiony krawat, kapelusz zsunął mu się z głowy. Ktoś powiedział: „Nie stój pan na środku. Kiliński, cholera...” Usłuchał i przesunął się machinalnie pod ścianę; oparł się o nią i natychmiast odniósł wrażenie, że cała ściana wypełniona jest biciem jego serca. Stał w miejscu i bał się postąpić kroku. Wiedział, że musi stać w miejscu i że nie wolno mu się ruszyć; jeśli ruszy się w tej chwili z miejsca, pójdzie pić i nie spotka o szóstej Krystyny. Nagle któryś z przechodniów zajrzał mu w twarz.

- Chory? – zapytał go.

Kuba nie zdążył odpowiedzieć, gdy tamten nagle roześmiał się szyderczo.

- Mietek – powiedział do swojego towarzysza – to ten sam gnojacz, który nas rano zaczepiał, poznajesz?

Tramwajarz podszedł i spojrzał na stojącego.

- Dojrzał – rzekł krótko.

Młodszy, z perkatym nosem, wsadził ręce do kieszeni i odsunął się o krok. Potem powiedział nienawistnie:

- To człowiek zasuwa po piętnaście godzin na dobę, a taki idiota chodzi od knajpy do knajpy. Ja cegłę, on flaszkę; ja wagon, on kawkę. Człowiek nie może kawałka wyciągnąć, a taki gnojarsz przepija tysiące. I skąd on na to ma?

Tramwajarz powiedział:

- Czort z nim. Chodź.

- Czekaj! – krzyknął młodszy z furią. – Ja jemu powiem, co myślę. Moja kobieta nie może sobie na palto uezierać, a ten...

Podszedł do Kuby i złapał go za krawat. Podniósł jego głowę do góry i uderzając nią lekko o mur, mówił:

- Ty wszarzu głupi! Czego ci brakuje? Żyć nie masz co, chodzić nie masz w czym? żebyś był takim łazarzem jak ja, to byś się nauczył życia...

Kuba oderwał się od ściany i uderzył go w twarz. Skłębili się i potoczyli na ziemię. Nie minęło sekundy, jak kolega tramwajarza chwycił Kubę za gardło i huknął jego głową o kamienie.

- Na kogo ty się rzucasz, łachudro? – powiedział. – Na chłopaka z Muranowskiej? Patrz, co ja z tobą zrobię...

Lecz nie zdołał uczynić już nic; nadspodziewanie szybko zjawił się milicjant i rozdzielił ich.

- Od rana łobuzeria? – zapytał starając się nadać swej znudzonej twarzy wyraz zgrozy.

Młodszy popatrzył na niego nieprzytomnymi oczyma i nagle zaryczał:

- A zabierz mnie! Weź mnie! Mnie na życiu nie zależy. Czy ja mam chociaż pół tego co on? Wiążcie mnie! Wiążcie mnie!

Tramwajarz szarpnął go za ramię.

- Janek, nie wygłupiaj się! – krzyknął.

Odwrócił się do milicjanta i powiedział:

- Wszystko przez tego pijaka. Zaczepił kolegę publicznym słowem. Skarz mnie jedyny Bóg, że tak było! – uderzył się ręką w piersi.

Milicjant przytrzymał młodszego, który znów szarpnął się do Kuby.

- Bez cudów – powiedział ostro. – Pójdziemy się przejść. Pan też...

- Nigdzie nie idę – wycharczał Kuba.

Bezradnie, ruchem ślepeca ocierał z twarzy błoto pomieszane z krwią. Popatrzył na milicjanta i krzyknął histerycznie:

- Nigdzie nie idę! Nie zmusicie mnie!

- Eee – powiedział przeciągle milicjant. Poprawił pas na sobie. – Może się założymy? Nie będzie pan dla mnie taki Paramonow. Już, zbieraj się pan!

Kuba podniósł się z ziemi i poszedł za nimi. Pierwszy szedł tramwajarz starając się pa-trzeć w ziemię, potem Kuba z Jankiem, na końcu milicjant; milicjant gwizdał fałszywie melo-dię „O, mój papo”. Zaraz za rogiem ulicy przyłączył się drugi milicjant.

- Trzech Jurków masz? – zapytał wesoło.

Miał delikatną, dziewczęcą twarz, pokrytą puszkami. Oczy jego były piwne; patrzył na Kubę z zuchwałą ciekawością. Za nimi postępowali gapie. Jakiś głos kobiecy powiedział:

- Rozdarł mu jesionkę...

- Taki materiał to od cholery pieniędzy kosztuje – rzekł ktoś niskim basem.

- Wełniany...

- To bandyci? – zapiszczał jakiś chłopiec.

- Pryskej do domu, szczeniaku...

- To te, co okradli sklep na Grochowie?

- Panie, co ja jestem – informator? Zapytaj się pan milicjantów...

- Kto nie pyta, nie siedzi...

Minęli kilka ulic i znaleźli się pod komisariatem. Młodszy milicjant powiedział szyderczo:

- Witamy panów w naszym skromnym uzdrowisku. Panowie będą łaskawi...

Tramwajarz warknął:

- Po co pan pajacujesz? Z łobuzerią masz pan do czynienia czy co?

Milicjant się roześmiał:

- Za niewinność pan siedzisz, nie?

Tramwajarz spojrzał pogardliwie na milicjanta; przeżuł bezgłośnie jakieś przekleństwo, lecz nic nie odpowiedział. Zgarbił się nagle i zamilkł. Jego młodszy towarzysz spluwał co chwila. Kuba milczał; w głowie miał szumiącą pustkę. Weszli do dyżurki. Siedzący za stołem sierżant podniósł wzrok znad jakichś papierów; potem – nie rzekłszy słowa – powrócił do swej roboty. Milicjanci zapalili papierosy. Kuba, tramwajarz i Janek stali oparci o barierę. Sierżant spojrzał na nich piwnymi oczyma i rzekł krótko:

- Nie opierać się. Nie latarnia. Dowody.

- Ja... – począł mówić Janek, lecz sierżant nie spojrzawszy nawet na niego, przerwał:

- Dowody. Potem się wyszczególnicie, obywatelu.

Poczęli wykladać na stół swoje papiery. Sierżant wziął do ręki dowód Kubę; przeczytał go rubryka po rubryce, potem zapytał:

- Imię?

Kuba milczał przez chwilę. Ciężkim wzrokiem patrzył na portrety dostojników wiszące na ścianie. Potem roześmiał się i rzekł:

- Pijak.

- Aha – powiedział sierżant.

Obrzucił Kubę krótkim spojrzeniem i zapytał ostro:

- Nazwisko??

- Pijak.

- Zawód? Też pijak?

- Też.

- Ładnie – rzekł sierżant; w jego oczach pojawiło się zainteresowanie. – Przykro mi, ale w dowodzie nazywa się pan Kowalski.

- Nieprawda – powiedział Kuba. – Nieprawda... Nazywałem się Kowalski. To było dawno i niczego nie dowodzi. W tym kraju są tysiące Kowalskich. Może czasem nazywają się Kwiatkowscy, może Piotrowscy, może jeszcze inaczej... To nieważne...

- Nie siedział pan jeszcze nigdy, co?

- Nie – skłamał Kuba.

- Nie szkodzi – pogodnie stwierdził sierżant. – Posiedzi pan teraz.

- Tłukli się na ulicy – powiedział jeden z milicjantów.

- Akurat miałem obchód; patrzę, a tu się leją. Kiedy podszedłem do nich, tarzali się po całym chodniku. Kto to słyszał, robić awantury w biały dzień?

- Daj im spokój – powiedział młodszy milicjant i dowcipnie zmrużył oko. – Oni udawali, że się bawią w berka. A ty do nich tak całkiem nie jak człowiek...

Nagle rozległ się idiotyczny śmiech. Do dyżurki wkroczył nowy milicjant taszcząc przed sobą malutkiego człowieczka w zielonym kapeluszu. Człowieczek wyrwał się na środek izby; zatoczywszy się gwałtownie spojrział na sierżanta i krzyknął tryumfalnie:

- Trójeczka, tak?

- Zgadza się – powiedział sierżant.

- Dawna jedynka, tak?

- Zgadza się.

- Ulica Bednarska dwadzieścia trzy, tak?

- Wszystko gra – powiedział sierżant. – Jak zwykle, obywatelu Rybicki. A teraz rozbierajcie się.

Człowieczek znów zachichotał, potem rzekł:

- Sierzancie, wiedziałem, że tak będzie. Na trójkę zawsze trafię. Cóż ja zrobię? – krzyknął zwracając się z błazeńskim gestem do Kuby. – Żona mi umarła. Mogę być pijany czy nie?

- Uspokójcie się, Rybicki – powiedział sierżant. – W zeszłym tygodniu obchodziliście śmierć ukochanej córki, tak?

- Zeszłego pierwszego – powiedział milicjant, który przyprowadził człowieka – też miał stypę po żonie. Nawet mi fotografię pokazywał, tylko coś mu się pokręciło, bo tam był łysy facet z wąsami. Pamiętam, że jeszcze trzy miesiące temu też opłakiwał śmierć ukochanych bliźniaków...

- Widocznie ma wyjątkowo zły rok – powiedział sierżant. – No, Rybicki! Rozbierajcie się!

Człowieczek zaczął się rozbierać bez protestu. Wyciągnął wszystkie dowody; potem wyszczerbiony grzebyk, chusteczkę, tandetny scyzoryk, lusterko; wszystko to poukładał skrupulatnie przed sierżantem i zapytał:

- Paseczek też?

- Oczywiście – powiedział sierżant. – Oczywiście... Przecież wy wiecie, Rybicki, że tu jest stara, kochana trójka, gdzie na dechy idzie się bez paseczka. Paseczek to rzecz niebezpieczna w tym stanie; można sobie ukręcić pętelkę, a co by wtedy zrobiły te wszystkie groby waszych żon? Kto by koło nich chodził? No, Rybicki, powiedzcie...

- Zgubiło mnie szczęście do kobiet – powiedział człeczyna. – Sznurowadełka też?

- Sznurowadełka nie.

Człowieczek zaśmiał się krótko.

- Nie zginę na trójce, co sierzancie? – zapytał.

- Nigdy.

Odprowadzono go do celi. W drzwiach zasalutował sprężyscie. Potem rozległ się trzask zamka i zaraz potem śpiew. Człowieczek śpiewał: „Nocą nad brzegiem rzeki siedziałem z gitarą...” Głos miał zdarty i brzęczący. Sierżant powiedział:

- Śpiewa „Andaluzję”. Tak jak zwykle. Zaraz będzie miał atak. Założyliście amerykanki?

- Tak – powiedział milicjant. – Ręce i nogi. Żeby sobie tylko łba nie rozwalił... Może zadzwonić po pogotowie?

- Nie przyjadą – zmęczonym głosem powiedział sierżant i stuknął papierosem o stół. – Gdyby chcieli jeździć do każdego deliryka w mieście, to by była dopiero ładna historia...

Wstał, przeciągnął się i podszedł do okna. Na dworze było już szaro; brudny zmierzch kłębił się w ulicach.

- Cholera – powiedział sierżant zapalając papierosa. – Amerykanki, komisariaty, mandaty... Co to wszystko da? Więcej nadziei, więcej radości miastu. Niech to diabli wezmą.

Odwrócił się od okna i podszedł do bariery. Był wysoki; twarz miał złą i zmęczoną. Stał przed Kubą i patrząc na niego z niesłychaną pogardą, powiedział:

- Kiedy byłem w partyzantce, myślałem, że jak skończy się ta cała zabawa, będziecie inaczej żyli. Na myśl mi nie przyszło, że zostanę sierżantem milicji i że będę musiał odbierać wam paski. Niech was wszyscy diabli porwą...

Wtedy rozległ się straszny, zwierzęcy ryk. „Yyyy... – wył człowiek za ścianą. – Yyyy...” Głos jego przeszedł w ton tak wysoki, że wszystkim mróz przebiegł po plecach. Tramwajarz pobladał; jego młodszy kolega mrugał bezradnie oczami jak człowiek nagle oślepiiony światłem.

- Zaczęło się – powiedział sierżant. – Boże, żeby można mu było zamknąć mordę.

Popatrzył na Kubę przekrwionymi z bezsenności oczyma i zapytał:

- Gdzieście się upili?

- Nie jestem wcale pijany – powiedział tramwajarz i wzruszył ramionami.

- Nikt nie jest pijany – z trudem powiedział Kuba. Drżały pod nim nogi. – To moja wina. Ja uderzyłem tego człowieka – wskazał ręką na kolegę tramwajarza.

- O co wam poszło?

- O nic.

- Więc dlaczego pan go uderzył?

- Zdenerwowałem się.

- Słuchajcie, obywatelu – z gniewem powiedział sierżant. – Mógłbym was wszystkich potrzymać, aż byście się nauczyli chodzić po ulicy. Zapłacicie mandat i pójdziecie do domu. Ale nie chcę was tu widzieć dzisiaj; teraz pewnie pójdziecie się pogodzić, tak to już bywa. Rozumiecie, obywatele?

Nie zdążyli odpowiedzieć. Drzwi dyżurki otworzyły się gwałtownie. Do środka, szamocząc się z pijanym mężczyzną, wkroczyło dwóch milicjantów. Mężczyzna wrywał się gwałtownie, szarpiąc i odpychając. Oczy miał szalone, nabiegłe krwią.

- Łapki – syknął jeden z milicjantów.

Podskoczyło ku niemu dwóch jeszcze i z trudem nałożyli kajdanki. Pijany charczał i pluł. Czoło miał potłuczone, usta – rozcięte. Rozdarta koszula ukazywała spoconą, zarośniętą pierś.

- To Polska Ludowa tak robi? – krzyknął patrząc na wszystkich z nienawiścią. – Przeklinam!... – Podniósł głowę do góry; długo patrzył na zegarek i nagle powiedział:

Chamy mnie związali dziś o trzeciej. Staśka Kołaczewskiego z Woli...

- Jesteście wolni – powiedział sierżant.

Wyglądał na człowieka bardzo zmęczonego; powieki mu opadały na oczy, garbił się.

- Jesteście wolni – powtórzył i odwrócił się.

„Yyyyyy” – dobiegło zza ściany; krzyk przeszedł w jazgot, potem rozległo się ciężkie uderzenie i zapadła cisza. Kuba, tramwajarz i Janek odebrali swoje dokumenty i wyszli przed komisariat. Paliły się już latarnie. Ulica była pusta. Od Wisły ciągnął lodowaty wiatr. Janek powiedział:

- Nie miej pan żalu.

- Nie mam żalu – powiedział Kuba i wzruszył ramionami.

Tramwajarz rzekł:

- Teraz jest dziesięć po trzeciej. Na piątą idę do roboty. Możemy się napić. – Uśmiechnął się do Kuby i dodał:

- U mnie jesteś pan charakterny chłopak...

- Dziękuję – powiedział Kuba. – Niestety, nie mam czasu.

- My idziemy w tamtą stronę – powiedział młodszy nie patrząc na Kubę. – Niech to wszystko szlag trafi.

- Tak – potwierdził Kuba. – Niech to wszystko szlag trafi. Do widzenia.

Odszedł zaszalowany i prawie biegiem parł przed siebie. Był wypełniony jedną, jak ściśniętą żyłą pulsującą myślą, że natychmiast – dopóki wszystko, co przeżył, jest jeszcze dostatecznie silne i usprawiedliwiające, dręczące i straszne, dopóki nie ochłonie, nie opamięta się, nie zastanowi – musi napić się wódki. W tej chwili czuł wielką wdzięczność do świata, do dzisiejszego dnia i do ludzi, którzy wepchnęli go w to; w jego sumieniu otworzyła się furtka, przez którą mógł wyrzucić wszystko, co było mu w tej chwili nieprzydatne, wszystko, co przeszkodziłoby mu się napić. Czuł wielkie, aż rozsadzające piersi, bolesne szczęście; owo dziwne szczęście upokorzenia samego siebie, jakiego doznaje tylko pijak.

Począł padać deszcz. Ludzie kulili się z zimna; podnosili kołnierze palt i przemykali pod murami. Ciemność nadciągała nad miasto; wysoko, za brudnymi chmurami, umierało światło dnia. Zapalały się pierwsze okna; wiatr kołysał latarnie i zamiatał ich światłem kałuże. „Udręka – pomyślał Kuba przymknawszy oczy. – Udręka...” Zaczepił jakiegoś chłopca i zapytał:

- Gdzie tu jest knajpa?

- Tu pełno tego – powiedział chłopiec. – Najbliższa za rogiem. „Pod Orłem”, tak?

- Może być – powiedział Kuba. – Gdzie to jest?

- Zaraz za rogiem – rzekł chłopiec i wskazał ręką.

Po chwili Kuba wszedł do środka. Pachniało piwem, starymi zakąskami i zjełczalym tłuszczem; na suficie od lata kołysały się lepy pełne zeschniętych much. Nad bufetem rozpostarł szeroko skrzydła wypchany orzeł; obok, z afisza o ohydnych barwach, strzelały wielkie litery. „Alkohol to twój wróg” – odczytał Kuba. „Zostań górnikiem” – namawiał drugi afisz. „Nawet dowcipne!” – pomyślał i uśmiechnął się. Stanął przy ladzie i pstryknął w palce. Bufetowa podeszła.

- Jedna duża – powiedział Kuba; zsunął kapelusz na tył głowy.
- Bufetowa przyjrzała się jego potłuczonej twarzy i powiedziała:
- Wypadek przy pracy?
- Po pracy.
- Co się stało?
- Jedna duża – powiedział z udręka w głosie Kuba.
- Zakąskę pan życzy?
- Może być.
- Śledzik?
- Może być.
- Piwo?
- Może być.

- Ale tylko porter – rzekła rozkładając ręce; była równie brzydka jak afisze, pomiędzy którymi stała. – Inne piwa na razie nie ma. Przywożą nam o piątej. Teraz jest... – Odsunęła rękaw kitla i spojrzała na zegarek. – O, jeszcze wcześniej! Wpół do czwartej.

- Niech pani da porter – wymamrotał Kuba. – Szybciej, proszę...

- Przecież się nie pali – powiedziała odsłaniając w uśmiechu końskie zęby. – W cienkie szkło nalać czy w grube?

- Wszystko jedno. Wódka to jest wódka. Nie jestem pijakiem.

- Ale klienci mają różne wymagania – rzekła. – Czasem trafia się taki, co nie wypije z grubego szkła, żeby tam nie wiem co. Czy pan jeszcze co życzy?

- Nie – powiedział Kuba i energicznie potrząsnął głową. – Nie będę więcej pić. Tylko ta setka i do domu. Koniec. Albo wie pani co? Jeszcze jedną, od razu...

Wypił i postawił kieliszek na ladzie. Odetchnął. Potem wypił jeszcze jedną wódkę. „Źle robię – mówił do siebie. – Przecież wiem, że źle robię, że nie mogę już zrobić nic gorszego. Przed chwilą też to wiedziałem; wiedziałem, że wódka to najgorsza rzecz, jaka mogła mnie dzisiaj spotkać. Jeszcze mógłbym się w tej chwili opamiętać...” I nagle zimna łapa strachu zdławiła mu mózg.

- Jeszcze jedną – powiedział szybko.

Wypił i myślał dalej: „Wiedziałem i – nie opamiętałem się. Jestem pijakiem. Wiem, że wódka to moja śmierć. Wiem czy nie wiem? Wiem. A mimo to napiłem się. Krystyna nie ma już po co przychodzić o szóstej. Nic z tego dziś nie będzie. Zacznę od jutra... – Nagle roześmiał się cicho. – Od jutra? – powtórzył w myślach. – Od jutra... Największym nieszczęściem każdego pijaka jest to, że zaczyna od jutra, a nie od dziś. Ja przecież jasno wiem, co zrobiłem...”

- Zapomina pani o mnie – powiedział głośno.

Bufetowa zbliżyła się ku niemu z butelką.

- To już czwarta – rzekła.

- Sam znam tabliczkę mnożenia.

Wypił; odetchnął głęboko i zapalił papierosa. Ręce miał zwinne i mocne, nie trzęsły się już tak jak rano. Patrzył na nie z przyjemnością. Koło niego ktoś powiedział z uznaniem:

- Zdrowo pan ciągnie.

- Napije się pan ze mną? – zapytał; tamten był niskim, tęgim, łysiejącym mężczyzną o porowatej cerze.

- Chętnie – powiedział grubym głosem porowaty. – Ale ja jestem pusty.

- Ja pana zapraszam.

- Nie znamy się.

- Ja pana znam.

- Mnie? – zdumiał się porowaty.

- Tak. Pan się nazywa Kowalski.

- To pomyłka – powiedział porowaty. – Nazywam się...

- Ach, do diabła – znudzonym głosem przerwał Kuba. – Czy to nie wszystko jedno? Jak pan się nazywa, jak ja się nazywam? ...I tak nas wszyscy znają.

- Ludźmi jesteśmy – powiedział porowaty.

- To szlachetne z naszej strony. Szefowa, dwie wódki.

Bufetowa znów podeszła z butelką. Nalała i rzekła:

- To będzie razem sześć.

- Zgadza się – powiedział Kuba. – Jestem już zabryzgotony.

Odeszła. Przez chwilę milczeli patrząc na siebie; porowaty – z zakłopotaniem, Kuba – z satysfakcją.

Ulicą, turkocząc, przejechał ciągnik. Potem porowaty podniósł kieliszek.

- Najlepszego.

- Najlepszego – rzekł Kuba.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Kubę ogarnęło ciepło; szczęśliwe, bolesne, wypełniające każdy kawałeczek ciała ciepło. Nie był już szmatą; był młody, silny i zdrow. Bufetowa stała się nagle podobna do Lollobrigidy, porowaty wydawał się wcale sympatycznym człowiekiem, bar – przyzwoitym, ciepłym, mądrym miejscem na ziemi.

- Jeszcze raz – powiedział Kuba.

Bufetowa nalała.

- Jeśli pani powie „osiem” – rzekł Kuba – to dziś odbiorę sobie życie.

Uśmiechnęła się figlarnie i rzekła:

- Osiem.

IV

Odeszła w głąb baru, kołysząc szerokimi biodrami. W kuchni ktoś krzyknął wściekle: „Schabowy dwa razy”. Na ladzie syczał niklowany express; odbijały się w nim zdeformowane twarze siedzących. Górnik z afisza uśmiechał się wyrozumiale; orzeł podrywał do lotu swoje twarde, wspaniałe skrzydła. Kuba bezmyślnym ruchem poprawił krawat i wznosząc kieliszek, rzekł:

- Napijemy się.

- Pod co? – zapytał porowaty. Miał oczy uszczęśliwione.

- Pod orła. Pasuje?

- Pasuje – odparł tamten. – Pod tego ptaszka przepiłem już mnóstwo forsy. Odjazd.

- Cześć – powiedział Kuba gromkim głosem.

Znów spojrzał na górnika i orła, i zmrużył do nich oko. Potem spojrzał na porowatego, który już wypił i wachał chleb z twarzą strasznie wykrzywioną. Na skroniach miał resztki kędzierzawych włosów; nos jego był krótki i tępy. „Wyłysiałeś, biedaku” – pomyślał patrząc na niego Kuba. I nagle ogarnęła go fala rozrzewnienia.

- Wie pan co – powiedział serdecznie, kładąc dłoń na jego ramieniu – wypijmy brudzia. Ja jestem swój, zwyczajny, prosty chłopak. Mam kiepskie życie, niech mi pan wierzy... Lubię takich, jak pan. Zgoda?

- Zgoda.

- Na imię mi Kuba, a tobie?

- Mnie Władek.

- Władek, Władek... – powtórzył Kuba; wydało mu się, że całe piękno świata zawarte jest w tym imieniu. Znów popatrzył na niego wzrokiem najczulszej kochanki.

- Władek – powiedział kładąc dłoń na jego ręce – zamów wódkę. Ja stawiam.

- Szefowa – zawołał Władek głosem zza grobu. – Dwie wódki. Tylko szybko, bo nam się do szkoły śpieszy...

Kuba zachichotał uszczęśliwiony i klepnął Władka w plecy. Bufetowa nałała; tym razem odeszła bez słowa, notując sobie coś na kartce.

- Pij – powiedział Kuba wręczając Władkowi kieliszek. – Jak Bóg da i partia pozwoli, to spotkamy się jeszcze kiedy, nie?

- Obowiązkowo.

Wypili. W kącie grający od dłuższego czasu harmonista zaśpiewał pękniętym głosem:

„Dzień jak co dzień,

Ponury dzień jak co dzień.

Zepsuty zlew, za oknem mgła.

Krople deszczu o brudne biją szyby.

Sąsiad podle na pianinie gra...”

- Niech to wszystko diabli wezmą! – powiedział Władek.

- Słuchaj – rzekł Kuba. – Ja lubię takie piosenki...

Harmonista śpiewał:

„Powiedz, miła, dlaczego ciebie nie ma.

Czemu serce tęsknota żre jak rdza?

Dzień jak co dzień, ponury dzień jak co dzień.

Tylko wódka zapomnienie da...”

Przejechał z rozmachem palcami po klawiszach i skończył. Odpiął pasy i położył harmonię na krześle. Potem wstał i podszedł do bufetu. Oparł się o ladę tuż obok Kuby; oczy miał wielkie, ciemne, lecz bez światła; w jego zmiętej twarzy robiły dziwne, niepokojące wrażenie. „Boże – pomyślał Kuba – cóż za piękne oczy. Skąd takie oczy?” I nagle uczył dręczącą potrzebę powiedzenia czegoś dobrego temu człowiekowi.

- Ładnie pan gra – rzekł przelknąwszy ślinę. – Bardzo lubię takie piosenki.

Harmonista spojrział na niego; uniósł powieki i wtedy Kuba zobaczył, że oczy tego człowieka są puste jak wyschła studnia. Kiepska marynareczka wisiała na nim jak łachman; nie czuło się w tym człowieku mięśni i ciała. Chudą szyję okręconą miał bawełnianym szalikiem.

- Zagrać panu „Francois”? – zapytał Kuba.

- Nie. Nienawidzę walców.

- A „Tamarę”?

- Też nie. Co pan jeszcze potrafi?

- Potrafię tłumaczyć sny – ze złością powiedział harmonista. – Kiedyś miałem gabinet na Wspólnej. Ale wszystko się skończyło.

- Władek – powiedział z zachwytem Kuba, wykonując pełen rozmachu gest. – Władek, on potrafi tłumaczyć sny...

Zwrócił się do harmonisty:

- Czy pan potrafi tłumaczyć wszystkie sny?

- Wszystkie – powiedział apatycznie harmonista.

Patrzył w kałużę na ladzie.

- Dobrze i źle.

Kuba poprawił kapelusz. Oparł się wygodnie o bufet; ciężkim wzrokiem patrzył na Władka i harmonistę; byli oddaleni o tysiące kilometrów, o mgłę; byli przyjacielscy, kochani, dobrzy i czuli; oni jedni mogli mu w czymś pomóc – nikt inny na ziemi. Ogarnęła go nagle dzika, niepohamowana chęć zgrywy; owo uczucie niedające się porównać z żadnym innym ludzkim uczuciem. Szczęście, jakiego doznaje pijak w momencie zgrywy, jest szczęściem najpełniejszym na ziemi. Za ów moment, kiedy patrzy w czyjąś twarz oczekując na niej wstrętu, litości czy przerażenia – pijak odda wszystko, chociaż wie, że przyjdzie chwila, kiedy kurczyć się będzie owo wspomnienie.

- Miałem dziwny sen – powiedział w zamyśleniu, patrząc bacznie w ich twarze. – Gdyby pan mógł mi ten sen wytłumaczyć... Taki sen zdarza się chyba tylko raz w życiu. Niedobry sen. Boję się pomyśleć o nim, tak mnie zmęczył...

- Mów – rzekł bełkotliwie Władek.

Bawił się chusteczką do nosa, zawiązując na niej supły.

- Mów. Harmonista ci wszystko wytłumaczy. Artyści znają się na takich rzeczach.

Harmonista wpatrywał się w kałużę na ladzie. Kuba przesunął ręką po czole; było zimne i lepkie od potu.

- Miałem dziwny sen – powtórzył wolno. – Śniło mi się, że jestem pijakiem. Że jestem dobrym inżynierem, że nazywam się Kowalski, że mam dobre mieszkanie, że w mieszkaniu moim jest telefon... Rozumiecie to? I śniło mi się, że chcę zapomnieć o swoim pijaństwie, zapomnieć za wszelką cenę. Odejść od tego, od ludzi, z którymi piłem, od knajp, od wspomnień... Tak czasem bywa we śnie, prawda? We śnie nie można od niczego uciec; i to jest

najgorsze w snach. Śniło mi się, że każdy człowiek, którego spotykam na ulicy, mówi do mnie: „Dzień dobry, pijak”. Śniło mi się, że bez przerwy dzwonią do mnie ludzie, pytając: „No, jak tam, masz kaca? No, jak tam, chlałeś w nocy? No, jak tam było wczoraj? Czy pamiętasz, jak wtedy po pijanemu rozbiłeś lustro? Czy pamiętasz, jak wtedy po pijanemu pobiłeś milicjanta? Czy pamiętasz, jak porzuciła cię narzeczona?...” Tak pytają. A ja o wszystkim pamiętam. Czasem widzę te wszystkie pijane twarze, które widziałem w życiu. Ustawiają się przede mną, patrząc na mnie, wyciągają się do mnie... Pokazują mi palcami i mówią: „Ty jesteś pijak, ty jesteś alkoholik ty pijesz, pijesz, pijesz...” Nie mogę uciec przed nimi. Zasłaniam oczy ręką i widzę je wszystkie jeszcze bliżej. Zasłaniam uszy i wtedy, zamiast ich krzyku, słyszę szept: „Pijak, pijak, pijak...” – Głos Kuby przeszedł w bełkot; uniósł do góry rękę, jakby chciał nimi zmiażdżyć Władka i harmonistę. – Ooo! – bełkotał. – Strasznie męczy mnie taki sen, pojęcia nie macie. A śniło mi się jeszcze wiele takich rzeczy... Kraj dziwny, ciężki, trudny kraj. Kraj, w którym tyle trzeba robić, tyle trzeba pracować, tyle trzeba mieć nadziei i serca... I to jest mój najgorszy sen; śni mi się, że jestem zupełnie sam w tym kraju. Że nigdy już nikt nie będzie miał do mnie zaufania. Że w ankietach, w każdej rubryce mam napisane: „Pijak”. Że nie mam wspomnień. Że nazywam się pijak. Każde moje wspomnienie zaczyna się od wódki i kończy się na kacu. Śniło mi się, że moja matka przeze mnie rozchorowała się na serce i umarła. Że jedna z kobiet, z którymi żyłem, nie chciała mieć dziecka z pijakiem; popsuła się i umarła. Że nie mam przyjaciół. Wszyscy ode mnie odeszli. Oszukuję dziewczynę... okropny sen – szepnął.

Wpatrzył się w twarz harmonisty i powiedział:

- Ale to sen, co? W życiu to chyba niemożliwe? Mimo wszystko życie nie jest jednak okrutne, prawda?

- Nie warto mieć złych snów – powiedział harmonista.

- Co zrobić, żeby dało się zapomnieć?

- Niech pan się napije wódki – powiedział harmonista.

W dalszym ciągu patrzył w kałużę.

- Przejdzie. Wszystko przechodzi. Nie ma gorszego snu jak życie. I też przechodzi. Przepraszam, muszę iść grać, goście czekają...

Odszedł, dziwacznie stawiając długie nogi. Bar był już pełen ludzi; powietrze stało się mętne od dymu, twarze siedzących przy stolikach – rozmazane. W kącie pod oknem pijane towarzystwo śpiewało kujawiaka: „Zawalił się sracz”. Raz po raz brzęczał dzwonek umieszczony nad drzwiami; ludzie wchodzili i wychodzili. Z okienka do kuchni co chwila wychylała się tłusta twarz kucharza; dwie tandetnie umalowane kelnerki szybko odbierały talerze i roz-

nosiły do stolików. Nagle w drzwiach powstał rumor; otworzyły się gwałtownie i stanął w nich gruby, barczysty mężczyzna w gumowym fartuchu. Trzymał przed sobą beczkę, równie pękata jak on sam.

- Piwo! – zaryczał nadludzkim głosem. – Miejsce! Raz, dwa, szefowa, bo nie ma czasu.

I potoczył się z beczką w stronę bufetu; w jego ogromnych, czerwonych rękach sprawiała wrażenie dziecinnej lalki.

- Pięta – powiedział w zamyśleniu Kuba patrząc na beczkę.

Wzdrygnęło nim. Starał się co prędzej pomyśleć o czymś innym.

- Niedobrze ci? – zapytał Władek.

Twarz miał rozmazaną, wzrok Kuby ślizgał się po niej bezradnie nie znajdując punktu oparcia.

- Słabo ci? – powtórzył.

- Skądże – zaprzeczył gorąco Kuba. – Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze jak teraz.

Władek!

- No?

- Co porządni ludzie robią o godzinie piątej, czyli siedemnastej?

- Wracają do domu – powiedział z namysłem Władek; potarł przy tym kędzierzawe skronie. – Pracują, czytają, bawią się z dziećmi...

- Głupstwo – przerwał niecierpliwie Kuba. – Władek, morda złota, posłuchaj mnie! Ja pytam, pytam, pytam! Co porządni ludzie robią o godzinie piątej, czyli siedemnastej?

Wpatrzył się straszonymi oczyma w twarz Władka; wykonał przy tym gest, jakby chciał go złapać za gardło. Władek spojrzał na jego rozcapierzoną dłoń, przełknął ślinę i powiedział szybko:

- Porządni ludzie o godzinie piątej wieczorem piją czystą wódkę z czerwoną kartką w barze „Pod Orłem”.

- „Pod Orłem” – powtórzył Kuba.

Rozpogodził się natychmiast; przytulił Władka do siebie i pocałował go w skroń. Odwrócił się i krzyknął do bufetowej:

- Lalka, dwie wódki dla nas!

Podeszła; w ręku trzymała jakiś zwinięty plakat.

- Jedną chwilę – rzekła. – Muszę to przybić na ścianie. Przysłali dzisiaj z centrali. Muszę przybić, bo przyjdzie jeszcze inspektor, zobaczy, że nie wisi i będę miała przykrości...

Podsunała sobie krzesło i weszła na nie. Młotek włożyła pod brodę, lecz wymykał jej się.

- Ja pani pomogę – rzekł Kuba.

Stanął na krześle za nią. Całym ciałem przytulił się do jej pleców. Szybko wbił cztery gwoździe. Potem zszedł. Odsunął się o dwa kroki i przeczytał: „Walka z alkoholizmem to twój obowiązek społeczny”.

- Kiedyś – powiedział w zamyśleniu Władek patrząc na Kubę – w tym samym miejscu wisiał plakat: „Śpij spokojnie – ORMÓ czuwa”. Nie pamiętam już, co było wyrysowane.

- Niech pani naleje wódki – powiedział Kuba bezbarwnym głosem; w uszach narastał mu szum. Odwrócił się do Władka.

- Skąd wiesz? – zapytał.

- Piję tu wiele lat – rzekł Władek. – Widziałem mnóstwo ludzi w tym lokalu, nie masz pojęcia, ilu. Tak czy nie, pani szefowa? – zwrócił się do bufetowej.

- Oj, panie Władziu – rzekła napelniając kieliszki. – I co dobrego z tego wynikło?

Kuba wzruszył ramionami.

- Nie ze wszystkiego muszą wynikać dobre rzeczy – rzekł gładząc rękę bufetowej. – Byłoby to w końcu nudne. Tak czy nie?

- Mężczyźni, mężczyźni – powiedziała.

Uśmiechnęła się; był to najpiękniejszy uśmiech, jaki Kuba otrzymał w swoim życiu od kobiety. Zapisała sobie coś na swoich karteczkach i odeszła; Kuba patrzył za nią z bezmierną wdzięcznością. Władek zapytał tępo:

- Kto ty jesteś?

- Polak mały.

- Nie wygłupiaj się. Powiedz, kim jesteś.

- Kim byłem?

- Jesteś zalany – powiedział Władek. – Chociaż nawet nie wyglądasz. Dlaczego nie chcesz gadać?

- To nieważne – rzekł Kuba. – Naprawdę nieważne. Jestem twoim kochanym znajomym z baru „Pod Orłem”. Starczy.

- Dlaczego pijesz?

- To również nieważne – powiedział Kuba.

Bawił się od niechcenia fajansową popielniczką. Nagle twarz jego wykrzywił zły grymas. Postawił z trzaskiem popielniczkę i pochylił się ku Władkowi.

- Nieważne – powiedział trzeźwym, przeraźliwie ostrym głosem. – My, którzy pijemy, wiemy przecież, że to nieważne, dlaczego... Może jestem samotny? Może mnie nikt nie kocha? Może odeszli ode mnie wszyscy? Może zdradziła mnie dziwka, bez której nie mogę oddychać? To nieważne... Nie ma takiego nieszczęścia, samotności, klęski, kobiety, która warta

byłaby wódki. Ale o tym wiedzą tylko ci, którzy wszystko przepili i którzy muszą pić. Nigdy nie uwierzą w to ci, którzy dopiero zaczynają. Zawsze mnie śmieszy, kiedy słyszę, jak ktoś kogoś powstrzymuje. Wódka jest prawdą, którą rozumie się zawsze zbyt późno. Pijak rozumie swoje życie dopiero wtedy, kiedy wszystkie drzwi są zamknięte. – Oczy Kuby stały się nagle czujne. – Miałem zły dzień – powiedział. – Miałem dzisiaj zły dzień w tym mieście. Przepiłem go. Ale to już koniec. Mam jeszcze jedną nadzieję, której się trzymam. Jeśli to nie pomoże... – przerwał.

Znów począł bawić się szkaradną popielniczką. Potem roześmiał się sztucznie i rzekł:

- Do diabła z tym wszystkim. Nie lubię zwierzeń. Napijmy się, Władek...

Wypili; bufetowa podeszła i napełniła bez słowa. W drugim końcu bufetu jakiś chłopak w wutowanej kurtce krzychał trzymając swego kolegę za ramię:

- Ja nie mogę bez niej żyć. Ja zrobię z sobą coś strasznego. A jeszcze przedtem z nią...

Zwrócił się do harmonisty i krzyknął:

- Panie Poldku! Graj pan „Dzień dla dnia...”

Harmonista pochylił głowę i zaśpiewał:

„A przecież kiedyś była jesień.

Wiatr jesienny szczęście nam gnał.

Byliśmy tacy zakochani.

A co teraz? Teraz

Dzień jak co dzień, ponury dzień jak co dzień.

Zepsuty zlew, za oknem mgła...”

- Tak – powiedział Władek.

Był zupełnie trzeźwy, tylko jego smutna twarz zrobiła się nagle małpio przykra.

- To dobrze, że masz nadzieję – rzekł cicho. – Ja jej nie mam. Nie wierzę, żeby w tym piekle była jakaś furtka.

- Głupstwo – mruknął Kuba; kręcił w palcach kulkę chleba.

- Zaczynałem tak samo jak tamten chłopak – powiedział Władek. – Miłość, zdrada i takie różne gówna... – roześmiał się. – Byłem kiedyś najlepszym saksofonistą w tym kraju.

- Saksofonistą? – powtórzył bezmyślnie Kuba. – Saksofonistą... To dziwne. – Spojrzał na Władka. – Nie wyglądasz na saksofonistę, bracie.

- Byłem nim – z uporem powtórzył Władek.

Splótł dłonie i zacisnął palce; stały się nagle białe.

- Nikt nie grał tutaj tak jak ja.

- Co z tego?

- Nic.

- Co potem?

- Też nic.

- To po czorta mi to opowiadasz?

- Wcale ci nie opowiadam. Mówię.

- Mów dalej. Jaki koniec? Ważny jest koniec, pointa. Tak, tak, pointa jest najważniejsza.

- Nie jestem już najlepszym saksofonistą.

- Starczy – powiedział Kuba. – Żeby ludzie potrafili tak krótko opowiadać o swoim głupim życiu, byłoby o wiele lepiej. Nienawidzę facetów, którzy skamlą. Ja jestem inny. Lubię twarde. Ale jeśli chcesz mi opowiedzieć swoją historię, proszę bardzo. Bardzo lubię życiowe, pouczające historie.

- Moja jest krótka. Kochałem się.

- Należy ci zazdrościć świeżości uczuć. I co dalej?

- Rzuciła mnie.

Kuba ze smutkiem pokiwał głową.

- Czyli tak zwana mgła – powiedział. – Powinieneś wyjechać do Puszczy Kampinoskiej, aby tam, wśród szumiących drzew, dokończyć życia jako staruszek leśniczy. Mógłbyś hodować pszczoły i zbierać moczopędne ziołka. Co dalej?

- Nie jestem już najlepszym saksofonistą w tym mieście.

- W tym mieście nie ma ani jednego dobrego saksofonisty. Wszyscy grają podle.

Władek zamilczał; na jego łysinie tańczyło światło lampy. Pochylony, rozmyślał w esy – floresy wódkę rozlaną na cynowej ladzie. Harmonista przestał śpiewać; znów odłożył harmonię i chwiejnie podszedł do bufetu. Oczy miał mętne, bez źrenic; był już dobrze podpity, szczęki drgały mu nerwowo. „Właściwie powinienem mu dać w mordę” – leniwie pomyślał Kuba. Towarzystwo pijące pod oknem śpiewało teraz „Górala”. Bufetowa krążyła w milczeniu; nalewała operując butelkami i kieliszkami w sposób niezrozumiale zręczny. Komuś zrobiło się niedobrze; marszowym krokiem przemierzał salę ku wyjściu; jedną ręką trzymał się rozpaczliwie za usta, drugą – roztrzącał stojących na drodze; człowieczek ten miał oczy przeżarzonej krowy. Władek ocknął się i powiedział:

- Zaraz puści pawia.

- Ee – mruknął Kuba.

Spoglądał przed siebie tępym wzrokiem, usiłując dopatrzeć się ładu w kakofonii twarzy, gestów i bełkotów. Chłopakowi w watowanej kurtce włosy opadły na czoło. Ścisnął skronie dłońmi i powtarzał dyszącym głosem:

- Ja ją muszę... Ja ją muszę...

- Młody – powiedział ktoś łagodnie i trzepnął chłopaka w plecy. – Młody, pluń na to. Chcesz się raz napić piwa, to nie kupuj browaru. Wszystko minie jak zły sen. Młody, pluj na to...

Nagle chłopak podniósł głowę; w oczach jego zapaliło się szaleństwo. Błyskawicznym ruchem strącił z lady wszystkie kieliszki, kufle i butelki, potem rzucił się ku wyjściu ze zrzęczością żbika. Trzasnęły drzwi. Kilku ochotników pobiegło za nim.

- Jeśli nawet będzie miał tę swoją dziewczynę – powiedział Włodek oblizując wargi – to szczęście szybko się skończy, jeśli amant nie przestanie chlać. Biedna, głupia mała... Będzie za nim chodzić, wyciągać go z knajp, od kolegów, prosić, tłumaczyć, płakać.

- Skąd wiesz, że tak będzie? – zapytał Kuba.

- Tak zawsze jest, jeśli kobieta zacznie się opiekować pijakiem, którego kocha. Taka miłość jest złą miłością. Wiem, czym to się kończy... – Począł mówić bardzo szybko, jakby w obawie, że Kuba będzie chciał mu przerwać. – Sam miałem kiedyś taką, która mnie kochała. Chodziła za mną, tłumaczyła mi, mówiła, płakała, wrywała mi butelkę, kontrolowała mnie. Co drugi dzień stawiała mi ultimatum: albo wódka, albo ona; albo przestane pić, albo się rozchodzimy. Zrywała ze mną, odchodziła, nienawidziłem jej, potem wracała, gdyż bała się, że zrobię sobie coś złego. Potem znów odchodziła, ludzie ją namawiali, żeby zerwała ze mną...

Umilkł. Znów pochylił się nad ładą. Mięśnie jego szczęk dygotały.

- I co? – zapytał Kuba.

Serce poczęło mu cierpnąć jakimś mdlącym, dziwnym uczuciem.

- I co?

- Szpital – powiedział Włodek. – Poszedłem tam, bo ona tak...

- Co z nią? – zaczął Kuba, z całej siły ściskając go za ramię.

- Odejdź... – szarpnął się Włodek. – Poszła sobie. Kiedyś w końcu wyniosła się do wszystkich diabłów i na szczęście nie wróciła. Nie można się jej dziwić... Która kobieta żyje dla przyjemności z pijakiem? Pijak nie jest mężczyzną. Sam wiesz, co potrafi pijak w łóżku. Spać i rzygać. Śmierdzić w kacu. To była dobra kobieta. Nie zważała na to. Do czasu... Chodziła ze mną do tych przychodni, do lekarzy... Na nic.

- Jak to na nic?

- Kto pije – powiedział Władek i uśmiechnął się z mściwą satysfakcją – będzie pił. To zabawa bez mety. Teraz antabusy, witaminy, pogaduszki z lekarzami, którzy potrafią leczyć tylko nosaciznę u koni; potem Drewnica, Kościan, Tworki... – Oczy jego stały się przezroczyste; mówił: – Domy bez klamek. Biały pokój, z którego nie wolno ci wyjść. Cztery ściany i ty. Twoje wspomnienia, twoje kace. Możesz płakać, bić głową, modlić się, przeklinać, krzyczeć, ale klamki nie dostaniesz. Czasem wyjdiesz na podwórko, przejdziesz się w towarzystwie pielęgniarki, popatrzyś sobie... Żółte, odrapane domy. Trochę nieba. Mury. Białe fartuchy. Piętnaście minut. Potem znów ten biały pokój. i wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia. Dzień. Noc. Czasem będziesz się gubił, co jest dniem, a co nocą. W nocy przychodzą do ciebie czasem rozmaici ludzie. Ale kiedy wyciągniesz do nich rękę, natrafisz na pustkę. Jesteś sam ze swoimi wspomnieniami. Czasem ktoś ci przyśle list, ale czytając go, nie uwierzysz, że to pisał człowiek. I znów jesteś sam. Zaczynasz się modlić, żeby nocą przyszli tamci, żebyś mógł z nimi pogadać. Kiedy przychodzą lekarze, błagasz ich, żeby cię wypuścili. Klękasz przed nimi, całujesz ich po rękach, chcesz im wyrwać klamkę i uciec, ale jesteś słaby, cholernie słaby jak każdy pijak, byle pchnięcie ręką wali cię na ziemię. Błagasz ich...

- Przestań – powiedział Kuba osłaniając twarz ręką jak przed uderzeniem. – Przestań.

- Błagasz ich – ciągnął Władek nie zważając na słowa Kubę – ale możesz ich długo błagać. Możesz im mówić, że jesteś już innym człowiekiem. Możesz ich zaklinać. Grozić samobójstwem. Urządzać głodówki. Krzyżeć dzień i noc, noc i dzień. Możesz przysięgać na kolanach, że jesteś już inny i masz silny charakter. Możesz rzucać się na nich z pięściami. Zbadają ci puls i odejdą.

- Przecież wychodzą stamtąd ludzie – powiedział obcym głosem Kuba.

- Tak – powiedział Władek; łzy ciekły mu po twarzy. – Ale tylko po to, żeby tam z powrotem wrócić.

- Kłamiesz – wolno powiedział Kuba.

- Byłem tam. I będę tam. Znów będą białe pokoje bez klamek. Aż w końcu nadejdzie dzień, w którym już niczego nie będę rozumiał i czuł. Będę kupą głupiego, gnijącego mięsa i powędruję na pawilon, z którego wychodzi się tylko popychać obłoczki. Ale do tego czasu minie jeszcze wiele, wiele...

Umilkł; począł niezdarnie cofać się do tyłu. Oczy wyszły mu z orbit. Ku niemu szedł Kuba wyciągnawszy sztywno ręce, na wysokość gardła. Oczy miał jednego kolorytu – jak kulki odlane z metalu. Czoło jego lśniło od potu, usta były otwarte, twarz sina, jakby uległa zmięczeniu.

- Ty... ty... – wybełkotał Władek.

Twarz skurczyła mu się i była śmiesznie maleńka. Postąpił jeszcze krok do tyłu i uderzył głową o ścianę.

- Aaayyy – zawył Kuba głosem tak przeraźliwym, że nagle zapadła zupełna cisza, wszyscy popodnosili głowy, a harmonista urwał w pół tonu.

- Aaayyyy...

Małpim, piekielnie zwinnym ruchem złapał Władka za gardło i ścisnął tak silnie, że tamtemu natychmiast krew trysnęła z nosa i poczęła ściekać na dłonie Kuby. Nie czuł, że ludzie. Którzy podbiegli, szarpią go za palto i biją po głowie. Jego siła, jego rozum, jego serce, jego życie – wszystko to było zawarte w dłoniach, w dziesięciu palcach jego rąk. Ścisnął nimi coraz mocniej, nie czując ani ludzkich razów, ani ciepłej śliny i krwi spływającej mu po dłoniach.

- Boże! – krzyknął. – Boże...

I dopiero w tej chwili czyjś potężny cios rzucił nim o ziemię, osłaniając go ciemnością – gęstą i dręczącą.

V

Ocknął się na ulicy. Wyciągając przed siebie ręce, nieustannie potrącany przez ludzi, szedł wzdłuż murów. Padał deszcz pomieszany ze śniegiem, było bardzo ślisko; światła rozplywały się jak robaczki świętojańskie. Włosy Kuby były mokre; zgubił kapelusz, palto miał rozpięte, bez jednego guzika; szalik zwisał mu z kieszeni i szargał się końcem po błocie, pod czaszką czuł nieznośny, piłujący ból, jednego oka nie był w stanie odemknąć.

Drogę przeleciał mu kot i Kuba pomyślał drętwo: „Wszystko przez tego kota...” Szedł dalej, nie rozumiejąc, kim jest i dokąd podąża; odzyskiwał na sekundę świadomość, lecz po chwili znów gubił się w ciemności pełnej kolorowych plam. Ktoś potrząsnął nim silnie i przytrzymał w miejscu.

- Tramwaj. Nie widzi pan, że tramwaj idzie...

Odrzucił go z całej siły i skręcił w boczną ulicę. Posuwał się jak ślepiec, szukając rękami w powietrzu oparcia dla swego ciała. Na końcu ulicy zobaczył światło. „To tam właśnie – pomyślał. – To tam muszę iść...” Mijał sklepy, domy bramy; zataczając się brnął przez kałuże – była to świeżo wybudowana, pełna nowych bloków ulica. Przechodził koło jakiegoś sklepu; potrącił oparte o ścianę deski do zastawiania wystawy; upadły z hukiem; jedna uderzyła go boleśnie metalowym okuciem w twarz. Jęknął i upadł szeroko rozkładając ręce; ulica była pusta, nikt nie przyszedł mu z pomocą. Leżał w kałuży, przeniknięty dławiącym zimnem.

Uniół się na łokciach, chcąc wstać, lecz brakło mu sił i runął znów twarzą w krawężnik. „Nie boli – pomyślał – nic nie boli...” Ze sklepu, przy którym stały deski, wyleciała ekspedientka w białym fartuchu. „Teraz?” – pomyślał Kuba i ruchem małego chłopca ukrył głowę w ramionach. Kobieta rozejrzała się i głośno powiedziała w pustkę ulicy: „Łobuz...” Poczęła z powrotem ustawiać deski. Ustawwszy je, wróciła do sklepu, głośno trzaskając drzwiami. Rozchlapując kałuże, szybko przejechał samochód. Z okna na parterze wrzeszczało radio.

Kuba uniósł głowę ważącą setki ton. Otworzył oko i znów świat zaczął wirować niezrozumiale. Trwało to chwilę; potem już tylko jedno światło na końcu ulicy kołysało się uparcie. „To tam – pomyślał Kuba. – To tam właśnie... Co tam? Tam właśnie idę...” Ukląkł; na kolanach począł czołgać się do muru. Długo drapał rękami chropowatą ścianę, obrywając sobie paznokcie i krwawiąc dłonie, nim natrafił na gzyms. Dźwignął się wreszcie. Nogi miał słabe jak nogi niemowlęcia; drżały i łamały się. Począł iść bardzo wolno, trzymając się muru; płakał. Dwóch uliczników obejrzało się za nim. Jeden powiedział: „Przez łzy do szczęścia. Płyn dalej...” Kuba przeszedł w ten sposób parę kroków; w pewnym momencie natrafił na pustkę bramy i upadł. Leżał dysząc. Trwało to bardzo długo. Począł zasypiać, gdy uczył liźnięcie na twarzy, otworzył oko i zobaczył małego psa; pies stał nad nim i patrząc uważnie, machał kuskim ogonem. „Przez ciebie – pomyślał Kuba i natychmiast odzyskał siły. – Wszystko przez ciebie.” Chwycił go za gardło; nie czuł nawet, jak pies przekrzywił łebek i wgrzył mu się w rękę. Cisnął nim w kąt i znowu wstał. Wiatr ocucił go trochę. Szedł wolno i ostrożnie; kiedy wymacał ręką czeluść następnej bramy, zachichotał z zadowoleniem. „Nic z tego – wybelkotał radośnie. – Nic z tego...” Ukląkł i począł pełzać na czworakach. Nie słyszał nawet, że ktoś do niego mówi: „Co, do Częstochowy pan idziesz w taką pogodę?...” Namacawszy ręką mur, wstał. Znowu począł iść trzymając się ręką muru. Rozpychał co chwila powietrze rękami, jakby natrafiając na przeszkody. Światło na końcu ulicy, ku któremu szedł, zwiększało się. I kiedy Kuba był już blisko, z oświetlonego domu wyszedł tłum ludzi. Szli ku niemu – czarne, niewyraźne postacie bez twarzy i konturów. Wtedy przypomniało mu się wszystko; zrozumiał, że jest już tam; przypomniała mu się rozmowa, którą miał kiedyś niesłychanie dawno – z pewnym człowiekiem w jakiejś knajpie; tamten przepowiedział mu, że znajdzie się kiedyś w pokoju o białych ścianach, zamkniętym na drzwi bez klamki; i że będą do niego przychodzić rozmaici ludzie, dziwne zwierzęta i pokraki.

Zrozumiawszy, że dzień ten nadszedł, Kuba zatrząsł się ze strachu i wściekłości. Oparł się o mur i patrzył przed siebie rozszerzonymi oczyma. Rzeczywiście, niektórzy z idących nie mieli głów, inni mieli po dwie; niektórzy nie mieli nóg, płynęli w powietrzu jak okrutne w swej kalekiej brzydocie, niezrozumiale ohydne ptaki. Szedł ku niemu człowiek – strzyga,

człowiek – nietoperz, człowiek o jednym, przeraźliwie krwawym oku, które wypełniało mu całą twarz; czołgał się człowiek – wąż. Kuba spojrział na jego śliski, łuskowaty tułów pełzający po błocie i zasłonił oczy rękami. „Was przecież nie ma – powtarzał w myśli – was przecież naprawdę nie ma. Otworzę za chwilę oczy i was nie będzie. Otworzę oczy i wyniesiecie się z mojego pokoju. Tak, tak, tak...” Otworzył oczy i zobaczył, że są i idą ku niemu; na przedzie kroczy człowiek z głową małego pieska; idzie wyciągając ku niemu silne, owłosione ręce – wyciągając ręce do jego gardła. Kuba cofnął się.

- Was przecież nie ma! – krzyknął piskliwie i rzucił się w tłum. – Was przecież nie ma...

Potrącony upadł, osłoniwszy głowę rękami. Słyszał ich kroki twardo dzwoniące koło jego uszu. „Przechodzą, przechodzą” – myślał. Ktoś podkutym butem nadepnął na jego dłoń; Kuba zaskowyczał cichutko: przytulił twarz do zimnych kamieni. Potem wszystko umilkło, kroki oddaliły się. Leżał dalej, bojąc się wykręcić głowę. Teraz jednak ktoś pochylił się nad nim i uniósł go. Był to jakiś krępy człowiek w skórzanej kurtce.

- Odejdź! – rozpaczliwie krzyknął Kuba.

- Panie Kubuś – powiedział nieznajomy potrząsając nim. – Panie Kubuś, nie poznajesz mnie pan? To ja, Kostek. Nie poznajesz mnie pan?

- Głowa – wybełkotał Kuba. – Gdzie twoja głowa?

Nieznajomy roześmiał się.

- Za dużo lakieru było – powiedział tonem znawcy.

Wyciągnął papierosa i wetknął go Kubie w usta.

- Sztachnij się pan. – powiedział łagodnie. – Pomoże...

Kuba zaciągnął się posłusznie. Z trudem stał na chwiejnych, starczych nogach, podtrzymywany przez tamtego.

- Gdzie oni? – zapytał.

- Kto?

- Tamci.

- Te ludzie?

- Ludzie... – wybełkotał ze zdumieniem Kuba.

Wyprostował się nagle i wyciągnął rękę w ulicę.

- To nie ludzie. Nie mają głów ani oczu. To potwory, potwory... Gdzie oni są?

- Przeszli.

- Dokąd?

- Swoją drogą.

- Ja pana znam – powiedział Kuba patrząc z wysiłkiem w twarz tamtego człowieka.

Zachichotał:

- Ja pana znam. Pan jest Kostek, szwagierski mojego cecia. Kiedyś wioził mnie pan z „Kameralnej”, tak? Pan jest szoferem, tak?

- O to właśnie chodzi – powiedział Kostek. – Chodź pan, podrzucę pana...

Wepchnął Kubę do taksówki stojącej przy chodniku; Kuba zwał się jak bezwładny wór.

- Ta nafta – powiedział dobrotliwie Kostek. – Oj, ta nafta...

Nacisnął rozrusznik i ze zgrzytem włączył bieg; samochód ruszył.

- Otworzę okno – powiedział. – Na naftę nie ma to jak świeży luft...

Pokręcił korbką i zapytał:

- Dobrze teraz?

- Dziękuję – mruknął Kuba.

Świadomość jego wracała i odpływała mdlącymi falami. Podniósł do oczu swoje pokiereszowane ręce i obejrzał je dokładnie; były okrwawione, brudne i opuchnięte; prawie wszystkie paznokcie miał połamane. Zasyczał. Skrzeczącym głosem zapytał:

- Gdzie mnie pan znalazł?

- Stałem akurat przed kinem – wyjaśnił Kostek; zaklął, gdyż ktoś źle przeszedł mu drogę.

- Stałem akurat przed kinem – powtórzył – i myślałem, że kogoś podłapię, bo to godzina, kiedy publika wychodzi. Siedzę w wózku, palę papierosa; patrzę, a tu pan wychodzi z bramy. Od razu widzę, że na dużym flicie. Patrzę i czekam, co będzie dalej. Pan stoi, stoi, a potem do nich. „No – myślę sobie – człowiek znajomy, trzeba pomóc”. Ktoś pana potracił i poleciałś pan mordą w tretuary... Nic się panu nie stało?

- Nic – powiedział Kuba.

Patrzył w niewyraźną linię chodnika. Nagle zapytał z ożywieniem:

- A światło?

- Jakie światło?

- Tam – powiedział z trudem Kuba.

Zamknął oczy, gdyż umykające chodniki przyprawiały go o zawrót głowy.

- Światło – powtórzył. – Na końcu ulicy. Duże światło...

Kostek wzruszył ramionami.

- Tam nie było żadnego światła. – powiedział. – To taka ciemna ulica. Po pijaku to czasem rozmaicie się wydaje, mówię panu. Gdyby się nie wydawało, to każdy by lachę położył na naftę. A jak człowiek podejdzie bliżej do takiego światła, nie ma nic. Aaa – klepnął się ręką w czoło – może to nieon?

- Neon?

- Tak. Nad kinem.

- Po co ja szedłem do tego światła? – szepnął w zamyśleniu Kuba.

- Po pijaku – powiedział Kostek – chodzi się w różne strony. Wiem dobrze, co to znaczy, bo sam też lubię dać sobie w gardło. Takie to i życie człowieka...

- Dziękuję panu – mruknął Kuba.

- Kłops by był z panem – z przechwałką powiedział Kostek. – Jakby pana harcerzyki drapnęli, to kłops. Znów dwadzieścia cztery godzin. Złe czasy idą na trunkowych, panie Kubuś...

Zahamował. Kuba wygramolił się z trudem. Zapłacił. Kostek powiedział:

- Teraz najlepiej w kimę. A rano coś na gorąco... – Machnął Kubie ręką i odjechał.

W bramie stał dozorca; patrzył przed siebie smętnym, pełnym melancholii spojrzeniem.

- Widzi pan, co za świnia ten Kostek – powiedział zagradzając Kubie drogę. – Pokłóciłem się z nim. Miał postawić flaszkę...

Przerwał nagle i popatrzył na Kubę. W jego aksamitnych oczach pojawiło się pełne zadośćzainteresowanie.

- Gdzie się pan tak doprawił? – zapytał.

Kuba odsunął go i począł iść schodami na górę. Słyszał jak dozorca mruczy: „Naród – bez wychowania...”

Jęczał; każda kość, każdy kawałek ciała napelniony był ciężkim, żelaznym bólem. przystawał co chwila i dyszał chrapliwie, opierając głowę o poręcz. Na drugim piętrze przysiadł; odpocząwszy ruszył dalej. Doszedł wreszcie. Stał na korytarzu i szukał klucza; przeszkadzało mu palto, szalik ubranie – wszystko. Znalazłszy klucze, podszedł do zamka. Wtedy dopiero zauważył, że pod drzwiami jego mieszkania, na ziemi, siedzi kobieta.

- To ty, Krystyno? – powiedział i cofnął się o krok.

Patrzył w ciemność z czujnością nocnego ptaka.

- Chodź – powiedziała cicho.

Potrząsnął odmownie głową.

- Nie – rzekł.

- Chodź, Kuba – powiedziała łagodnie. – Bardzo długo czekam.

Potrząsnął głową. Zacisnął aż do bólu powieki, a kiedy rozwarł je z powrotem, zobaczył ją. Odetchnął z ulgą.

- Wyciągnij rękę, jeśli to naprawdę ty – powiedział.

Wyciągnęła ku niemu obie ręce.

- Tak – szepnął. – Do diabła, do diabła...

- Daj klucze – poprosiła.

Wzięła klucze; otworzywszy drzwi, weszła do mieszkania i zapaliła światło. Spojrzała na twarz Kuby i oczy jej zrobiły się ogromne. Nie mówiąc ani słowa zdjęła z niego palto i obejmując je, powiesiła na wieszaku.

- Idź do pokoju – rzekła.

Kuba posłusznie wszedł do pokoju i położył się na tapczanie. Krystyna weszła za nim. Zapaliła lampkę na nocnym stoliku.

- Zaraz przyjdę – rzekła.

- Przyjdź – szepnął Kuba.

Patrzył w sufit; z jednego kąta, po niteczce, schodził mały pajaczek. „Skąd on tutaj?” – pomyślał Kuba i zamknął oczy. Otworzył je dopiero wtedy, gdy Krystyna poczęła twarz jego ocierać mokrym ręcznikiem.

- Piłem – powiedział słabym głosem.

Milczała. Twarz jej była blisko, ukryta w cieniu lampy; oczy miała zamknięte, usta boleśnie przygryzione.

- Piłem – powtórzył Kuba.

- Obetrę ci ręce – rzekła.

- Piłem! – zawył Kuba z całej siły i odtrącił ją.

Chciał dźwignąć, lecz ułożyła go z powrotem; jej ręce okazały się nadszpiewanie silne.

- Poczekaj – rzekła. – Zrobię ci kawę.

Odeszła. „Piłem” – raz jeszcze pomyślał Kuba i roześmiał się wzgardliwie. Pająk był już w połowie drogi do ziemi; unosił się wprost nad jego głową. W pewnej chwili Kuba ujrzał, że pająk ten ma porowatą, ludzką twarzyczkę i smutne oczy. Wtedy przypomniał sobie wszystko – knajpę, Władka, harmonistę tłumaczącego sny, barmankę żonglującą naczyniami z niepojętą zręcznością, plakaty nad bufetem, pochód upiorów na ulicy. „Was nie ma – pomyślał z satysfakcją. – Nigdy was nie było naprawdę...” Zasnął. Obudziła go Krystyna; stała nad nim z filiżanką kawy.

- Długo spałem?

- Nie, parę minut. Pij, póki gorąca.

Dźwignął się na łóżku; pił gorący płyn, parząc wargi. Krystyna przytrzymała mu filiżankę. Kiedy skończył, odstawiła ją na stolik. Kuba zapytał:

- Chcesz wiedzieć, jak to było?

Potrząsnęła głową; oczy jej były uważne.

- Nie – rzekła.

- Dzwonili tutaj... od rana. Musiałem wyjść z domu... – Nagle machnął ręką; zrozumiał, że nigdy nie potrafi jej opowiedzieć, jak było naprawdę.

- Pójdę już – powiedziała Krystyna.

- Odchodzisz?

- Idę. Przyjdę jutro rano. Pójdziemy tam rano, z samego rana.

- O której?

- O ósmej.

- I co?

- Będziesz się leczyć.

- Krystyna.

- No?

- Ja tam nie pójdę nigdy.

- Dlaczego?

- To nic nie pomoże.

- Będziemy próbować.

- Dokąd?

- Do końca.

- Do jakiego końca?

- Dopóki nie przestaniesz pić.

- Nic z tego nie będzie. Idź stąd. Wracaj między żywych. Jeszcze czas.

- Żywi są ci, których się kocha.

- I tak kiedyś odejdiesz. Litość to marne uczucie. Będziemy się męczyć i szarpać. Udręka. Niewiele da się zbudować na litości.

- Kuba.

- Tak.

- Słuchaj mnie uważnie! Ja przyjdę jutro rano. Jutro rano, o ósmej. Będę dzwonić trzy razy. Wtedy mi otworzysz. Tylko wtedy. Jeśli tu kogoś diabli przynieśli, nie otwieraj nikomu.

- Kiedy przyszedł po raz pierwszy do tego domu wyglądałaś inaczej, Krystyna... Inaczej mówiłaś. Tak już nigdy nie będzie?

- Nie otwieraj nikomu. Kuba. I pamiętaj, trzy razy.

- Zostań ze mną dzisiaj. Boję się.

- Mam w domu chorą matkę, Kuba. Cały dzień mnie nie było. Beze mnie nie da sobie rady. Muszę jej wszystko podać i przygotować. Więc jutro. Do widzenia.

- Dlaczego nie chcesz, żebym ci wszystko opowiedział, jak było? Nie chcesz tego słuchać?

Przystanęła w drzwiach. Nie widział jej; była ogarnięta mrokiem. Za oknem, w ciemnościach, głucho szumiało miasto.

- Kobiety – powiedziała Krystyna – i tak wszystkiego muszą się zawsze domyślać, przede wszystkim domyślać. Śpij dobrze, Kuba.

Wyszła; cicho trzasnęły drzwi. Kuba leżał chwilę bez ruchu. Potem zgasił światło; po suficie pełzały cienie, deszcz bębnił drażniąco. „Pająk – pomyślał Kuba. – Gdzie ten pająk?” I wszystko odpłynęło od niego – nagle i krótko. Jak pływak skaczący z wysoka, tak on pogrążył się w sen – ciemny i dławiący jak woda.

VI

Obudził się w nocy, w ciszy zupełnej i strasznej. Długą chwilę leżał bez ruchu; nasłuchiwał bicia własnego serca i oddechu. Potem poruszył się. Jęknął; był mokry od potu, głowę rozsadał mu ból, jakiego dawno już nie zaznał; całe ciało jego napełnione było pragnieniem wody. „Pić – myślał – pić...” Serce trzepotało mu się między żebrami, gdzieś bardzo nisko – głośno i nierówno; dokuczał smak i zapach alkoholu. Wyciągnął rękę i począł błądzić nią w ciemności, szukając kontaktu nocnej lampki; lecz zdziałał tylko tyle, że wywrócił lampkę razem z popielniczką; upadły na podłogę z hałasem i Kuba skulił się przerażony. Znow leżał bez ruchu w ciemności i ciszy zadręczającej i nieprawdziwej. W rogu okna fosforycznym, zimnym blaskiem świecił ogromny, duży księżyc. Biurko, stół, szafa – wszystko błyszczało nieprzyjemnym, ostrym blaskiem. Pokój wypełniony był rozrzedzoną stalą. Po wielu minutach Kuba wstał. Zataczając się po pokoju, podszedł do drzwi; trzymając się kurczowo jedną ręką framugi, drugą szukał kontaktu. Zapalił wreszcie światło, zrzucając przy tym obrazek wiszący na ścianie; oślepiony jęknął i złapał się rękami za głowę, powoli odmykając oczy. Potem schylił się po obrazek; musiał klęknąć na kolana i bardzo długo wstawać. Szkło pękło; był to tani obrazek przedstawiający kolumnę Zygmunta, lecz Kuba, wbrew zdrowemu rozsądkowi, lubił go bardzo. Chwilę stał trzymając obrazek w rękę i kiwał ze smutkiem głową. Potem powiesił go na swoim miejscu i poszedł do kuchni. W garnuszku stojącym na gazowej maszynce było jeszcze nieco kawy. Pochwycił go rozdygotanymi rękami i nie grzejąc płynu, wypił. Lecz było to o wiele za mało, aby ugasić pragnienie drażące jego rozpalony organizm. Otworzył kran i nadstawivszy usta, pił długo i chciwie, aż poczuł chłód. Odetchnął; usiadłszy na krześle, zapalił papierosa. Usiłował zebrać myśli i przypomnieć sobie wszystko, lecz prze-

raził się własnych wspomnień i co prędzej począł myśleć o czymś innym; rozrachunek z sobą zostawił do następnego dnia. Znów odezwało się w nim pragnienie. „Cytryna – pomyślał – kawałek cytryny...” Podeszedł do kredensu i począł szukać; przewracał spodki, talerze i filiżanki. I wtedy, ukrytą za dużą fajansową wazą, zobaczył butelkę wódki; była nieruszona, jej łebek świecił czerwonym lakiem. Wziął ją do ręki i patrzył uważnie.

- Jesteś? – powiedział. – Jesteś, ty kurwo? Dzień dobry pani.

Uderzeniem dłoni wybił korek i zbliżył się z butelką do zlewu. Przechylił szyjkę i przy-mrużywszy oczy, patrzył, jak płyn bulgocąc spływa w ściek. Wtedy zadzwonił telefon. Za-trzymał rękę; stał nasłuchując uważnie i nie wierząc sobie. Dzwonek powtarzał się. „Pewnie Krystyna – pomyślał. – Coś jej musiało wypaść. Któraż to godzina?” Podniósł rękę do oczu, lecz przypomniał sobie, że to wczoraj zastawił zegarek w barze „Pod Orłem”; była straszna awantura, a potem bufetowa z kelnerem zdarli mu zegarek z ręki. Kelner był niski, z kartofla-nym nosem; potrząsając Kubą, mówił: „Jak nie masz za co pić, to chodź do kościoła, łachu-dro...” Kuba uśmiechnął się. „Tak, to Krystyna – pomyślał. – Już teraz jest ranek. Coś jej widocznie wypadło.” Machinalnie unosząc z sobą butelkę wódki, przeszedł do pokoju. Pod-niósł słuchawkę i powiedział:

- Słucham.

- Kuba? – zapytał niski głos.

- Tak – powiedział bardzo spokojnie.

Postawił butelkę wódki na stoliku obok telefonu i zacisnął na niej palce; szkło było zimne i gładkie.

- Kuba – powiedział niski głos z wyrzutem. – Kuba! To tak, to tak? A przecież wczoraj rano rozmawialiśmy z sobą i sam powiedziałeś, koniec. I my wszyscy, wszyscy twoi przyja-ciele, że rzeczywiście to już koniec, że nie będziesz pił. Wszyscyśmy się cieszyli, że nareszcie skończyłeś z tym świństwem. A wieczorem dowiaduję się, że widziano cię pijanego, jak się tarzałeś po ulicach. Żona wychodziła z kina i widziała, jak się awanturowałeś ze swoimi ko-legami...

- Byłem sam.

- Nie kłam, Kuba – powiedział łagodnie niski głos. – Jestem twoim przyjacielem i wiesz dobrze, że kogo, jak kogo, ale mnie nie potrzebujesz okłamywać. My chcemy ci pomóc, Ku-ba. My wszyscy bardzo chcemy ci pomóc. My, twoi przyjaciele. Chcemy ocalić cię od zguby, chcemy uratować twój talent, twoją miłość. I sam wiesz, że robimy wszystko w tym kierunku. I wszyscy już myśleliśmy, że od dziś będzie dobrze. A ty pijesz w „Kameralnej”.

- Nie byłem w żadnej „Kameralnej” – powiedział Kuba; żyły na skroniach poczęły mu pulsować.

- Widzieli cię, Kuba, niestety – łagodnie przemawiał głos. – Widzieli cię, jak piłeś. Trudno, Kuba. Tobie nie można wierzyć. Ty jesteś pijak. Pijakom się nie wierzy. Nie gniewaj się, że ja tak mówię, ale wiesz, że jestem twoim przyjacielem, a kto ma ci mówić prawdę? Lala Makowska do mnie dzwoni i mówi: „Czy wiesz, że Kuba znowu pije? Dwidka widziała go, jak się tarzał w „Kameralnej”. Co z tym typem zrobić?” I w tym sensie. Lala Makowska, Kuba, taka stara idiotka. I żeby to ona sobie tobą wycierała twarz. No nie, Kuba! A ja już byłem taki spokojny o ciebie. Ten stary dureń Sękowski mówi do mnie wczoraj: „Ty wierzysz, że on przestanie pić? Prędeż mi kaktus wyrośnie na łysinie”. I pac się w czoło. Ty zresztą znasz kawały Sękowskiego. A ja do niego mówię: „Nie mieszaj się w nie swoje sprawy, psiakrew. Nie lubię strasznie, jak się wsadza twarz w nie swoje sprawy. Kuba to mądry chłop i sam wie, czym dla niego jest wódka. Nie czepiaj się Kuby...” I tak od słowa do słowa, poprzytykałem się z Sękowskim. I jak ja teraz wyglądam, Kuba? Jak wyglądam? Jak wyglądam?...

Mówił jeszcze długo i gorąco, lecz Kuba nie słyszał już nic i nic nie rozumiał; odłożył słuchawkę i nie wypuszczając z rąk butelki, usiadł na tapczanie.

- I jak ja teraz wyglądam? – powiedział głośno, patrząc w róg pokoju. – I jak ja teraz wyglądam?

Szybszym od myśli ruchem przysunął filiżankę po kawie i nalawszy sobie pełno, wypił jednym haustem.

- Jak ja teraz wyglądam? – wybełkotał.

Nalał sobie i wypił po raz drugi, potem – trzeci. Odetchnął; znów był starym, mądrym, cwany i cynicznym Kubą. Wciąż nie wypuszczając z rąk butelki, podszedł do stołu, gdzie leżała paczka papierosów. Usiadł i zapalił; ręce miał sprawne jak najbardziej precyzyjne narzędzia. Zaciągnął się głęboko; dym smakował mu teraz bardzo, ciało miał ciepłe i mocne, serce – niby dzwon.

- Szkoda tylko, że obrazek się zepsuł – powiedział głośno. I wydało mu się to bardzo zabawne. Powtórzył:

- Szkoda, że się zepsuł... – Znów nalał sobie i wypił.

- Piję – wyznał szczerym głosem. – Znowu piję. Piję, no, i co? No, i nic. – Począł przedrzeźniać swego rozmówcę sprzed pięciu minut: „I jak ja teraz wyglądam? I jak ja teraz wyglądam?” – Roześmiał się krzyknął:

- Wyglądacie wszyscy jak małpy w kruchcie! O, tak.

Machnął z zapalem ręką i wtedy przewrócił butelkę. Płyn rozlał się momentalnie, tworząc na politurowanej powierzchni stołu świetlistą kałużę. Kuba długo siedział osłupiały; patrzył to na kałużę, to na pustą butelkę, wreszcie cisnął ją w kąt. Szkło rozsypało się z ostrym brzękiem. Siedział z zamkniętymi oczami i palił papierosa; kiedy niedopałek począł parzyć mu palce, odemknął oczy i westchnął. Wtedy zobaczył, że z rozlanej kałuży patrzy na niego twarz Krystyny. Roześmiał się.

- Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział.

Ona także się uśmiechnęła. Pokiwał głową.

- A jednak zjawiłaś się ze swoją zasaną litością – powiedział. – Zawsze przychodzisz wtedy, kiedy chciałbym przestać myśleć o tobie. A ja znowu piję, Krystyno. Widzisz?

Kiwnęła głową.

- Głupie, co?

Nie odpowiedziała. Pochylił się nad nią i zobaczył, że twarz jej pełna jest napięcia.

- Teraz mnie nie oszukasz swoją litością – powiedział. – Nie oszukasz mnie tym zasaństwem, które mi dajesz zamiast miłości. Już długo nie śpimy ze sobą. To coś znaczy, to coś jest. Nie chcesz już ze mną gadać, ale wiem, co myślisz. A teraz powiem ci jedną rzecz: ludzie sami nie zmieniają się nigdy. Ludzi zmienia życie. Dobre czy złe, dobrego czy złego człowieka, ale zawsze życie. A ja jestem nicpoń, Krystyno. Ty chyba o tym wiesz, co?

Kiwnęła głową.

- Wszystko wiesz – powiedział Kuba z nienawiścią. – Ja wiem, że ty wszystko wiesz. Ty jesteś tak zwana mądra kobieta, o ile takie w ogóle istnieją. To znaczy najbardziej nieszczęśliwa. Dlatego, że jesteś mądra. Że wszystko rozumiesz, że wszystko wybaczasz, że wszystko potrafisz mądrze ustawiać. Za mądrość płaci się cierpieniem, Krystyno. Biedne, nieszczęśliwe, mądre kobiety. Żal mi was, bo prawie zawsze giniecie przez głupców. Jesteś mądra, Krystyno. Jesteś piekielnie mądra, ty idiotko, ale nie wiesz jednej rzeczy: nie wiesz, czym jest wódka. Nie wiesz, nie wiesz, nie wiesz.

Patrzyła na niego z niesłychanym napięciem i z twarzy jej Kuba widział, iż pragnie, aby mówił dalej.

- Kto wie? – powiedział w zamyśleniu i potarł policzek. – Kto wie? Może i wiesz?

Nagle roześmiał się wzgardliwie:

- Powinnaś przecież wiedzieć. Mogę ci przypomnieć, chcesz?

Znów kiwnęła głową. Uśmiechnęła się mądrze i tajemniczo.

- Czy pamiętasz – począł mówić Kuba – jak byliśmy zeszłego roku w Zakopanem? Pojechaliśmy tam, abym ja odpoczął. Łaziliśmy po górach, to było w tym czasie, kiedy w Zako-

panem jest na ogół mało ludzi, i dlatego wybraliśmy tę porę. Tak, Krystyno? Przypominasz sobie? I rzeczywiście, przez trzy dni było wszystko dobrze. Wodziliśmy się jak dwie nierozłączki. Pilnowałaś mnie. Nie odchodziłaś ode mnie ani na krok. Byłaś szczęśliwa. Kiedy spotykaliśmy na Krupówkach jakąś znajomą gębę, przeciągałaś mnie na drugą stronę ulicy. chodziliśmy tylko tymi szlakami i tylko do tych kawiarni, gdzie nie ma ani kieliszka wódki. To dlatego, żeby mnie nie drażnić niepotrzebnie. I co z tego, Krystyno? Przez trzy dni było wszystko jak w bajce, ale czwartego nie przyszedłem na spotkanie z tobą. Nie przyszedłem również piątego i szóstego. Szukałaś, dzwoniłaś, latałaś po całym mieście, zaczepiałaś nieznanomych ludzi, patrzyłaś na nich obłąkanymi oczyma i pytałaś: „Czy nie widzieliście Kuby? Czy nie widzieliście takiego wysokiego blondyna?” A ludzie pukali palcami w czoło i szli dalej. Zaalarmowałaś nawet pogotowie, gdyż przyszło ci na myśl, że wybrałem się na samotną wycieczkę w góry i skręciłem kark... A ja, Krystyno? A ja chlałem z Cyganami przez ten czas. Kiedy wreszcie znalazłaś mnie, byłem już bez forsy, bez zegarka, bez niczego. I wyjechaliśmy następnego dnia do Warszawy. Żeby się odzwycząić od wódki. A mam ci przypomnieć pobyt w Międzyzdrojach; te wszystkie awantury w knajpach, to wydzieranie mnie z komisariatów...

Zapalił nowego papierosa i, zaciągając się chciwie dymem, patrzył w jej twarz. Krystyna spoglądała na niego teraz surowo, czoło jej przecinała pionowa zmarszczka.

- Śliczna jesteś – powiedział Kuba. – Wyglądasz jak Madonna ze starego obrazu. Masz w twarzy tyle słodyczy i bólu... Dlaczego jesteś taka ładna? No, powiedz?

Milczała. W jej brązowych oczach płonęło łagodne światło; wyglądała już zupełnie inaczej niż przed sekundą.

- Widzisz, Krystyno – powiedział Kuba. – I ty chcesz ze mną zostać? Czy wiesz, co by to było? Twoje życie stałoby się wiecznym oczekiwaniem. Nigdy byś mi nie wierzyła. Gdybym się spóźnił na obiad pół godziny z powodu tramwaju czy jakiegoś innego głupstwa, przeżywałabyś męki takie, jak kobieta rodząca. Codziennie byś musiała na nowo rodzić swoje cierpienie. Przymykałabyś oczy i widziała mnie pijącego w jakimś barze. Byłabyś podejrzliwa i nieufna, kazałabyś mi chuchać, pytałabyś mnie o wszystko, nie wierząc ani jednemu mojemu słowu, za wszelką cenę starałabyś się mnie zaskoczyć i złapać na kłamstwie; to weszłoby potem w nałóg zeszpecający każdą chwilę twojego życia... Żyłem już z kobietami, które chciały mnie wyciągać z pijaństwa, Krystyno. A ludzie? Czy pomyślałaś o ludziach? O tych wszystkich ludziach, którzy dawaliby ci dobre rady, jak ze mną postępować? O tych wszystkich idiotkach, które opowiadałyby ci, w jaki sposób wyciągnęły swoich mężów z nałogu? Czy pomyślałaś o tym? Czy zdajesz sobie sprawę, że naraz cały świat począłby cię obdarzać lito-

ścią; wstrętną, wścibską litością, która z człowieka robi słabą, plugawą, nic nie wartą dla samego siebie istotkę. Wchodziłabyś do kawiarni i od razu ludzie zaczynaliby szeptać: „Patrz, to Krystyna, żona tego pijaka Kuby. Ona poświęciła się dla niego. Wyjątkowa kobieta, co za charakter, co ona musi przeżywać z tym draniem...” Szłabyś ulicą, Krystyno, a ludzie by mówili: „To idzie Krystyna, żona tego alkoholika, Kuby. Dziwię jej się, taka młoda, ładna kobieta i żyje z takim pijakiem, życie sobie przez niego marnuje. Zresztą na pewno ma kogoś na boku; ten pijak rozkłada się przecież za życia, jakże ona może spać z takim?” Zaczepialiby cię i pytali: „No, jakże, droga pani Krystyno? Czy on pije?” Ty byś zaprzeczała, a oni by się uśmiechali. Wtedy ty byś myślała sobie: „Oni coś wiedzą. Oni go gdzieś widzieli, jak pił”. Życie twoje stałoby się pomału piekłem; pomału zaczęłabyś nienawidzić tych uśmiechów, tych dobrych rad, tej życzliwości; potem zaczęłabyś nienawidzić ludzi, omijać ich, unikać ich, kłamać przed nimi. I wtedy, Krystyno, nadszedłby taki dzień, kiedy zrozumiałabyś, że tylko my dwoje jesteśmy na świecie: ty, Krystyno, i ja, pijak, który zmarnował ci życie i odebrał wszystko. Czy myślałaś o tym Krystyno?

Pochylił się nad nią. Milczała; twarz jej była pełna cienia.

- Widzę, że cię to nie przekonało – powiedział Kuba z goryczą. – Mogę mówić dalej. Czy pamiętasz, jak byliśmy kiedyś na meczu piłkarskim? Był piekielny tłok; siedzieliśmy na trybunie, ściśnięci między ludźmi jak śledzie, i po którymś tam gołu zauważyłaś, że zginął ci zegarek. To był taki śliczny, mały „Tissot” z kwadratowym szkiełkiem. Wstaliśmy z miejsc i szukaliśmy tego zegarka. Ale nie znaleźliśmy go. I nic dziwnego: był w mojej kieszeni, Krystyno. A czy pamiętasz, jak kiedyś, w twoim domu, zginęła ci taka śliczna broszka ręcznej roboty, którą dostałaś od swojej babki? I pamiętasz chyba, że to ja poradziłem ci, żebyś zwolniła tę starą, biedną kobietę, która przychodziła ci sprzątać. Ty jesteś delikatna, Krystyno, i poprosiłaś mnie, żebym to ja załatwił tę przykrą sprawę. I ja wziąłem tę staruszkę na rozmowę i powiedziałem jej: „Kto inny by panią podał do sądu, ale moja narzeczona prosi tylko, żeby pani do niej więcej nie przychodziła na posługi...” A potem powiedziałem do ciebie: „Kocham twoją szlachetność, Krystyno. Ja nie wiem, czy sam tak bym postąpił na twoim miejscu: złodziejstwo trzeba karać jak najsurowiej”. I czy ty wiesz, że ta biedna starowina przez rok potem przychodziła tu, do mnie, i spłacała mi ten dług za broszkę, bo bała się, że mimo wszystko podamy ją do sądu, a jak każdy prosty człowiek, bała się tej instytucji śmiertelnie? Pamiętasz?

Kiwnęła głową; patrzyła na niego z zimną, zjadliwą pogardą. Roześmiał się.

- Dostyc już tego – powiedział. – Sama wiesz, że tak się musi stać. Cieszę się tylko, że jesteś przy mnie w tej chwili. Bałem się umierać samotnie, choć wiedziałem, że musi nadejść ta

chwila, kiedy ja sam sobie będę musiał powiedzieć: „No, Kuba, dosyć, dosyć tych głupstw”. I ty chyba sama wiesz, że to już dość. Tak? Tak czy nie?

Kiwnęła głową; patrzyła na niego poważnie i ze smutkiem pełnym zrozumienia.

- Widzisz – powiedział. – Teraz ja to zrobię, a potem ty pójdziesz. Co mam ci powiedzieć na pożegnanie? Boję się słów, Krystyno, tyle słów już powiedziałem... Powiniennem ci powiedzieć, że nikogo nie kochałem tak jak ciebie, czy coś w tym rodzaju, prawda? Wiem, wiem.. wy, kobiety, jeśli odchodzicie do innego, o którym wiecie, że będzie wam z nim dobrze, wtedy mówicie do nas: „Zawsze będę o tobie pamiętać. Zawsze będę cię kochać i myśleć o tobie; będziesz najpiękniejszym snem mojego życia, które od dzisiaj stanie się puste i bez treści. Przeżyliśmy więcej niż inni ludzie. Moje życie będzie ustawiczną tęsknotą za tobą...” I tak dalej. Powiedzcie ci coś takiego?

Milczała.

- Dobrze – twardo powiedział Kuba i pochylił się tuż do jej twarzy. – Powiem ci wobec tego prawdę. Będą to pierwsze słowa prawdy, jakie usłyszałaś ode mnie. To zaboli, ale jak chcesz... Nienawidzę tylko jednego człowieka. Ty nim jesteś. Nienawidziłem cię przez cały czas od chwili, kiedy pierwszy raz przyprowadziłaś mnie tu zalanego z miasta i przez litość położyłaś się koło mnie. Nienawidziłem twojej litości, twojej dobroci, wyrozumiałości, twoich dobrych słów... Wiedziałaś dobrze, że pewnego dnia polecę na łeb, na szyję. Wyciągałaś mnie do światła, którego nigdy nie zobaczę. Wskazywałaś mi nadzieję, która nigdy nie mogła stać się rzeczywistością. Stale wkraczałaś w moje piekło, z którego nie miałem ucieczki, i stale wpychałaś mnie w to wszystko z powrotem. Ty biedna, głupia dziewczko. Czy nie rozumiałaś tego nigdy; nie czułaś tego nigdy, jak strasznie cię nienawidzę?

Wstał i kopnął krzesło. Dzień nadchodził; prostokąt okna jaśniał już mdłym światłem. Kuba podszedł do okna i oparł się o parapet. Ulicami pędzili już przechodnie, zgrzytały tramwaje; piszcząc oponami po mokrym asfalcie, przemykały samochody. Niebo było ciężkie i pełne zimnych mgieł; znów padał deszcz ze śniegiem. Na wieży pobliskiego kościoła począł bić zegar; Kuba liczył uderzenia.

- Osiem – powiedział głośno, kiedy umilkły żelazne dźwięki. – No, Kuba, Kuba...

Rozejrzał się po pokoju. Uważnie oglądał każdy sprzęt, każdy kawałek ściany; nagle wzrok jego padł na aparat telefoniczny. Chciał się uśmiechnąć, spojrzawszy nagle w lustro i zobaczył na swojej twarzy przerażający grymas. Wtedy podszedł do ściany i jednym szarpnięciem wyrwał sznur z małego pudełeczka; osypało się nieco tynku. Potem począł szarpać czarną skrzynkę; obtarłszy sobie wewnętrzną powierzchnię dłoni, wyrwał wreszcie sznur. Na jednym jego końcu zacisnął pętlę. Szybko przeszedł z nią do przedpokoju i znów patrzył uważnym

wzrokiem, oglądajcie sufit i ściany. Nareszcie dostrzegę rur gazow; licznik zainstalowany był w przedpokoju. Wskoczyła na krzesło i koniec sznura przywiła do rury. Narzuciła sobie płótno na szyję i chwilę stała oszołomiona szybko ci się precyzję swych poczyna. Nagle zobaczyła cię z ciemno ci patrz na niego oczy Krystyny. Wyciągnął ku niemu rękę i mówił co poruszając bezgłośnie wargami

- Mów głębiej o powieści o czym głębiej. ó Mów głębiej, nie słyszysz ci?

Patrzyła na niego w skupieniu, a po chwili rozemknęła usta.

- Jeszcze raz? Jeszcze raz od początku? Nienawidzę cię, pierdolis! ó krzyknął

Zdjął płótno i zeskoczył podbiegł do stołu i przystawiając usta do jego krawędzi, wychęptał rozlaną kawę. Był znów silny, bardzo silny i nagle poczuł że będzie mógł raz jeszcze walczyć ze wiatrem o miłą drogę, przeskoczył, pracował, kochał i w czystym życiu człowieka. Wtedy usłyszał trzy dzwonki. Zadrzął jak poroniony przedem; twarz jego skurczyła się a głębiej. Znowu zabrzmiały trzy dzwonki. Histerycznie zaciął zasłonił oczy rękami. Dzwonek nie przestawał cze.

- Znowu dzwoni, Krystyno ó wybiegnęła zbielałymi wargami. ó Znowu dzwoni, najdroższa!

Szybko wybiegła do korytarza. Wskoczyła na krzesło i zacięła płótno na szyję. Raptem dzwonek umilkł Kuba odetchnął nagle uczuła się cię, tak ogromne szczęście, jakiego nigdy w życiu nie zaznała nie przeczuwała. Już chciała zejść, lecz cisza korytarza przecięła trzy krótkie, jakby umówione dzwonki. Wtedy przysłonił oczy i z całej siły odepchnął krzesło nogami.